









# GRABARZE.



Józef Rogosz.

# GRABARZE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

Część I.

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42



WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

41. Nowy-Świat 41.

1892.

<http://rcin.org.pl>



Дозволено Цензурою.  
Варшава, 2 Іюня 1891 года.

---

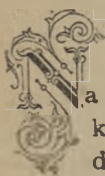
*Druk Emila Skińskiego, Warszawa, Chmielna № 26.*

2787  
<http://rcin.org.pl>



I.

Pani radczyni Emilia z Birmanów Darska  
dom poświęca.



Na rynku miasta obwodowego ciemno, że oko wykol. Wicher gwałtowny, zerwawszy się niespodziewanie późnym wieczorem, pogasił latarnie, oddawna potłuczone, tak, że zostały tylko dwie, na rogach dwóch większych ulic, a i te ledwie dyszą; światła w oknach, przysłoniętych storami i frankami, nie rozjaśniają nawet chodników; w sklepach gaszą lampy jedną po drugiej, bo na ratuszu wybiła właśnie dziewiąta, która w miasteczku prowincjonalnym jest godziną tak samo poważną, jak w stolicy dwunasta.

Wicher świszczy, drobny deszczyk siecze po szymbach, nigdzie żywej duszy nie widać; cały rynek robi wrażenie milczącego cmentarzyska, pośród którego, niby nagrobek olbrzymi, stoi ratusz z wieżą wysoką. W nim wszystkie okna czarne. Zato na samym dole, pod kolumnadą ciężką, niekształtną, o której inżynier powiatowy z dumą mawiał, że jest arcydziełem jego geniuszu, wisi u sklepienia malutka latareczka. Pod nią, krokiem miarowym, marząc o wiosce dalekiej i cha-

cie ze starości pochyłonej, którą niedawno musiał porzucić, przechadza się młody rekrut z bronią na ramieniu. To strażnica wojskowa.

Nagle, w jednej z ulic pobocznych, dał się słyszeć turkot; niedługo potem wjechał na rynek, skacząc po jego bruku nierównym, powóz napół kryty, który musiał należeć do zabytków odległej starożytności, ponieważ wszystko w nim trzeszczało, skrzypiało, dzwoniło. A snąc i konie, co go ciągnęły, niemało przebyły, skoro ucho wprawne po samym takcie, jaki podkowami na kamieniach wybijały, mogło poznać, że z nich żaden nie miał ani jednej zdrowej nogi. Mimo to szły rażno, woźnica bowiem dodawał im animuszu ciągłym bicia wywijaniem, któremu towarzyszyło głośne: „Wio! Wio!”

Gdy powóz przez rynek przejeżdżał, dążąc na ulicę Pańską, w oknach kilku kamienic ukazały się postacie niewyraźne, które, głowy do szyb przytknąwszy, zdawały się śledzić jego kierunek. Po jakimś czasie zjawił się drugi ekwipaż, jeszcze mniej okazały niż pierwszy, po nim dwa wózki, na których siedzące osoby, jakby pod działaniem prądu elektrycznego, wciąż w górę podskakiwały. Wszystkie te wehikuly podążyły śladem pierwszego.

Teraz, jakby na dany znak, zaczynają się w kamienicach drzwi otwierać, i oto wychodzą mężczyźni w kaloszach, z podniesionymi kołnierzami u paletotów; damy w sukniach podpiętych wyżej kostek, nad którymi mężowie i bracia niosą parasole; panny w króciutkich kabacikach, kręcące się, mimo chłodu, jak wrzeciona, przyczem półstówkami zaczepiają nieśmiałych kawalerów, którzy, obok nich krocząc, zasłaniają je także swemi parasolami. Wszyscy oni ciągną sznurkiem do jedyniej latarni, dotąd świecącej, która na rogu ulicy Pańskiej drogę im pokazuje.

— Boję się, Maurycy, czyś się nie omylił... może to nie była prezydentowa — przemówiła dama niska

a wielce otyła, posuwająca się po chodniku nakształt kopicy siana, obok męża słusznego a chudego jak tyka, na którego nosie potężnym, mimo ciemności egipskich, można było dojrzyć okulary w złotój oprawie.

— Mam ja dobre ucho—mąż ją uspokoił.—Konie Chaima i jego powóz poznałbym po samym turkocie nawet na jarmarku. Ale niedługo będzie woził prezydent! Gałgan już trzeci rok nie płaci podatku dochodowego. Lada dzień pošlę mu egzekutora, a potęm zlicytuję łotrowi dryndę i szkapy.

Pan inspektor podatkowy, słów tych domawiając, podniósł głos, jakby pragnął, by go słyssały osoby tak z przodu jak z tyłu postępujące. Już-to słusność każe nam wyznać, że mąż ten sprawiedliwy, na chlubę całego rodu Tusowiczów, z którego pochodził, o swoich obowiązkach nigdy nie zapominał, tak dalece, że ilekroć na myśl mu przyszło, iż w powiecie byli ludzie, którzy nie płacili regularnie podatków, wielce się tęp irytował, nawet martwił.

— Doprawdy, Maurycy, ja się sama wstydzę, że prezydent wciąż jeździ tą dryndą obdartą—pani inspektorowa znów przemówiła. — Rangą najstarszy w mieście urzędnik, a tak się pospolitujel! Na jego miejscu wołałabym pieszo chodzić. Zresztą nie dziwiłabym się, gdyby był biędny i nie miał za co trzymać własnego ekwipaża, ale ludzie mówią...

— Cicho! — mąż jęj przerwał, przyczęm za rękaw od płaszcza mocno ją pociągnął.

Żona w sam czas w język się ukąsiła; lecz że jęj to przyjemności nie sprawiło, a sercu swemu pragnęła ulżyć, przeto szybko dodała:

— Ciekawam, jak się dziś radczyni spisze. Gotowa nam znów dać twardą pieczeń z ogórkami.

— Moja kochana, czasy dziś ciężkie, zresztą koniowi darowanemu nikt w zęby nie zagląda — mąż odparł poważnie.

Tak rozmawiając, doszli do rogu ulicy Pańskiej, gdzie już było widać osób kilkanaście, które ze wszystkich stron nadciągały.

— Sługa pana radcy!—*Hab' die Ehre!*—Dobry wieczór panu burmistrzowi. — Upadam do nóżek pani komornikowej!—*Mein Kompliment, Herr Doctor!*—Ściele się do stóp pana inspektora dobrodzieja!—*Servus!*—Całuję rączki pani mecenasowej!—*Unterthaenigster Diener, Herr Major!*

Tak się witały matadory miasta, śpieszące na wieczór do państwa Darskich.

Od strony rynku znów zaturkotało. Po chwili ukazał się pod latarnią powóz całkiem kryty, ciągniony przez parę siwoszów roślących i tłustych, lecz bardzo flegmatycznych.

— Kanonik!—odezwało się naraz kilka głosów.

— W sam czas idziemy—inspektorowa szepnęła.

W połowie ulicy Pańskiej stał na wysokiem podmurowaniu, pośród ogrodu, w którym stare lipy rosły, dom parterowy o ośmiu oknach frontowych, biały, odświeżony, czerwoną blachą pokryty. Pani radczyni kupiła go przed rokiem, na publicznym przetargu, za pół darmo; lecz że wtedy była to zupełna rudera, przeto niemało poszło jej pieniędzy, nim go zazdrośni sąsiedzi ujrzeli w szacie dzisiejszej. Radczyni, dzieła dokonawszy, postanowiła dom poświęcić, co atoli nie mogło odbyć się bez wieczorku dla przyjaciół i lepszych znajomych.

Na ulicy widać było kilka powozów, z których goście wysiadali; kilka innych właśnie odjeżdżało. Przed furką od ogrodu był formalny ścisk. Wyglądało to, jakby zaproszeni, z obawy, by z nich który nie przyszedł przypadkiem pierwszy, dali sobie słowo, że wszyscy równocześnie zjawią się przed domem radczyni.

Okna są już oddawna rzęsiście oświetlone. Przez szyby kryształowe widać postacie, snujące się po pokojach, z których każda śpieszy z komplementem do go-

spodyni domu. Ta, stojąc na środku salonu, przyjmuje jednych uśmiechem, drugich uściśnieniem ręki, a tylko serdeczne przyjaciółki z okrzykiem „Ach! pani kochana!” głośno całuje. Tych jednak nie było wiele. Pan Li-siński, człek oka bystrego, który już od dłuższego czasu stał we framudze okna, zauważył, że radczyni zaszczycała swoją przyjaźnią tylko żonę prezydenta sądu, jej córkę, mecenasowę, wreszcie aptekarżowę, która w mieście pierwszą rolę odgrywała. Była to osoba jeszcze młoda, wcale przystojna, ukończyła edukacją u Sacré-Coeur, mówiła po francuzku, wspominała często o swoich znajomościach i koligacyach na wielkim świecie, przytém miała znaczny majątek i trzymała własny ekwipaż.

Radczyni, jasna blondyna, słuszna, bujnie rozwinięta, przypominająca nietyle rumianą cerą twarzy, co kształtami bohaterki Rubensa, dobiegała czterdziestki. Rysy miała grube, pospolite, chociaż dosyć sympatyczne. Przebijała w nich pewna dobroduszość, właściwa charakterom otwartym. I taką też była. Niejedno dałoby się jej zarzucić, wszelako o hypokryzyą, lub zupełny brak serca, niktby się nie odważył jej posądzić. Była to natura pierwotna, mało rozwinięta i słabo uczona, więc, jako taka, niemogąca mieć właściwego wyobrażenia o prawdziwej delikatności serca, lecz mimo to była ona przystępna dla uczuć tkliwszych, których atoli ci, co jej byli najbliżsi, nie umieli w niej rozwijać. To też, ilekroć się zdarzyło, że owe uczucia zaczęły w jej sercu kiełkować, zawsze prędkiej, niż mogły zakwitnąć, mroził je zimny materyalizm, wysoko ceniony przez jej męża i troskliwie w niej przezeń pielęgnowany, a będący podstawą jej charakteru.

Na wieczór dzisiejszy ubrała się w suknię ciężką, jedwabną, koloru ukochanego przez panią Pompadour, gdyż wiedziała, że jej w niej będzie do twarzy. Pod szyją miała broszę brylantową, w uszy wetknęła także kolce, na rękach błyszcząły drogie bransletki, na palcach

pierścienie wielkiej ceny. Jój bogactwo każdego w oczy uderzało.

W kilka minut po przyjeździe komornika cały dom się zapełnił. Damy, na ich czele prezydentowa, opanowały w salonie kanapę, kozetki i fotele; panny ugrupowały się malowniczo przy fortepianie; kawalerowie z kapeluszeniami w rękach snuli się popod ścianami, nie wiedząc, co z sobą począć; dokoła jednej pani aptekarszowej, która sama na boku usiadła, utworzyła się grupa z mężczyzn mówniejszych, między którymi prezydent sądu naczelne miejsce zajmował. Starsi panowie cofnęli się do dalszych apartamentów, gdzie swobodniej niż pod okiem dam szła pogawędka, zwłaszcza że służba obnosiła już wino na tacach, przy którym cygara wybornie smakują. Widać tam także było porozkładane stoliki zielone, na nich świece i karty. Gospodarz, którego żona napróżno zaklinała, by wespół z nią w salonie gości przyjmował, pomieszał się tu z innymi i wielce był uradowany, że nikt na niego uwagi nie zwracał. Radca lubił wygodę i swoje towarzystwo...

Salony radczyni połyskiwały. Wszystko w nich było nowe: począwszy od malowidła na ścianach, które było dziełem sławnego na całą okolicę Berka Lauersteina, i posadzek świeżo wywoskowanych, a skończywszy na meblach i starożytnych portretach rodzinnych, którym nie poskąpiono ani ram złożonych, ani werniksu. A mimo to apartament, acz świeży, uśmiechnięty, nawet woniejący, bo i kwiatów było w nim dosyć, robił wrażenie nietyle wytwornego mieszkania, co małego miejskiego hotelu, w którym tanim kosztem chcą gościa olśnić i zachwycić. Zamiast istotnego komfortu i zbytku, na który się sadzono, widziało się blichtr; miasto złota, szych; miasto przedmiotów wartości rzeczywistej, prostą tandetę. Meble były po większej części jaskrawą bawełnicą obite; prócz kilku portretów rodzinnych, acz lichego pędzla, wszystkie inne obrazy były to proste oleodruki o kolorach spłowiałych;

w dwóch rogach salonu stały kolumny drewniane, pociągnięte lakiem, przypominającym żółtawy alabaster egipski; nawet fortepian był oprawiony w fałszywy palisander. W dywanach i zwierciadłach oko bystre dojrzałoby także niemało plam, skaz i innych braków.

Gdy ostatnia z dam weszła do salonu, a radczyni, jak według zwyczaju, kilka kroków wzrokiem ją odprowadziła, by osądzić jej toaletę, pan Lisiński posuwisto zbliżył się do gospodyni domu i, w pulchną rączkę ją całując, rzekł głosem miękkim, pieszczotliwym:

— Chociaż w życiu mojem dużo już widziałem, z prawdziwą jednak przyjemnością muszę wyznać, że dotąd nie zdarzyło mi się nigdzie spotkać ani tak eleganckiego mieszkania, ani tak czarującej gosposi.

— Ależ to z pana komplemencista!—przerwała mu żywo radczyni.

— Bynajmniej, mówię świętą prawdę. U pani radczyni bogactwo i dobry smak dłonie sobie podały, by stworzyć istne pieścidełko. I doprawdy, tylko osoba obdarowana tym co pani smakiem i umysłem, mogła na partykularzu, jak nasz, takiego dzieła dokonać.

Pan Lisiński był mężczyzną pięćdziesięcioletnim, dobrej tuszy, łysawym, wiecznie uśmiechniętym. Gdy mówił, robił wrażenie człowieka obytego na wielkim świecie, który usiłuje wszystkich sobie zaskarbić. W powiecie mieszkał od lat kilku i był nieodstępny towarzyszem p. Grzywy, bogatego właściciela Strzałkowic z przyległościami. Nikt jednak nie wiedział, ani z kąd właściwie pochodził, ani czém się dawniej trudnił.

Radczyni, słuchając go, miała twarz rozpromienioną, a gdy skończył, zapytała:

— Więc doprawdy się panu podoba?

— Nad wszelki wyraz!

— To mnie bardzo cieszy, panie Lisiński. Jak to przyjemnie ujrzyć mężczyznę, który się umie poznać na naszej pracy. A mój Michał! Patrzy, a nie widzi, je-

szcze go to gniewa... A przecie gdy człowiek czuje pieniądze w kieszeni, powinien sobie na coś czasem pozwolić. Doprawdy, mnie to ogromnie martwi, że ten mój Michał taki do niczego. U niego wszystkiem re-wizor policyi, biuro i kasyno, a żona, dom, to nic... Doprawdy, to się kiedyś źle skończy...

— Żartuje pani radczyni — przerwał pan Lisiński, uśmiechając się złośliwie, czego jednak pani Darska nie dostrzegła.—Cały świat mówi o panu radcy, że to najlepszy ojciec i mąż.

— Mówi, bo go nie zna... Ale niechby się mnie zapytał, tobym mu powiedziała, jak mi dobrze. Ot, nie dawniej niż wczoraj, zrobił mi scenę, żem postanowiła gości zaprosić. A przecież to nie jego pieniądze, tylko moje... zresztą, choć raz na rok trzeba gości przyjąć... Ale—dodała głosem wahającym—nie trzeba bo znów myśleć, żeby on to czynił przez zbytne skąpstwo, bynajmniej! On towarzystwa unika tylko dlatego, że lubi spokój... W gruncie to człowiek dobry, innym chętnie radzi i pomaga, a jeno żona u niego ostatnia. Lecz co on temu winien, że taką ma naturę?—Tu głęboko westchnęła, potem zapytała:—Więc doprawdy pan znajduje, żem wszystko dobrze urządziła?

— Prześliczniel

— To mię cieszy. Nie uwierzy pan jednak, ilem miała kłopotów, bom wszystkiem musiała się sama zajmować, a ile wydatków! Ciekawam, czy téż pan zgadnie, ile mnie to mogło kosztować?

— W każdym razie kilka tysięcy.

— O! tak, tak... Ale przynajmniej postawiłam na swoim i dziś nie będę się potrzebowała przynajmniej nikogo wstydzić.

— Niech się inni wstydzą. Salon pani radczyni jest dziś bezsprzecznie w mieście pierwszy. Pani aptekarzowa rozchoruje się ze zmartwienia.

— Doprawdy? A to z pana figlarz!—zawołała radczyni tonem uradowanym.—Chociaż to się panu tylko



tak zdaje... ja przecież z nikim nie myślę współzawodniczyć.

— Jeszcze bardziej to ją zmartwi, że najlepsze towarzystwo dało dziś tu sobie *rendez-vous*.

— Istotnie, wszyscy są... z obywatelstwa także będą. Grzywa już przyjechał z bratankiem. Franuś Czapiński powinien lada chwila się zjawić, spodziewamy się także Palińskiego z żoną i innych...

— Czy będzie i hrabia?

— Który? Tęczyński?

— Tak jest, hrabia Tęczyński.

— Nie wiem, bo powiadają, że coś chory, ale gdyby nie to, pewnieby przyjechał. To mój wielki przyjaciel. Najbardziej się jednak cieszę na Czapińskiego.

— Czy to ten sam pan Czapiński, który trzyma Krzywe?

— Ten sam, Franuś Czapiński, bardzo przyjemny kawaler. Jaki z niego bywalec, a jaki salonowiec! Aptekarzową niezmiernie to martwi, że dotąd nie zrobił u niej wizyty, lecz jam temu nie winna... Namawiałam go nawet, żeby tam poszedł, on jednak ani chce o tém słyszeć!

— Pan Czapiński lęka się może o swoje serce.

— Ot, żartuj pan zdrow! Niby to ona taka powabna!...

Podczas gdy ci, na środku salonu stojąc, półgłosem tak rozmawiali, reszta towarzystwa, podzieliwszy się na mniejsze kółka, bawiła się niemniej swobodnie.

Siostra kanonika, pięćdziesięcioletnia panna Kunegunda, słuszna, czarna i sucha, nachyliwszy się do ucha swojej sąsiadki, szepnęła:

— Czy domyśliłaby się też pani prezydentowa, czemu radczyni tak młodo dziś wygląda?

Zapytana ramiona ściągnęła, ale nic nie odrzekła.

— Oto tamtego tygodnia — mówiła dalej panna Kunegunda — za swojej bytności we Lwowie wstawiła sobie wszystkie przednie zęby, bo już ani jednego nie

miała, a od wczoraj zaczęła także włosy farbować. Opowiadała mi to dziś rano jęj własna pokojowa, Karolina.

— Istotnie? Jam myślała, że ona się tylko pudruje.

— Puder to rzecz najmniejsza, chociaż i w tém trzeba przyzwoitość zachować. Radczyni ma już od niepamiętnych czasów cerę żółtą jak pergamin, więc obsypuje się pudrem sto razy na dzień. Gdyby go kto z nięj zeszkrobał, zrobiłby pewnie taléř klusek... A czy to ładnie, że się poobwieszala klejnotami, jakby miała pójšć do sklepu na wystawę? Szkoda wielka, że sobie jeszcze nie przyczępiła do stanika: z jednéj strony cukierniczki, z drugiéj choć ze dwie łyżki sębrne.

Córka prezydentowéj, żona adwokata Hocheisena, podsłuchawszy tę rozmowę, dodała od siebie:

— Możeby to i zrobiła, gdyby nie ta smutna okoliczność, że radczyni sęber wcale nie ma. Ani ona, ani jęj mąż nie lubi kapitału martwego, bo ten się nie procentuje. Co do jęj klejnotów, któremi tak imponuje, wiem także z dobrego źródła, że są to same imitacye. Fałszywe brylanty takie dziś taniel. Ale żeby coś podobnego nosić, trzeba mieć gust prostacki.

O kilka kroków od głównej kanapy, dokoła której toczyła się powyższa rozmowa, siedziała inspektorowa z żoną fizyka powiatowego. Ta druga dopięro przed kilku tygodniami przybyła z męzem w te strony, i dlatego towarzystwo, w którym się obecnie znajdowała, było jęj prawie całkiem obce. Zwróciwszy się więc do swojéj sąsiadki, zapytała:

— Nie mogłaby mi téz pani powiedziéć, jak jest z domu radczyni?

— Birman.

— Birman? Zapewne był to jakiś bankier, lub przynajmniej kupiec bogaty.

— Ani jedno, ani drugie, kochana pani. Był to sobie prosty poborca podatkowy, rangą młodszj od mojego męza.

— A z kąd radczyni ma taki majątek?

— To cała historia, kochana pani! Birman był biedny, nędza u niego aż piszczała, ale miał u siebie siostrę, pannę jak świat starą, a złą jak dyabeł, która, kupiwszy raz promesę za pięć guldenów, wygrała wielki los na loteryi. Miała wtedy wziąć przeszło sto tysięcy. Była to nieznośna bigotka, brudna, gderliwa, a język miała taki obosieczny, że na nikim suchej nitki nie zostawiła. Mój mąż znał ją doskonale. Pieniądze nosiła zawsze przy sobie na piersiach, i każdemu, czy kto chciał słuchać, czy nie chciał, mówiła, że rodzinie swojej nie da ani szeląga, bo to same próżniaki, lecz wszystko na kościół zapisze. Tymczasem, nim swój zamiar urzeczywistniła, znaleźli ją pewnego dnia w łóżku nieżywą. Mówiono, że umarła na apopleksyą, lecz kto tam wie... Jam przy tém nie była... plotek nie lubię... jednak, o ile słyszałam, sekcyi nie było... A przecie należało ją przedsięwziąć, choćby dla samój przyzwoitości... Mój mąż zna tę historiją doskonale. W ten sposób stary Birman odziedziczył po siostrze cały majątek, gdy zaś przed sześciu laty umierał, zostawił go córce, która teraz dmie!

— Więc radca przedtém nic nie miał?

— Nic, prócz skromnej pensyi, bo i radcą został dopiero przed rokiem, odkąd ma majątek. Nie dziwota: kto smaruje, ten jedzie... To człowiek lichęj kondycyi, chłopski syn. Gdy się żenił, miał ledwie dobry surdut na grzbiecie. Ja tam plotek nie lubię, ale źli ludzie utrzymują, że go Birmanowie skandalicznie łapali, bo panna była już wtedy dobrze prześcigła, jeżeli nie więcej... Zapewne musieli wiedzieć, co robią... Urzędnik sądowy mógł im się także kiedyś przydać... Ja, proszę pani, brzydzę się plotkami, ale coś tam w tém musi być. Przecie ludzie nie wysaliby sobie wszystkiego z palca.

— Z kąd jednak wzięły się tu stare portrety rodzinne?—zapytała doktorowa, podnosząc wzrok na ścianę przeciwległą.

Na to inspektorowa najpierw zachichotała, potem tak odrzekła:

— Mój mąż, który wie wszystko, opowiadał mi właśnie wczoraj, że ten dom należał dawniej do jakiegoś obywatela zbankrutowanego, który na strychu trzymał rozmaite rupiecie, a między nimi portrety swoich przodków. Radczyni kupiła dom na licytacyi, a z nim i portrety, pod które teraz sama się podszywa. Czy to nie wstyd? Ale mój mąż zrobi im temi dniami niespodziankę, gdyż wymierzy im należytość przenośną osobno od domu, a osobno od portretów. Ręczę, że się pochorują z irytacyi. Ale to będzie całkiem sprawiedliwe. Skoro chcą się w panów bawić, niech płacą. Zresztą oni ten dom nabyli za bezcen, z krzywdą sierot. Ja tam plotek nie lubię, ale doprawdy serce się ściska, gdy człowiek pomyśli, ile złego dzieje się na świecie.

Podczas gdy inspektorowa dalej w ten sposób bawiła swoją sąsiadkę, pani aptekarzowa, przechylona na fotelu, trzymając w jednej ręce wachlarz, w drugiej chusteczkę batystową, którą często do ust przykłada, stojących przed nią mężczyzn obrzuca kolejno spojrzeniem powłóczęstym, wszelako najdłużej zatrzymuje je na prezydencie, który, gładząc tłusty podbródek, uśmiechał się do niej lubieżnie sześćdziesięcioletnimi ustami.

Aptekarzowa, silna bruneta, słuszna, kształtnie zbudowana, mimo lat trzydziestu kilku, ma jeszcze oczy tak palące, że niejednego młodzika może niemi zmieszać, nawet ubezwładnić. Prezydent, mąż na arenie życiowej doświadczony i zahartowany, wytrzymuje ich pociski walecznie i czeka chwili, kiedy z piękną Pauliną z Jasnopolskich Przymkiewiczową sam zostanie, bo wtedy ich rozmowa swobodniej popłynie. Nastąpiło to prędzej, niżli się spodziewał. Urzędnicy niższej rangi zrozumieli, że dłuższe stanie obok prezydenta byłoby wiel-

ce niestosowném, więc też jeden po drugim zaczęli na palcach w tył się cofać.

— Zostawmy go, niech się oblizuje, jak lis do winogron—rzekł praktykant starostwa, odprowadzając na bok auskultanta sądowego.

— Nie sądz, że on napróżno wzdycha—odparł młody adept Temidy. — Aptekarzowa ma w sądzie proces o trzydzieści tysięcy... Rozumiész?

— Aha! — odrzekł praktykant, w czoło się uderzając.

Aptekarzowa przechyliła teraz piękną główkę w tę stronę, gdzie stał prezydent, i, zasłaniając się od reszty towarzystwa rozpiętym wachlarzem, rzekła:

— Jakoś obywatelstwa jeszcze nie widać...

— Grzywa już jest.

Uśmiechnęła się pogardliwie.

— Tegom nie miała na myśli.

— Może pani być spokojną, przyjadą i inni.

— Zapewne... radców każdy dziś potrzebuje.

Prezydent udał, że tych słów nie słyszał, i, aby rozmowę na inny przedmiot skierować, zapytał:

— Czy starosta i pułkownik byli wczoraj u państwa?

— Byli, i brakowało nam tylko pana prezydenta. Bawiliśmy się doskonale do drugiej po północy.

— Przykro mi, że nie mogłem państwu służyć, ale właśnie na wczoraj zaprosiły nas oddawna nasze dzieci. Pułkownik był zawsze nadskakujący?

Dama usta wydeęła.

— Ja wojskowych nie lubię, zwłaszcza młodzików.

— Piękny mi młodzik! Będzie miał najmniej czterdzieści pięć.

— To tak samo, jakby cywilny miał dwadzieścia pięć — odrzuciła pani aptekarzowa, i, topiąc w siwych oczach prezydenta palące swoje źrenice, dodała:—Ja lubię starszych... ludzi statecznych, dyskretnych...

Prezydent obrócił się, czy kto za nim nie stoi, i rzekł głośniej:

— Jakoś nie widzę tu ani starosty, ani pułkownika.

— O! ci tu nie bywają!—odparła piękna dama tonem, dającym wiele do myślenia.

Starosta i pułkownik, acz rangą młodsi od prezydenta sądu, poczytywali się w mieście za osobistości, stojące najwyżej w hierarchii społecznej; pierwszy bowiem, jako naczelnik powiatu, reprezentował samego monarchę; drugi pochodził z dobrej rodziny szlacheckiej, miał pod sobą cały pułk, zatem więcej, niż którykolwiek prezydent, przytém był człowiekiem gładkich form i należał do najlepszego towarzystwa. Oni właściwie nadawali ton w mieście. Wiedziała o tém radczyni i niezmiernie ją to bolało, że w jej domu nie bywali.

Prezydent chciał coś powiedzieć, gdy wtém pani aptekarzowa szybko głowę podniosła, a za nią to samo inne damy uczyniły. Bo oto za gospodynią domu, której dość długo nie było w salonie, wszedł służący w kurcie i butach wysokich, z ogromném pudłem na ramieniu. Na dany znak przez swoją panią postawił pudło na stole i sam wyszedł. Radczyni usiadła naprzeciw prezydentowej, wyjęła z pudła kapelusz damski i, do góry go podnosząc, rzekła:

— Niedawno byłam we Lwowie i porobiłam rozmaite sprawunki. Ciekawam, czy się paniom będą podobaly i czy mój gust pochwalicie. Ten oto kapelusz kupiłam dla mojej panny; proszę zgadywać, ile kosztuje?

— Cztery reńskie!... Półpięta!... Pięć!—odezwały się liczne głosy i w tejże chwili wszystkie damy, a na ich czele pani aptekarzowa, zbliżyły się do stołu.

— Omyliłyście się panie — odpowiedziała wesolo radczyni.—Ten kapelusz kosztuje tylko półczwarta reńskiego.

— Nie może być! — zawołała pierwsza inspektorkowa.

— Doprawdy? Ależ to za bezcen!—zawołała prezydentowa.

— To tylko pani radczyni umie tak dobrze kupować—dał się słyszeć głos komisarzowej.

Radczyni sięgnęła znów do pudła i tym razem wyjęła tuzin dziecięcych pończoszek, przeznaczonych dla Emilci, jedynej córeczki państwa Darskich, a przez środek wdzięcznie związanych niebieską wstążeczką. Puściła je dokoła, prosząc, by damy przypatrzyły się, jaki był ich gatunek, oraz aby zgadły cenę. Panie przez grzeczność podawały znacznie wyższą od rzeczywistą, a gdy się dowiedziały, że radczyni pończoski tanięj kupiła, zabrzmiały wyrazy uznania i okrzyki podziwu. Po pończoszkach przyszła kolej na chusteczki do nosa, trzewiki, kapelusze i wiele innych drobiazgów. Oglądanie, podziwianie i zgadywanie ceny nie byłoby się pewnie skończyło tego wieczoru, pudło bowiem było bardzo głębokie, gdyby nie pojawienie się szczęśliwe gościa, ku któremu wszyscy się zwrócili.

Był to mężczyzna trzydziestokilkoletni, słuszny, niezmiernie chudy, z wąsami jak sznureczki, z grzywką, przyciętą nad płaskim czołem, o cerze twarzy niewyraźnej, popielatawej, z głową u góry wąską, co ją robiło podobną do głowy cukru, posuwający się przez salon na nogach cienkich jak pręty. Miał na sobie frak, skrojony według ostatniej mody; biały krawat wdzięcznie mu się układał pod brodą suchą, a kończącą, z poza klapy głęboko wyciętej kamizelki wyglądały zalotnie czerwone końce fularu; szeroki przód jego koszuli był biały jak śnieg, a twardy jak pancerz; na nogach miał trzewiki lakierowane, z szerokimi kokardami. Z *chapeau-claque*'iem w lewej ręce zbliżył się krokiem posuwistym do gospodyni domu, i, przechyliwszy się wdzięcznie na prawy bok, jakby siadał, podał jej prawą rękę w kabłąk wygiętą, poczem rzekł: „Ca-

łuję ruci pani radczyni”—lecz ich nie pocałował. Ona nawzajem swoją rączkę mu podała, i tak serdecznym dłoni uściskiem przywitani się: właścicielka pierwszego w mieście salonu z pierwszym lwem powiatowym.

— Pan Franciszek Czapiński z Krzywego, nasz przyjaciel — rzekła radczyni, przedstawiając nowoprzybyłego kilku osobom bliżej stojącym, które go dotąd nie znały.

Pan Czapiński zwrócił się teraz rezolutnie ku damom i mężczyznom, i z pewnością człowieka, czującego swoją wyższość nad osobami, między którymi się znalazł, zaczął jednym sam się przedstawiać, a zaś drugim przypominać. A czyniąc to, mówił tyle i tak głośno, że w salonie wszystkich przygłuszył. Ukłoniwszy się ostatniej damie z wdziękiem tylko sobie właściwym, zbliżył się znów do gospodyni domu, która, widząc go nadchodzącego, zdaleka zapytała:

— A czemu to pan tak późno dziś przyjechał?

— Otóż właśnie o czém chciałem teraz mówić— odrzekł lew powiatowy. — Pani dobrodziejka dziwi się, że późno przyjechał, a ja tymczasem, słowo honoru daję, tylko po nadludzkich wysileniach, mogłem stawić się na rozkazy pani radczyni. Nie dalibyście państwo wiary, jak niespodziewanie i nadzwyczajnie rzeka dziś u mnie przybrała. W nocy i rano musiała być w górach wielka ulęwa. Słowo honoru, to coś niesłychanego! Mimo że do amerykanki, która ze wszystkich moich ekwipażów ma koła najwyższe, kazał zaprządz najlepsze cztery angliki... mam je od Potockiego, słowo honoru, z jego stadniny... musiałem do domu wrócić, bo o mało mnie woda wraz z końmi nie porwała. Czółna także nie było, bo je gdzieś fala uniosła. Niewiele jednak myśląc, siadam na *Floberta* sam, a *Gipsy* daję memu człowiekowi, który otrzymał rozkaz wziąć kuferek z memi rzeczami, i już pod wieczór puszczam się z nim na wodę. Mój Grześ niebardzo był temu rad, ale u mnie niema opozycji. Ułan nie żartuje. Ko-



menda: marsz! i naprzód! Słowo honoru, u mnie zawsze tak. Gdy koniom zaczęła woda sięgać po brzuchy, pomyślałem: źle, mogę się zamoczyć... komenderuję tedy: na grzbiet! W jednej chwili stanęłem na grzbiecie mego *Floberta*, a niezwłocznie i Grześ to samo uczynił. Na środku rzeki było jednak tak głęboko, że bałem się, iż konie spłyną. Wtedy wołałem: na łeb! memu *Flobertowi* skaczę na głowę i staję mu między uszami. Słowo honoru, to nie żarty! Że mnie się to udało, niema w tém nic dziwnego: porucznik od ułanów, choć rezerwowy, nigdy się nie blamuje; ale że takie salto-mortale powiodło się także Grzesiowi, to rzecz trochę trudniejsza. A jednak, gdy się obróciłem, widziałem go, że stał jak mur na łbie *Gipsy* i w jednej ręce trzymał cugle, w drugiej kufelek. Ja, proszę państwa, o ludzi dbam, jeść im daję, ile chcą, płacę ich doskonale, ale jak który nie słucha, dwadzieścia pięć odléwanych! Słowo honoru, jakem Franciszek Czapiński! W ten sposób, nie przemoczywszy nawet obuwia, dostałem się na drugi brzeg, by pani radczyni złożyć moje uszanowanie.

Pomiędzy damami zabrzmiał szmer podziwienia.

— Nie może być! Doprawdy?—zawołała radczyni, wzrok pełen uwielbienia na mówiącego kierując.—Jak to zaraz poznać prawdziwego kawalera!

— Który zawsze i wszędzie pragnie damom służyć—dokończył lew.

Pani aptekarzowa, która przypadkiem znalazła się teraz tak blisko prezydenta, że jój ramię dotykało się jego ramienia, cichutko szepnęła:

— Widzi pan, jakie ona do niego oczy robi?

— Widzę... i dałby Bóg, żeby się kiedy o tém sąd nie dowiedział.

Pani aptekarzowa zachichotała i końcem swego wachlarza uderzyła prezydenta delikatnie po palcach. Prezydent oblizwał się nieznacznie i, zwracając się do p. Czapińskiego, rzekł:

— Ale te pańskie konie muszą mieć nielada łby i karki.

— Żelazne, słowo honoru! żelazne, jak prawdziwe folbluty!

Prezydent miał coś złośliwego na języku, lecz nie mógł już tego wypowiedzieć, ponieważ zjawił się gość nowy a niezwykle.

Ten, na którego teraz każdy patrzył ciekawie, był mniej więcej w tym samym wieku co Franuś Czapiński, lecz wyglądem wielce się od niego różnił. Rysy twarzy miał regularne, prawie greckie, włosy czarne, połyskujące, na środku głowy rozdzielone, które od smagłego oblicza odbijały jak heban od kości słoniowej; czoło miał otwarte, szerokie; oczy duże, niebieskie; brodę od włosów o jeden cień jaśniejszą, ściętą ku dołowi. Nad ustami, które, gdy do salonu wchodził, uśmiechały się sympatycznie, wił mu się wąs niewielki, filuternie w górę podkręcony. Budowa jego ciała była męzka, silna, prawie atletyczna. W ruchach, obok prawdziwej dystynkcji, uderzała wielka pewność siebie, ale bez śladu arogancji.

W salonie dał się słyszeć szmer niewyraźny.

Gdy się zbliżał do gospodyni domu, aby ją powitać głębokim ukłonem i słowami stosownymi, mężczyźni oglądali go okiem krytycznym, panie natomiast robiły już cichutko rozmaite uwagi, udzielając ich sobie z poza rozpiętych wachlarzów. Najbardziej zainteresowaną była pani aptekarzowa, czego jednak prezydent nie zauważył, gdyż i on był nowoprzybyłym bardzo zajęty.

Radczyni, mimo pudru, którego jej nie mogła darować panna Kunegunda, zarumieniła się jak panienka szesnastoletnia i, obracając się do swoich gości, rzekła z pewnym zakłopotaniem:

— Pan Konrad Paliński, zięć hrabiego Tęczyńskiego.

Na końcu salonu, gdzie siedziały same podlotki, dało się słyszeć tęskne: ach!, które prawdopodobnie miało znaczyć: Jaka szkoda!

Radczyni, nieobznajmiona dostatecznie z wielkoświatowymi zwyczajami, chciała Konradowi najbliżej stojące damy przedstawić, on atoli temu przeszkodził, szybko mówiąc:

— Mój teść kazał się usprawiedliwić, że, mimo chęci najszczerzych, nie mógł dziś służyć pani radczyni, lecz od kilku dni tak mu znów reumatyzm dokucza, że chodzić nie może. Co zaś do mojej pani, która z wielką radością gotowała się na ten piękny wieczorek, to całą odpowiedzialność za jej nieobecność biorę na siebie, ponieważ zostawiłem ją przy naszym Stasiu, który od dwóch dni brzydko kaszle.

— O! jakże mi przykro! Biędne dzieckol — zawołała radczyni, tą wiadomością żywo poruszona. — Muszę panu dać receptę od bardzo sławnego lekarza, która już nieraz mojej Emilci pomogła. Do dwudziestu czterech godzin kaszel ustanie, jakby go kto ręką odjął.

To rzekłszy, chciała pójść zaraz recepty szukać, gość jednak prośbą ją zatrzymał, by dla takiej drobnotki nie opuszczała towarzystwa, i przyrzekł przed odjazdem receptę sam jej przypomnieć.

— Trzymam pana za słowo, bo ja państwa dzieci kocham jak własne! — zawołała z emfazą.

Radczyni byłaby jeszcze mówiła, ale przeszkodził jej w tém Franuś Czapiński.

— Jak się masz, Konradzie! Kopę lat cię nie widziałem! — zawołał, dotykając się policzkami twarzy Konrada i całując powietrze na sposób arystokratyczny.

— Franuś! Istotnie, to ty! Co ty tu robisz, Franusiu?

— Od św. Jana mieszkam ztąd o milę, a o trzy od ciebie; nawet kilka razy wybiierałem się do Lipińca, ale wśród żniw czasu na to nie było. Cieszę się je-

dnak, żem cię tu spotkał. Słowo honoru, Konradzie, od ław szkolnych nie zmieniłeś się ani o włos!

— Tylkom postarzał.

— Wcałe nie, słowo honoru!

Poufałość, z jaką dzierżawca Krzywego witał zięcia pierwszego w powiecie arystokraty, postawiła go odrazu dobrze w przekonaniu mężczyzn, a zaś w oczach dam użyczyła mu blasku nowego.

Ledwie Konrad miał czas przywitać się z kilku osobami, które znał dawniej, a innym się przedstawić, gdy Franuś prawie przemocą wziął go pod ramię i szepnął mu na ucho:

— Nie poznawaj się z wszystkimi, bo tu dużo hołoty! Ja ci powiem, komu warto rękę podać, bo ja to śmiecie znam doskonale.

— Ja, przeciwnie, wychodzę z zasady — odrzucił Konrad, — że, w towarzystwie, do którego weszliśmy dobrowolnie, powinni nam być wszyscy równi.

— Widać, żeś wieśniak i miasta całkiem nie znasz. Jakbyś się zawsze trzymał téj zasady, słowo honoru, mógłbyś kiedyś tego pożałować!

— Nim jednak pożałuję, pozwól, Franusiu, bym nie zrywał ze starymi przekonaniem.

— Ha! rób, jak myślisz, ale nie zapominaj, żem ci radził.

— Chciałbym teraz, Franusiu, odszukać gospodarza.

— Zaraz ci go pokażę, chodź tylko za mną!

To rzekłszy, Franuś skierował się ku sali jadalnej, gdzie służba stoły już zastawiała; w przechodzie jedną dziewczynę pogłaskał, drugą uszczypnął, na co one głośnym śmiechem odpowiedziały; otworzył drzwi przeciwległe i wprowadził kolegę do pokoju obszernego, w którym było ciemno od dymu. Tak w tym jak i w dwóch przyległych znajdowali się sami mężczyźni. Po większej części grali oni w karty, a tylko dwóch czy trzech

usiadło na boku z kanonikiem, by przy cygarach i winie o polityce pogawędzić.

Radca, na widok wchodzących, porwał się od stołu, bo i on grał, i, jakby drogich a długo niewidzianych przyjaciół nagle zobaczył, z uśmiechem i z ramionami rozwartemi pobiegł na ich spotkanie. Franusia ucałował; Konrada ujął za obie ręce i, czule w oczy mu patrząc, jak człowiek ludzkość kochający, najpierw gorąco mu dziękował, że raczył jego „chatę” odwiedzić, potem zaczął go wypytywać o zdrowie żony dobrodziejki, dziatka, hrabiego, panny Zofii, przy końcu nie zapomniał także o pani Zielińskiej, staruszce osiemdziesięcioletniej, która u państwa Tęczyńskich z dawien dawna mieszkała. Tyle było szczérości w jego słowach, tyle pocziwego wesela w oczach i na twarzy, że Konrad, który go widział dopiero drugi czy trzeci raz w życiu, nie mógł wyjść z podziwienia. W duchu też sobie powiedział, że tylko człowiek nawskróś zacny może tak przyjmować jak radca Darski.

— Panie Paliński, jak się pan ma!—usłyszał Konrad gruby głos za sobą.

Obrócił się. Przy opuszczonym stoliku siedział mężczyzna dobrze już szpakowaty, otyły, z twarzą obrzękłą, pospolitą, którą oczki siwe a małe słabo rozjaśniały. Krawat pod szyją miał rozwiązany, koszulę na piersiach rozpiętą, z czoła spływał mu pot w grubych kroplach. Jedną rękę trzymał na poręczy krzesła, w drugiej miał chustkę, którą sobie twarz obcierał. Sapał ciężko, jak człowiek zmęczony lub zirytowany.

Był to pan Bartłomiej Grzywa, właściciel Strzałkowiec z przyległościami i grubych kapitałów.

Obok niego stał pan Lisiński, układny, uśmiechnięty. Nachylał on się często do ucha pana Grzywy i głosem pieścizotliwym coś mu szeptał.

— A, pan Grzywa!—rzekł Konrad, podchodząc do niego.—Bardzo mi miło widzieć tu pana dobrodzieja.

— Jak się pan ma!... Co u was słychać?... Hrabia zdrów?—pytał pan Grzywa, z krzesła nie wstając.

— Nie całkiem... reumatyzm znów mu dokucza.

— Głupstwo reumatyzm! Byle Żydzi dali wam raz pokój. I cóż, utrzymacie się przy Lipińcu?

— Mam nadzieję.

— Zobaczymy, lecz mnie się zdaje, żeś się pan porwał z motyką na słońce.

— Robię, com powinien; a stanie się, co Bóg da.

— Piękna sentencya; czy jednak trafna, dopiero przyszłość okaże. A pamiętałeś pan o tych kartoflach, o których przed miesiącem wspominałem?

Tu Lisiński nachylił się i szepnął:

— Ależ, panie dziedzicu...

— Cóż takiego? — odparł pan Grzywa, kierując na niego zdziwiony wzrok.

Lisiński zaczął śmiać się, acz śmiechem wymuszonym, i rzekł do Konrada:

— Nasz szanowny dziedzic żartuje...

— Żartuje? Dobry sobie! Ja w interesach nie znam żartów.

— Ale niech dziedzic dobrodziej zważy, że nie tu miejsce po temu...

— Nie tu? A ciekawym, gdzie będę mówił o tych nieszczęśliwych kartoflach, skoro go tak prędko gdzieindziej nie zobaczę?

— To może lepiej będzie téj materyi całkiem dać pokój—szepnął znów ciszej Lisiński.

— Patrzcie go, jak to jemu łatwo robić prezenta z cudzej kieszeni! Niedość, że mi przed chwilą wzięli dziesięć guldenów w preferansa, dyabli wiedzą za co, onby jeszcze chciał, bym sto korcy kartofli darował. A wiesz ty, Lisiński, ile one mnie dziś kosztują? Najmniej pięćset reńskich. Osiem lat temu rządca hrabiego wziął odemnie sto korcy do sadzenia i święcie przyrzekł zwrócić w jesieni ze stosownym procentem; tymczasem... obiecał pan kożuch, ciepłe było jego słowo.

O moich kartoflach ani wróble dotąd nie świszczą. Ale pan Paliński obiecał mi przed miesiącem na jarmarku, że je dostanę, więc go trzymam za słowo.

— Prawda, teraz sobie przypominam, żeśmy o nich mówili—rzekł Konrad.—Może pan dobrodziej być całkiem spokojny. Jak tylko ziemniaki wykopię, natychmiast dług z procentem odeślę.

— Niech pan pamięta, żeby się nie skończyło tak samo na obietnicy, jak wtedy, gdy rządca pożyczał.

Młody człowiek przygryzł nieznacznie dolną wargę

— Jam nie zwykł robić obietnic, którychbym nie miał zamiaru dotrzymać—odparł sucho.

— To mię bardzo cieszył

Konrad chciał już odejść, gdy wtém z drugiego pokoju nadszedł bratanek pana Grzywy, Antoś, chłopak młody, przystojny i wielce sympatyczny. Konrad znał go oddawna i, mimo dość znacznej różnicy wieku, zaszczycał go swoją przyjaźnią.

Podczas gdy młodzi ludzie z sobą rozmawiali, a pan Grzywa, wciąż na dawném miejscu siedząc, lustrował ich kolejno okiem przenikliwém, nagle spojrzenie jego zatrzymało się na pięknej, złotój dówizce, którą Antoś miał u zégarka.

— Héj, chłopczel — zawołał — zkąd masz ten łańcuszek?

Lisiński szepnął mu do ucha:

— Na litość boską, panie dziedzicu, kto o takie rzeczy pyta przy obcych młodego człowieka!

Pan Grzywa, z tropu niezbity, znów zawołał:

— Mów, zkąd go masz?

— Matka mi go kupiła.

— Matka? Ciekawym, zkąd ona wzięła tyle piędzy? Tobie złote łańcuszki kupuje, a jak potém jój samój braknie, będzie mi oczy darła. Już nieraz tak bywało!

Młody człowiek zaczerwienił się po białka oczu. Widać było, że tylko z największym wysiłkiem gniew

w sobie hamował. Konrad udawał, że nic nie słyszał, i na palcach wymknął się do drugiego pokoju. W jego ślady pośpieszył Franuś Czapiński.

Na szczęście Antosia zaproszono wszystkich do kolacyi.

Gwarno i wesoło było przy stołach, a zasługa w tém była Franusia, ten bowiem, jako niezrównany aranżer balów, obiadów i kolacyjek, kazał zebranymsiadać przeplatanego. Dzięki temu zarządzeniu aptekarzowa znalazła się obok prezydenta; gospodyni domu miała po prawej ręce Konrada, po lewej Franusia; panna Kunegunda suchemi łokciami dotykała się okrągłego ramienia majora od ułanów, który w jej oczach miał ten przymiot nieoceniony, że był dotąd kawalerem; inspektorowa znalazła towarzysza w kanoniku; mecenasowa w auskultancie sądowym, a zaś żona fizyka w adjutantcie pułkowym. Tak więc każda dama miała z kim rozmawiać.

Służby było pełno. Lokaj pani aptekarzowej, z angielskimi bokobrodami, wyfraczony, w białym krawacie i w białych rękawiczkach, usługiwał po jednej stronie głównego stołu, przy którym siedziały same matadory; a zaś po drugiej jego stronie ważne te obowiązki spełniał służący prezydenta, w długim, czarnym surducie. Famulus radczyni, ów w kurcie i butach wysokich, który do salonu wnosił pudło ze sprawunkami, podawał potrawy przy stole drugim, gęsto obsadzonym mniejszemi bożkami, wśród których praktykant starostwa, młodzieniec przystojny i butny, wybitną rolę odgrywał. Dwie dziewczynki, chędogo ubrane, acz bose, były łącznikiem między lokajami a kuchnią. Dozór nad całą służbą objęła pokojowa, Karolina. Sama gospodyni domu, nie mogąc spuścić się całkiem na tych „gałganów,” jak zazwyczaj swoje sługi nazywała, nieraz przedtém wybiegała ukradkiem do kuchni, gdzie od rana dwóch „pożyczonych” ze wsi kucharzów w pocię czola pracowało. Każda jej wizyta w tém miejscu



była połączona z płaczem to Kaśki, to Maryśki i gdęranieniem kuchmistrzów, którym zarzucała, „że zawiele masła ekspensują.”

Potrawy zmieniały się według programu zgóry ułożonego; była ich taka mnogość, że najlepszy gastronom nie mógłby wszystkich spamiętać. Gdy z kolei przyszło na stół czwarte pieczone, Franuś Czapiński, który już na widok trzeciego wielce się niecierpliwił, szepnął teraz do swojej sąsiadki:

— Słowo honoru, dobrego aż zawiele!

— Doprawdy? Więc to źle? — spytała zdziwiona radczyni.

— Przepraszam panią, ale ta uczta została zadysonowana z pominięciem wszelkich reguł szyku.

— To pan temu winien—odrzekła, rumieniąc się, w części z gniewu, w części ze wstydu.—Najpierw pan święcie obiecał przyjechać i kolacją ułożyć, a potem całkiem się pan nie pokazał.

— Woda mi przeszkodziła, słowo honoru, woda; na drugi jednak raz przyjadę, choćby pioruny z nieba biły, bo to formalny blamaż!

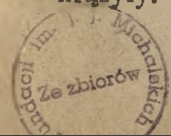
Inspektorowa na siedzącą *vis-à-vis* mecenasową rzuciła wiele znaczące spojrzenie, poczem ręką talérza się dotknęła i wzrok z uśmiechem ironicznym na niego opuściła, co miało znaczyć: fajansowy! Mecenasowa, odwzajemniając się, pokazała inspektorowej nóż z trzonkiem rogowym. Obie się zrozumiały i doskonale zabawiły.

Aptekarzowa szepnęła do swego kawalera:

— Obfitość jadła, jak na prażniku... Ręczę, że się to skończy ryżem z bitą śmietaną.

Prezydent pod koniec kolacyi był pewny, że jego sąsiadka ostatnią potrawę odgadła duchem proroczym, tymczasem ona od rana wiedziała, czém radczyni będzie fetowała swoich gości.

Kielichy z winem, acz nie pierwszój jakości, gęsto krążyły. Panowie wychylali duszkiem jeden po drugim



ich twarze robiły się rumieńsze; niektórym, zwłaszcza łysem, z czupryn się kurzyło. W miarę, jak humor robił się coraz swobodniejszym, przybywało toastów. Pi-to za zdrowie gospodarstwa i gości, prezydenta i ma-jora, kanonika i prokuratora, ale najwspanialszym był rymowany toast Franusia Czapińskiego, wzniesiony na cześć dam, na który pani aptekarzowa odpowiedziała wychyleniem kielicha za zdrowie kawalerów.

Po wieczerzy, a skończyła się ona dobrze po pół-nocy, panie udały się do salonu, aby śpiewać przy for-  
tepienie i bawić się dalej miłą konwersacją; wśród ogólnej wesołości kilka par zaczęło się nawet kręcić; a mężczyźni zaś cofnęli się znów do swego apartamen-tu, by dalej grać w karty, pić i cygara palić. Gospo-darz tak był rozochocony, że sam gościom wina dolé-wał, co u niego należało poczytywać za dowód szcze-gólniejszej uprzejmości.

Już niedaleko było do rana i wiele osób powa-  
żniejszych oddawna opuściło salony radczyni, gdy nie-  
spodziewanie przy jednym stoliku wszczął się krzyk  
i wołania:

- Oszust!
- Ty sam oszust!
- Złodziej!
- Ty sam złodziej!

Nim obecni mogli się domyśleć, co się stało, już na środek pokoju wyskoczyło dwóch mężczyzn: inspektor podatkowy i praktykant starostwa, obaj zacierze-wieni jak koguty, i w téjże chwili rozległ się łoskot, podobny do tego, jaki wydaje mokre płótno, gdy w nie kobiéta wiejska uderzy silnie pralnikiem.

Z dwóch zapaśników jeden zniknął. Drugi, pra-  
ktykant, stał blady, ponury, gniewem dyszący.

Gospodarz pierwszy zorientował się w położeniu; schylił się więc do ziemi, by inspektora z niej pod-  
nieść.

— A to historia nieprzyjemna—mówił zafrasowany.—Na co się było tak unosić... Pan inspektor zawsze gorący, niby młodzik jaki, więc nie dziwota, że się pośliznął i upadł. Ale niech pan sobie z tego nic nie robi, na świecie nie raz to się trafia.

— Wszystko głupstwo!—odrzekł inspektor, powstając—ale gdzie moje złote okulary? Trzydzieści reńskich kosztowały.

Gdy mu okulary znaleźli, a nie przyszło to łatwo, bo aż pod szafę poleciały, obejrzał najpiérw uważnie, czy nie były stłuczone, potem szkła w nich przetań starannie, włożył je na nos, i mrużąc coś niezrozumiałego, pogroził praktykantowi, który w pozycji niezmięnionej stał na dawném miejscu.

Po chwili inspektor wychodził sam, mając kołnierz od surduta wysoko podniesiony. Jego żona wróciła wcześniej do domu w towarzystwie poborcy podatkowego.

Wślad za inspektorem, jakby jego cień, wyszedł praktykant starostwa.

Nazajutrz ludzie sobie opowiadali, że na mostku przed domostwem inspektora Tusowicza widziano do dnia dwóch mężczyzn, głośno z sobą rozmawiających, poczem rozległ się łoskot i jeden runął do rowu wodą napełnionego, drugi zaś odszedł w stronę rynku.

Praktykant starostwa był w biurze o 9-tój rano, wprawdzie trochę niewyspany, lecz w humorze jeszcze lepszym niż zwykle; zato pana inspektora naprózno interesanci do południa wyglądali. Dopiero z uderzeniem 12-tój przybiegła do urzędu podatkowego służąca z oznajmieniem, że pan inspektor tego dnia do kancelaryi całkiem nie przyjdzie, bo ciężko zachorował.

Ledwie za ostatnim gościem państwa Darskich zamknęła się furta od ich ogrodu, a już radca zrzucił frak z siebie i nogą go kopnął, potem ruchem gwałtownym rozerwał biały krawat i gromkim głosem wezwał swego famulusa, by mu podał kurtę codzienną

którą tak lubił, że w niej nawet do biura chodził. Prezydent robił mu z tego powodu nieraz uwagi, radca atoli puszczał je zawsze mimo uszu i z kurtą się nie rozstawał, chyba w tych dniach, w których odbywały się w sądzie narady gremialne. Wtedy pojawiał się już w czarnym surducie.

Podczas gdy on się przebięrał, klnąc wszystko i wszystkich, żona jego robiła równocześnie w kuchni scenę służbie niewieściej za rozmaite niedokładności i błędy, popełnione przy kolacyi. Dziewczęta udawały, że słuchają i uwagi swojej pani do serca biorą, wszelako ledwie ona drzwi za sobą zamknęła, zaczęły śmiać się i ją przedrwiwać.

Radczyńni poszła zobaczyć, co mąż robi. Zastała go chodzącego po pokoju sypialnym.

— Ty się nie kładziesz?—zapytała zdziwiona.

— Na co, żeby za godzinę wstawać? Raczej pójdę się przejść... świeże powietrze trochę mnie orzeźwi. Popatrz, szósta dochodzi... do białego rana to psiarstwo siedziało. Bodaj ich cholera wytłukła!

— Fe, Michale, jaki z ciebie grubianin.

— Przez dziesięć lat mogłaś się przyzwyczaić, a jeśli ci moje grubiaństwo jeszcze nie smakuje, to odczep się odemnie raz nazawszel! Jestem, jakim mnie Pan Bóg stworzył, i dla nikogo nie myślę się zmieniać, bo nikogo nie potrzebuję.

— Lecz zważ, Michale, że służba słucha.

— Niech słucha, mnie to nic nie szkodzi. Ja chcę spokoju, a ty mi do domu sprowadzasz całe miasto. Wściekłaś się, czy co!

Żona poruszyła się niespokojnie nie chcąc atoli bardziej go drażnić, zdobyła się jeszcze na ton łagodny i rzekła:

— Przynajmniej wieczór wybornie nam się udał. Ani u prezydenta, ani u aptekarzowej równego dotąd nie było.

— O! prawda!... Praktykant starostwa tak go przypięczętował, że wiadomość o tém dojdzie z pewnością do samego Wiednia; dałby tylko Bóg, żeby choć dzienniki o nim nie pisały; a inspektor będzie go pamiętał do końca swego życia. Bodaj ich cholera wytlukła!

To powiedziawszy, radca zaczął coraz szybciej biegać po pokoju. Żona, nie wiedząc jeszcze, jaką awanturą jój wieczór się zakończył, nie zwróciła szczególniejszej uwagi na słowa męża, i, nawiązując mowę do ostatniego jego wykrzyknika, rzekła:

— Jak widzę, Michale, ja z ciebie nic już nie zrobię. W oczy mówisz ludziom, że ich kochasz, całujesz się z nimi i przyjaciółmi ich nazywasz, a poza oczy tobyś ich wszystkich w łyżce wody utopił. Fe, Michale, fe, to się przecie nie godzi.

— Jestem, jakim powinienem być, bo przecie kariery nie będę sobie psuł, a na twój majątek nie myślę się spuszczać; lecz ile ludzie są warci, to ja wiem najlepiej. Sami obłudnicy!

— A Grzywa i rewizor policyi, bez których prawie żyć nie możesz, choć ci to wcale zaszczytu nie przynosi, czy ci są lepsi?

— To szczerzy ludzie!

— Wiész co, Michale, mnie się zdaje, że ci są tylko prostacy i dlatego lgniesz do nich. Niedarmo mówią, że natura ciągnie wilka do lasu, a swój swego zawsze znajdzie... Ty lubisz samych grubianinów, z którymi nie potrzebujesz sobie robić subiekcyi.

— A ty głupie kumoszki, puszczające wszystko na pytel.

— Może to i prawda, Michale, lecz że mi kumoszki nie wystarczają, masz w tém dowód oczywisty, iż szukam lepszego towarzystwa, choćby nie dla siebie, to przez wzgląd na dzieci.

— Dzieciom zostaw majątek i nie roztrwaniaj go na przyjęcia, a najlepiej tém im się przysłużysz.

— Prócz majątku, trzeba im dać także dobre wychowanie i ogładę towarzyską, a téj nabiorą tylko między ludźmi.

— Z pewnością nie między takimi, jakich do siebie zapraszasz. Przyjdzie to psiarstwo, naję się i napije i jeszcze cię na języki weźmie. A bodaj ich...

— Że twój świat urzędniczy, Michale, niewiele wart, o tém wiem oddawna i dlatego staram się o stosunki ze szlachtą. Im więcej przyjaciół będziemy mieli między obywatelami, tém wyżej podniesiemy nasz dom i rodzinę.

— I ty myślisz, głupia babo, że oni tu bywają dla ciebie lub dla mnie?! — mąż zawołał głosem syczącym, drwiąco się uśmiechając. — Oni umizgają się do pieniędzy, które ma Darska, i do stanowiska, które Darski piastuje. Z wyjątkiem jednego Grzywy, to sami bankruci: więc albo do sądu lada dzień przyjdą z prośbą, żebym ich ratował, bądź téż do ciebie się zgłoszą, byś im pieniędzy pożyczyła. Niech ich choroba porwie!

— Michale, co mówisz! Czyżby cały świat z samych łotrów się składał?

Słowa męża sprawiały jęj wielką przykrość; ona chciała świat widzieć lepszym, niż on go jęj przedstawiał. Radca, przeciwnie, widział go złym głównie dlatego, że urodził się na najniższym stopniu hierarchii społecznej, z wszystkimi uprzedzeniami do warstw wyższych; później zaś ani w sobie serca na tyle nie wykształcił, by mógł ukochać, jeśli już nie ludzkość całą, to przynajmniej to jedyne społeczeństwo, wśród którego żył,—ani téż przez nauki i myślenie nie rozwinął do tego stopnia swego umysłu, iżby był w stanie ludzkie błędy rozumieć i szlachetnie je przebaczać. Radca był z natury skryty, zimny, podejrzliwy. Wybił się własną pracą, przyczém ze światem ciężką walkę staczał, czego mu później ani przebaczyć, ani zapomnieć nie umiał; gdy na jego żonę spadł wielki majątek, stał się odrazu w powiecie prawie znakomitością,

ale mimo to w głębi duszy pozostał zawsze chłopem, lękającym się postradać to, co już miał, a łakącym cichaczem tego, czego jeszcze nie posiadał,—samolubnym i podejrzliwym, bo mu się zdawało, że ludzie, zwłaszcza z wyższej sfery, czyhali wciąż na jego stanowisko i majątek, by go zepchnąć do nicości, z której wyszedł. Serce jego było pełne owych instynktów poziomych, nawskróś samolubnych, które w człowieku pierwotnym dopiero prawdziwa cywilizacja wytępia; lecz że miał rozum i lepiej grał komedią, niż ci wszyscy, których sam obłudnikami nazywał, więc się z nimi nie zdradzał. Gruby materyalizm był także podstawą charakteru jego żony; ale podczas gdy ona, idąc za popędami delikatniejszej natury kobiecój, wzdychającój zawsze do tego, co piękne i wzniosłe, była gotowa, a nawet może pragnęła złe skłonności w sobie przygłuszyć, by tém łatwiej tam się wznieść, gdzie widziała od siebie doskonalszych,—on, przeciwnie, chciał umrzeć, jakim był, bo osądził, że tak mu najlepiej.

Radczyni, nie mogąc na ostatnie swoje zapytanie doczekać się odpowiedzi, mąż bowiem, przy oknie stojąc, zdawał się być zajęty w téj chwili chłopami, którzy szli drogą, znów przemówiła:

— Mój Michale, choćbyś nie wiedzieć jak na szlachtę wygadywał, ja jednak nie przestanę utrzymywać, że tylko między obywatelami można jeszcze znaleźć ludzi prawdziwie zacnych... Czy znasz, na przykład, człowieka szlachetniejszego od hrabiego Tęczyńskiego? A jego córki czy nie mogą wszystkim kobietom za wzór służyć? A młody Paliński, jaki piękny, dobry i sympatyczny! Powiadają, że na całym świecie niema lepszego męża, niż on. Gdybyś ty, Michale, chciał go choć trochę naśladować!... Z takimi żyć nietylko przyjemnie, ale i zaszczytnie.

— I ty myślisz, że oni chcą z tobą żyć?

— Przecież u nas bywają.

Radca zaśmiał się gorzko.

— Słuchaj, babo, może choć dziś oczy ci otworzę!—rzekł dobitnie.—Grzywa bywa u nas, bo to lichego gatunku dorobkiewicz, więc szlachta nie chce go uznać za swego i z nim żyć. Czapiński zrobił nam wizytę, bo u siebie na wsi nie ma co jeść, więc dobrze mu do miasta przyjechać na obiad bezpłatny i przytém jeszcze zablagować, za co głupie gęsi miejskie na rękach go noszą. Trocki czasem się pokaże, bo ma trzysta procesów. Goldeifera, choć wychrzta, trudno przecieź do szlachty zaliczać; a co do Tęczyńskiego i jego zięcia, to ci znajdują się w takich stosunkach, że bez czynnej opieki sądu nie mogą kroku postąpić. I nie zapominaj także, że ich sprawy należą do mego referatu. Byli więc i oni u nas w dobrze zrozumianym interesie własnym; ale patrz, jak nam są życzliwi, jak nas cenią: Zaprosiłaś ich na wieczór. Hrabia wymawia się reumatyzmem, jego córka kaszlem dziecka; jeden Pałiński przyjechał, aby nie wyglądało, że z nami całkiem zrywają. Wszelako niech jutro ich stosunki się poprawią, a i on plecy ci pokaże; jeśli zaś ty do Lipińca przyjedziesz, każą ci powiedzieć, że ich w domu niema. I nie myśl, że się im dziwię; bynajmniej! Na ich miejscu możebym tak samo postępował. Każdy szuka towarzystwa odpowiedniego swemu wychowaniu i wykształceniu. A oni, gdy tu przyjadą, o czém mają rozmawiać? Ze mną o paragrafach, na których się nie znają, inne bowiem rzeczy, których mnie w szkołach uczono, dawnom już zapomniał; z tobą zaś i z twemi kumoszkami chyba o fatalaszkach i plotkach, gdyż poza tém jesteście jak tabaka w rogu. Ty ani przeczuwasz, jakie są wymagania tych ludzi. Prócz tego nie masz wyobrażenia o przepaści, jaka u nas oddziela szlachtę od świata urzędniczego. W potrzebie oni nas niby Kochają, w rzeczywistości gardzą nami. A to stokroć gorsze od największej nienawiści! Nim zostałem urzędnikiem, byłem lat kilka nauczycielem prywatnym i, jako taki, wysługiwałem się rozmaitym szlachcicom. W ich



domach nie raz i nie dwa miałem sposobność przekonać się, jak oni zapatrują się na ludzi z innej sfery, zwłaszcza na biurokratów. Oni nas nie uważają za ludzi, ale za kanalia, za psy, z którymi mówić nie warto! I ty myślisz, głupia babo, że oni uznają ciebie kiedykolwiek za równą sobie? Ani na tym, ani na tamtym świecie! To też powiedziałem sobie, że skoro oni nas nienawidzą, więc i my powinniśmy im nienawiścią odpłacać! A bodaj ich cholera wytłukła!

— A ja ci mówię, Michale, że obowiązkiem naszym piąć się coraz wyżej. Kupmy jaknajprędzej wieś, bo nas stać na to, a będziemy im całkiem równi.

— Tak samo, jak Grzywa jest im równy — mąż odparł gniewnie, czapkę na oczy naciskając. — Z ciebie takie ciele, że choćbym ci prawdę kładł łopatą do łba, nigdy jój nie pojdziesz!

— Michale, ty mnie wciąż tak obrażasz, że dłużej tego nie będę znosiła. Przekonasz się, że podam o separacyą.

— A podawaj, do stu piorunów, o co chcesz! — krzyknął i drzwi za sobą zatrzasnął.

Radczyni padła na łóżko i, twarz sobie oburącz zasłoniwszy, gorzko się rozplakała. Karolcia, która w drugim pokoju słyszała całą rozmowę małżonków, postanowiła przede mszą, na którą miała być tego dnia rano, wpaść na chwileczkę do panny Kunegundy, by jój pod pieczęcią tajemnicy zakomunikować ostatnie nowiny.

## II.

### Nowi ludzie.



Odkąd Konrad pojawił się w salonie radczyni, Franuś prawie na krok go nie odstępował. Tak bezustannie był przy nim, że nawet wtedy go nie opuścił, gdy panienki usiadły do fortepianu. A dawniej w podobnych wypadkach stawał zawsze za niemi, by im przynajmniej nuty przewracać. — Dopiero pani aptekarzowej po długich prośbach i gorących zakłęciach udało się na nim wymódz, że zanucił jedną z weselszych piosneczek Bartelsa, chociaż dawniej był gotów popisywać się swoim głosem dyszkantowym każdej chwili i na czyjebądź żądanie. To bezustanne zajmowanie się osobą Konrada musiało nareszcie niejednego w oczy uderzyć. Zauważył to pierwszy prokurator, który w każdym towarzystwie więcej badał i śledził, niż mówił. Ten zbliżył się do adwokata Kocheisena i rzekł półgłosem:

— Jak długo pan Czapiński był sam, wystarczali mu urzędnicy; wszelako odkąd znalazł się między nami drugi szlachcic, i do tego karmazyn, woli jego jednego, niż nas wszystkich.

Adwokat przyznał racją prokuratorowi, bo i on zrobił to samo spostrzeżenie. Gdy się goście rozchodzili, Franuś i Konrad udali się do hotelu, gdzie ich konie stały.

Niebo od wschodu całkiem się rozjaśniło. Na ulicach był już ruch, acz niewielki. Stróż kamieniczni bramy otwierali, szkolnicy żydowscy zwoływali starowierców na modlitwę poranną, tu i owdzie pokazywały się także wozy wiejskie, pełne bab i chłopów, ciągnących na targ tygodniowy, który właśnie na ten dzień przypadał.

Gdy nasi znajomi stanęli w szerokiej bramie swojego hotelu, Franuś zapytał:

— Co myślisz teraz, Konradzie, z sobą robić?

— Położę się na godzinę lub dwie, żeby kości wyciągnąć, bo przyznam ci się otwarcie, że mam się śmiertelnie wynudzić; potem będę czekał, póki chrześcijańskich sklepów nie otworzą: mam masę sprawunków, bez których nie mógłbym się żonie pokazać; przed dziesiątą zagładnę do urzędu podatkowego, aby z inspektorem o pewnej sprawie pomówić; a koło jedenastej odjadę do domu. A ty, Franusiu, jaki masz projekt?

— Zdaje mi się, że się nawet kłaść nie będę, żeby się nie rozsypać, tylko wprost jadę do Krzywego.

— Jeśli powrót do domu ma być najważniejszą twoją czynnością, to pozwól, bym ci co innego zaproponował. Wspomniałeś mi, żeś się już kilka razy do Lipińca wybięrał. Prawdaż to?

— Najświętsza! Słowo honoru!

— W takim razie jedź dziś ze mną. Poznam cię z moim teściem, z moją panią; jej siostra młodsza, pan-na Zofia, może głowę zawrócić nawet takiemu, jak ty, niezwykłomemu; zjiesz obiadek, na jaki nas stać; a wieczorem, jeśli koniecznie tego zechcesz, wrócisz do domu. O jedno się tylko rozchodzi, mianowicie o twego wierzchowca. Jeśli to koń ognisty, twój chłopak, luzem go prowadząc, nie da sobie z nim rady.

— O jakim wierzchowcu mówisz?

— O tym, na którym wczoraj rzekę wpław przebyłeś. Wspominało mi o tój twojej podróży u radczyni bardzo wiele osób.

Franuś roześmiał się na cały głos śmiechem tak wesołym i serdecznym; jakby Bóg wie co zabawnego usłyszał.

— Ależ, mój Konradzie, ja przyjechałem wózkiem i memi pocziwemi szkapami, które razem mają dwoje dobrych oczu, a jedną zdrową nogę; zato idą jak wiatr, bo ani ja, ani one nie mają już czego żałować. Słowo honoru, Konradzie!

— Więc twoja przeprawa...

— Czysta fantazyja, ale tój hołocie małomiasteczkowej trzeba szyku zadawać. Bądź między nimi zwykłym śmiertelnikiem, a za nic cię nie będą mieli. Anibyś uwierzył, jak tam wszystko gęby porozdziawiało, gdym im opowiadał moję podróż między uszami *Floberta*. Słowo honoru, warto było na nich wtedy patrzeć. Że majątku nie mam, tego przed nimi nie utaję, boć inspektor podatkowy i sąd lepiej od nas wiedzą, jak stoimy; trzeba im zatém inaczej imponować.

— I ty to często czynisz?—podchwycił Konrad.

— Zawsze, i, słowo honoru! zawsze z powodzeniem. Mężczyźni kłaniają mi się na sto kroków i nazywają mnie panem dobrodziejem, mimo żem dotąd nie wstąpił w dobrze zasłużony stan małżeński; zaś madamy i marmuzelki robią do mnie czułe oczy, jak koty na wiosnę. Gdybym tylko zechciał, każda z nich skoczyłaby za mną w ogień, a między niemi pierwsza aptekarzowa, słowo honoru! Ja tu bywam dosyć często, bo się w domu piekielnie nudzę, a między tymi „skobliwymi” nieraz doskonale się ubawię.

— „Skobliwi?” Co to za wyrażenie, Franusiu?

— Jest ono mego własnego wynalazku i zdaje mi się, że należy do najtrafniejszych, na jakie dotąd ludzkość się zdobyła. Skobliwymi nazywam mieszczuchów,

i to ryczałem, bez żadnych wyjątków, bo oni, tak samo jak chłopci, na skoble drzwi u siebie zamykają. I cóż, złe wyrażenie?

— Wyśmienitel

— A widzisz, Konradzie, że nawet ten Franuś, o którym w szkołach zawsze mówili, że był głupi jak but, potrafi czasem coś dobrego wymyśleć. I wierz mi, jeśli jeszcze dłużej będę się z tą hałastrą „dukana-liował,” gotówem w końcu urość na filozofa. Słowo honoru, anibyś uwierzył, jaki ja między nimi mądry i wielki!

— Bardzo mnie to cieszy, Franusiu, i życzę ci na tej drodze największego powodzenia. Teraz jednak powiedz: jedziesz ze mną?

— Ależ jak możesz nawet o to pytać! Poznać twego teścia i twoją panią będzie dla mnie największym zaszczytem, zaś pannę Zofią największą przyjemnością; choć równocześnie wątpię, by ona w poznaniu mojej osoby jakąkolwiek przyjemność znalazła. Słowo honoru, Konradzie, ja w gruncie bynajmniej nie jestem zarozumiały i sam wiem najlepiej, ilem wart. Chudym jak Don Kiszot, i ponoć z twarzy takżem do niego podobny, bo mi to już nieraz ludzie mówili; gołym jak turecki święty, a głodny zawsze jak wilk. Piękny byłby ze mnie kandydat do stanu małżeńskiego! Słowo honoru, gdybym był panną, wolałbym mego Grzeška, niż takiego jak ja!... Ale teraz do rzeczy. Skorośmy się już ułożyli, więc niezwłocznie odsyłam moje paradyery z jedną zdrową nogą i dwoma oczami, a nad wieczorem przyjedzie po mnie Grześ do Lipińca inną parą folblutów, która na odmianę będzie miała tylko jedno oko, zato dwie zdrowe nogi. U mnie zawsze szyk, Konradzie! Słowo honoru!

Konrad doskonale się ubawił. Otwartość Franusia, z której tenże słynął jeszcze za czasów studenckich, nie wywarła na nim ujemnego wrażenia. Przeciwnie, wśród monotoności, jaką w świecie widział—ludzie bo-

wiem z każdym dniem robią się sobie bardziej podobni,—postać jego kolegi wydała mu się oryginalniejszą od innych, przycém wcale sympatyczną. Blaga, nieokielznana żadném wędzidłem, robiła wprawdzie z Czapieńskiego zjawisko nieco podejrzone, dla wielu może nawet wstrętne, umysł atoli bystrzejszy mógł pod tém moralném bałagulstwem dojrzyć charakter wcale niezły, acz nie granitowy,—a to w życiu rzecz ważniejsza niż formy zewnętrzne. U Konrada było to także rozstrzygającym. Darowywał więc koledze blagę, bo czuł, że ten człowiek miał serce...

W hotelu zajęli wspólny pokój i spać się pokładli. Konrad piérwszy się zbudził. Widząc, że Franuś śpi doskonale, a chrapie jeszcze lepiej, ubrał się cichutko i wyszedł na palcach.

Oddawszy w sklepie karteczkę ze spisem sprawunków, by mu je przygotowano, skierował się ku rozległemu budynkowi, w którym mieściło się starostwo wraz z urzędem podatkowym. Przed samą bramą potrącił mimowoli jakiegoś pana, stojącego na chodniku, który spoglądał w okno okratowane, wychodzące z kasy podatkowej na ulicę.

— Przepraszam!—rzekł, kapelusza uchylając.

— Nic nie szkodzi, panie dobrodziej — odpowiedział potrącony z uprzejmym uśmiechem; a poznawszy Konrada, dodał szybko, głosem jeszcze słodszy: — Ściele się do nówek panu dobrodziejowi!

— A! pan Olski!—nasz przyjaciel zawołał.—Jak to się dobrze składa, zem pana właśnie spotkał. Żona wspominała mi na odjeźdnie, że chciałaby dać nastroić choć jeden fortepian, gdyż obadwa są już jak garnki rozbite.

— Bardzo chętnie, panie dobrodziej, bardzo chętnie!... Czas im dać jeść, czas... Będzie już pół roku, jakem był ostatni raz w Lipińcu.

— Jeśli pan więc może pojechać, to proszę za godzinę zgłosić się do hotelu, pojedziemy razem.

— Będę służył panu dobrodziejowi, będę służył—  
odrzekł stroiciel, znów się uprzejmie kłaniając.

Konrad udał się do inspektora, a nie zastawszy go, wstąpił na chwilę do kasy, by uiścić podatki za ostatnie ćwierćrocze, wziął kwit i do hotelu wrócił. Kolega spał jeszcze, lecz tym razem go zbudził.

— Wstawaj, Franusiu, i ubieraj się, gdyż na obiad musimy być w Lipińcu. Ja tymczasem pójdę do Krzesza moich sprawunków dopilnować.

— Bądź spokojny! Ułan raz, dwa, trzy! i już na koniu!—zawołał Franuś, z łózka wyskakując.

W sklepie Konradowi nie poszło tak prędko, jak się tego spodziewał. Dzień był targowy, więc ludzi, zwłaszcza wieśniaków, mnóstwo się napchało, a że i sprawunków było dosyć, przeto samo ich zawijanie sporo czasu zajęło. Ponieważ nie chciał nudzić się w sklepie, przeto udał się do tak zwanego pokoju gościnnego, gdzie codziennie w godzinach południowych odbywały się śniadanka. Przychodzili tam ludzie rozmaici: urzędnicy, profesorowie, wojskowi, zamożniejsi mieszczanie, w dni targowe także właściciele dóbr z okolicy. Dziś zastał tylko kilku przedstawicieli inteligencji miejskiej, godzina bowiem była wczesna i wiejscy goście jeszcze się nie zjechali.

Ledwie na boku usiadł i wziął jakiś dziennik do ręki, wsunął się stroiciel.

— O! jak to pięknie, że pana dobrodzieja tu zastaję—rzekł pan Olski, niziutko się kłaniając.—Pan dobrodziej zapewne przyszedł na lampeczkę dobrego winka. Krzesz ma dobre, doskonałe!

— Bynajmniej. Tak rano nigdy wina nie piję... przyszedłem po sprawunki.

— A ja, panie dobrodzieju, pijam teraz codziennie lampeczkę za dziesięć centów, bo mi to do zdrowia potrzebne. Odkąd siedemdziesiątkę skończyłem, czuję, że mnie siły opuszczają. Jeszcze do niedawna dobrzem się trzymałem, teraz jednak jużem nietęgi.. Powiedzia-

łem teraz niedawno żonie i córce: choćbyście się na mnie gniewały, muszę codzień wypić lampeczkę, bo to nie dla mnie, lecz dla was. Jakbym umarł, cobyście same poczęły? Pensi ni dostałybyście po mnie...

— I one nie protestowały?—Konrad przerwał.

— Co miały biedne robić?... Może im i żal piędędzy, zawsze to uczyni na rok trzydzieści sześć reńskich i pięćdziesiąt centów, ale kiedy zdrowie tego się domaga, więc nawet takiego zbytku trzeba sobie pozwolić... Pan dobrodziej, widzę, gazetę czytał... Jest co nowego?

— Z Berlina donoszą, że Bismark znów wypowiedział gwałtowną mowę w parlamencie.

— O! ten Bismark!... A z Francyi nic niéma?

— Chyba to, że Boulanger przestał być ministrem.

— Doprawdy?... Patrzcie go! To źle, panie dobrodziej, teraz gotowa być wojna... A Ledru-Rollin?

— Ledru-Rollin? Zkąd ten panu na myśl przyszedł?

— Bo to także republikanin z Paryża.

— Był nim w roku 1848, ale już oddawna nie żyje...

— Doprawdy? Widzi pan dobrodziej, jak mnie to się wszystko w głowie mięsza... Rzeczy stare doskonale pamiętam, przeciwnie nowe często gęsto zapominam. Nieraz, na przykład, zdarza mi się, że nie mogę sobie tego przypomnieć, com wczoraj słyszał, a nazwiska wszystkich moich profesorów z normalki wyrecytuję za porządkiem. Knoblauch miał u nas rachunki, Spitzer gramatykę, Roller...

— Niech się pan nie trzodzi — Konrad mu przerwał. — Wszak nie powątpiewałem o pańskich zdolnościach w tym kierunku.

— Istotnie, pamięć mam doskonałą, ale tylko rzeczy dawniejszych. Pewien lekarz, któregoś pytał niedawno, jakaby tego była przyczyna, mówił mi, że u lu-



dzi w starszym wieku często się to zdarza. A jam już stary, dobrze stary, siedemdziesiąt trzy skończyłem na święty Józef.

Musiał mieć tyle, skoro do tych lat sam się przyznawał, jednakowoż na ten wiek nie wyglądał. Była to figurka nikła, jak skwarek sucha, z twarzą pociągniętą, bledziutką, niebardzo pomarszczoną, bo ani namiętności jój nie spaliły, ani wielka boleść nie wycisnęła na nię swego piętna; figurka, mająca włosy jak śnieg białe, które jój prawie na ramiona spadały. Pan Olski uważał się za artystę i lubił, gdy go miano za takiego. Oczy jego były jeszcze dosyć żywe, wyraz zaś twarzy taki miał łagodny, słodki, prawie anielski, że robił wrażenie człowieka bez kropli złości. Z twarzy tego staruszka serdeczny uśmiech nigdy nie schodził, a przez jego usta słowo gwałtowniejsze także się nigdy nie wyrwało.

— Pan dobrodziej był w urzędzie podatkowym?— zapytał po krótkiej przerwie.

— Płaciłem podatki.

— Al to pan dobrodziej był w kasiel — zawołał z niezwykłą u niego żywością, bliżej do Konrada z krzesłem się przysuwając.— I jakże tam, porządnie?

— Jak zwykle w biurach..

— Wybielono? Pozamiatano?

— Mówię panu, że dosyć porządnie.

— A jak pan dobrodziej dał pieniądze, to poborca co robił?— badał stroiciel ze wzrastającą ciekawością.

— Wziął, przeliczył i kazał kwit napisać.

— A nie zanotował sobie w protokóle, ile odebrał?

— Zdaje mi się, że coś notował.

— To ważne, panie dobrodziej, bardzo ważne! Ja zawsze notowałem dwa razy: raz w protokóle, a raz na osobnym arkuszu, i dlatego u mnie omyłki nigdy nie było. A jak pieniądze liczył, to pióro pewnie obtarł o włosy, i nabok odłożył, aby mu nie przeszkadzało?

— Zdaje mi się, że za ucho wetknął—śmiejąc się, odpowiedział Konrad.

— To źle, bardzo źle... pióro może upaść i pieniądze poplamić... widać, że z niego niedobry służbista.

Nasz przyjaciel spoglądał na Olskiego, jak na człowieka, któremu się nagle w głowie pomięszało. Olski, przeciwnie, w lot chwycił każde słowo Konrada, a jego samego wzrokiem pożerał.

— Pan mnie tak bada i o takie szczegóły pyta, że doprawdy nie wiem, jak to sobie mam tłumaczyć—rzekł nareszcie Konrad, trochę zniecierpliwiony.

— Niech to pana dobrodzieja nie dziwi... staremu trzeba wiele przebaczyć. Ja jeszcze wciąż marzę o kasie i codziennie rano skradam się pod jej okno, żeby bodaj ukradkiem zajrzeć, co się w niej dzieje; ale do środka nie chodzę, bo się boję, żeby mi serce z żalu nie pękło, a żyć trzeba... Choć już dawno temu, jakem przestał mieć do niej prawo, ciągle ją kocham. Lat piętnaście, kawał czasu... Ale nie dziwota, człowiek nawyknie i potem mu żal... Zresztą boję się, żeby mój następca jakiego błędu nie popełnił... Boże! Boże! ile tam jest mojej pracy!

— Czy był pan kiedy urzędnikiem?—zapytał zdziwiony Konrad.

— Byłem, i to nie rok, ani dwa, ale trzydzieści sześć lat!... Kawał czasu, nieprawdaż? Byłem poborcą, miałem trzy gwiazdki. Moi podwładni są już dziś starszymi inspektorami, mają złote kołnierze, a ja!... Tylko cztery lata mi brakowały, byłbym dostał całą pensję... tysiąc dwieście reńskich... Śliczna pensja! Ale stało się... dzień się boża wola!

Uśmiechnięte dotąd oblicze staruszka nagle spoważniało, wzrok mu przygasł, usta się zacięły. Nalał sobie trochę wina do kieliszka, prędko wypił i wzrok nieruchomy wbił przed siebie. Wyglądał teraz jak figura z wosku ulepiona, która ani się rusza, ani myśli. Konrad jednak dostrzegł, że ten człowiek cierpiał.

— Wolno wiedzieć, dlaczego pan postradał tę posadę?

— Wieleby o tém mówić, panie dobrodzieju, a mało słuchać. Ot, stało się nieszczęście, nic więcej. W mojem biurze pracował urzędnik niższy odemnie rangą, który miał kilkoro dzieci i wiecznie chorą żonę. Pewnego dnia przyszedł do mnie i zaczął błagać, bym go ratowałam... Żona mu umierała, troje dzieci leżało w gorączce, lekarza nie było za co sprowadzić, w domu nie miał nic... Piędzy leżących u mnie nie było; urzędnik, jak ma więcej, to i więcej wyda; ale jak mi zaczął swoją nędzę malować, jak mnie przytém jął upewniać, że tylko na tydzień potrzebuje trzystu reńskich, gdyż po ośmiu dniach otrzyma niewątpliwie od bogatych krewnych kwotę znaczniejszą, tak dałem się uprosić i wzięłem dla niego pieniądze z kasy. Na moje nieszczęście, choć to dawniej nigdy się nie zdarzało, zaraz nazajutrz przyszedł radca rachunkowy robić szkonto. Znalazł deficyt, odebrał mi klucze od kasy, zawiesił w urzędowaniu i sprawę oddał do sądu. Wprawdzie przysięgli powiedzieli, że jestem niewinny, bo z mojej kaucyi niedobór został zaraz pokryty, lecz wyższa władza nie zważała na werdykt ławy i dała mi dymisyą.

— A tamtemu urzędnikowi nic się nie stało?—podchwycił Konrad.

— Któremu?

— Temu, dla któregoś pan wziął pieniądze.

— E, o nim przecie nikt nie wiedział! Mogłem dać, lub nie dać, dobra była w tém moja wola, na co więc było niewinnego w błoto wtrącać. Powiedziałem, że wziąłem, bo potrzebowałem, i na tém koniec. Ot, widać pan dobrodziej, jak człowiek najniewinniej może czasem popaść w wielkie nieszczęście. Dziś miałbym rocznie dla żony i córki tysiąc dwieście reńskich, a tak... Byli tacy, którzy utrzymywali, że ów urzędnik umyślnie to zrobił, żeby moje miejsce zająć; w samej rzeczy został on niedługo potem poborcą; lecz ja w to nigdy

nie uwierzę. Co złe języki nie wymyśla! Biędny był, nieszczęście go spotkało, więc potrzebował; a choć długu dotąd nie oddał, także się nie dziwię. Krewni słowa mu nie dotrzymali, a urzędnikowi trudno z samėj pensyi złożyć trzysta reńskich. Nie wątpię jednak, że po mojej śmierci odda moim sierotom. Oto, panie dobrodzieju, jaka moja historia.

— Bardzo smutna—szepnął Konrad.

— Pewnie, że niewesoła, ale znów nie tak straszna, żeby aż rozpaczać. Inny, znalazłszy się w mojem położeniu, byłby może z głodu zginął, mnie przecie Pan Bóg jakoś utrzymał. Z dawien dawna znałem się na fortepianie, umiałem go nastroić, bo ś. p. mój ojciec był stroicielem z zawodu. Ale inne były wtedy czasy, szlachta miała pieniądze i nie żałowała... Wziąłem się więc do tego zajęcia i, widzi pan dobrodziej, jakoś żyję. W mieście mamy sześćdziesiąt pięć fortepianów, w okolicy osiemnaście; dwa, trzy razy do roku, a już najmniej raz, każdy daje stroić; czasem ktoś poprosi, bym mu także pałeczki wyskórkował, bo mole bardzo lubią jeść co miękkie; ten da reńskiego, drugi dwa, zdarzają się czasem, choć już coraz rzadziej, nawet tacy panowie, którzy dają trzy papierki, i tak się jakoś składa, że rokrocznie mam po czterysta reńskich. Zebrałoby się może i więcej, ale cóż, kiedy czasem wpadnie ze Lwowa taki furfant, co to nawet struny dobrze naciągnąć nie umie, nagada się po same uszy, nakłamię jeszcze więcej, każdy fortepian, co mu w rękę wpadnie, zepsuje, a mimo to z memi pieniędzmi odjedzie. Tacy mnie gryzą... Chociaż z czterystu reńskich trzeba zapłacić mieszkanie, opał, światło, wyżywić i ubrać żonę, córkę, siebie, jednak jakoś wystarcza. A drudzy, panie dobrodzieju, i tego nie mają.

— Więc się pan czujesz szczęśliwym? — zapytał Konrad.

— Bardzo. Ja tam wiele nie pragnę; a jak przyjdzie wiosna, bo wiosnę najbardziej lubię, jak wyjdę

przed dom, na ganek, usiądę na ławeczce, zapalę fajeczkę, ptaszki dokoła mnie tak cudnie świegocą, a ja czytam gazetę, którą mi sąsiad pożyczą, to doprawdy ani wiem, kiedy mi czas zejdzie; jeśli mi zaś jeszcze córka co zaśpiewa, to niczego więcej nie pragnę i jestem pod słońcem najszczęśliwszym człowiekiem. Ot, takie moje życie... Ale ja panu dobrodziejowi historye opowiadam, a tu pewnie czas jechać.

— Pojedziemy, panie Olski, pojedziemy — rzekł Konrad w zamyśleniu, mając głowę pochyloną.

Gdy za chwilę podniósł wzrok na stroiciela, ujrzał znów przed sobą człowieka słodko uśmiechniętego, bez kropli złości w sercu, a ze słowami miłości dla świata całego.

Niedługo potem on, Franuś i pan Olski jechali do Lipińca.

Przed samą rogatką, gdzie się drogi rozbiegały, ujrzeni wózek pana Grzywy, obok którego siedział nieodstępny pan Lisiński.

Właściciel Strzałkowic zaczął wołać zdaleka: „A pa-miętaj pan!...” lecz pan Lisiński, szarpnąwszy go silnie za rękę, nie pozwolił mu frazesu dokończyć. Pan Grzywa pohamował się tedy i tylko pokilkakroć ukłonił się kapeluszem Konradowi, który łatwo się domyślił, że mu w ten sposób przypominał nieszczęsne ziemiaki.

Po dwudniowej słońce i zimnie dokuczliwem dzień był nadspodziewanie piękny, nawet gorący. Lato miało się już ku końcowi. W polu stały jeszcze tylko kopy z owsem, gdzieniegdzie czerniła się hreczka lub proso dojrzewające; gospodarne kobiety wrywały konopie; ziemniaczyska z poschniętymi łętami wyglądały chorobliwie; kapusta na grzędach zaczynała już łysieć; tam zaś, gdzie było widać rolę świeżo wyoraną, pilniejsi gospodarze pełną garścią ziarno rzucali, a z niem swoje nadzieje.

Dni gorące były coraz rzadsze; wieczorami i ran-kami ciągnęły już wiatry chłodne, czém jaskółki wielce

zaniepokojone obsiadały druty telegraficzne, by żałośnym świegotem na nieubłagany los się poskarżyć, że je wypędzał ze stron rodzinnych; zato stateczniejsze bociany odbywały sejmiki i rozważnie układały plan podróży dalekiej, w którą lada dzień miały wyruszyć; a kiedy przepiórki, chruściele i ptactwo wodne łączyło się także w gromady, by w drodze się wspierać, wtedy drapieżne jastrzębie, zawieszane pod obłokami, bacznie śledziły miejsca ich zbiorowisk i niespodziwianie na ziemię się rzucały, by za chwilę znów wzlecieć z upragnioną w szponach zdobyczą.

Okolica, przez którą nasi znajomi jechali, acz wioskami dość gęsto zasiana, była płaską i monotonną. Tu osada, za nią kawał ziemi niebardzo urodzajnej, poniżej kęs łąki, wydającej trawę szuwarową i kwaśną, za łąką bądź nowa wioska, bądź las liściasty, dobrze przetrzebiony. Po wsiach stały chaty, otoczone wieńcem wierzb i grusz rozczochranych, cerkiewki z omszonymi dachami i skrzywionymi krzyżami, dwory niewysokie i nieokazałe, mające wspólną fizyognomią, jakby je stawał jeden i ten sam budowniczy.

Dopiero gdy minęli małą osadę, żydowstwem przepelnioną, leżącą niedaleko Lipińca, o której żaden na świecie geograf nie umiałby orzec, ażali należało ją zaliczyć do wsi lub miasteczek, dopiero wtedy krajobraz nagle się zmienił. Dotychczasowa płaszczyna przybrała kształty łagodnie faliste, na wzgórzach rosły gaje, przeważnie dębowe, w załomach ciągnęły się wzdłuż potoków wioski dobrze zabudowane i zaludnione, pośród nich wznosiły się wysokie cerkwie z kopułami bizantyńskimi, na których jaśniały krzyże trójramienne. Folwarki wyglądały przyzwoicie, nawet dostatnio; obok nich pola orne były poprzerzynane rowami; każdy las miał przez środek linią szeroką, niektóre były też obsadzone modrzewiami, i każdy, nakszałt wieńca, był opasany rowem głębokim a szerokim, z którego ziemia wyrzucona tworzyła dla drzew wał ochronny. Obok

jednego folwarku widać także było rozległą chmielarnię, w której właśnie chłopcy wiejscy, na wysokie tyki się wspinając, kiściasty kwiat obrywali.

Pośród tych wsi, a było ich razem siedem, największą i najpiękniejszą był sam Lipiniec, za którym, na wzgórzu wyniosłym, lecz łagodnie stoczystym, wznosił się dwór właściciela, hr. Mieczysława Tęczyńskiego.

Była to raczej willa nowoczesna, z werendami, balkonami i rozmaitemi przystawkami, dwupiętrowa i obszerna, zwrócona frontem do łąki niezmiernie wielkiej, przeciętej linią świeżo wytyczonej kolei żelaznej, przy której tysiące robotników pracowało. Plecami willa była opartą o piękny las dębowy, który był jakby przedłużeniem parku angielskiego, co ją z trzech stron otaczał. Tylko od frontu cała pochyłość wzgórza aż do łąki nie miała drzew wysokich; zato była ona przeistoczona w prześliczny kobierzec kwiatowy, poprzerzynany pięknymi gazonikami, na których umiejętna ręka ogrodnika poroszała krzewy pachnące.

— Wiész co, Konradzie, nie byłbym nigdy dał wiary, że Lipiniec leży w tak cudnej okolicy!—zawołał Franuś, ciekawie wkoło się rozglądając.—Pierwszy raz tu jestem i, słowo honoru, napatrzeć się nie mogę. To mi szyk!

— Ślicznie tu, ślicznie — potwierdził pan Olski z uśmiechem.

Oczy jego były teraz roziskrzzone. On lubił piękną naturę, a przedewszystkiém wiejskie zacisze.

— Wogóle widzę, że cały majątek śliczny—mówił dalej Franuś.—Słowo honoru, na Podolu nie znam piękniejszego. A sama rezydencya to istne cacko!

— Mogłoby tu być bez porównania piękniej, ale niezbędna oszczędność nie dozwala na wiele wydatków—odpowiedział Konrad.

— Nie wiem, doprawdy, czegoby tu jeszcze mogło brakować, chyba gajów pomarańczowych. A jaki wjazd! Fiu, fiu, na Podolu równego mu nigdzie nie widziałem.

Słowo honoru, Konradzie, ty tu mieszkasz jak księżę z Trebizondy. Po obu stronach akacye bukietowe, przytém wiecznie kwitnące i pachnące, na bramie herby i hełmy, to ja lubię! a dalej droga aż przed pałac, żółtym piaskiem wysypana. W raj, słowo honoru, tylko w raj może być tak pięknie!..

Konrad uśmiechnął się, ale nic nie odpowiedział, konie bowiem zatrzymały się właśnie przed dworem, gdzie na ostatnim stopniu schodów szerokich lokaj powracającego pana oczekiwał.

— Daj mi jakiego fagasa, Konradzie, żeby mnie do gościnnego pokoju odprowadził, bo się muszę przebrać, i zaraz będę państwu służył.

— Niech Dyonizy z panem pójdzie—rzekł gospodarz do lokaja;—a ty, mój Franusiu, śpiesz się, bo wazę zaraz podadzą.

Franuś pobiegł szybko za swoim przewodnikiem i za chwilę znalazł się w pokoju gościnnym. Tu najpierw wkoło się rozglądnął i, powiedziawszy półgłosem: „Porządnie, porządnie!” zwrócił się następnie do służącego i rzekł:

— No, mój Dyonizy, czy jak się tam nazywasz, rozpakuj prędko kuferek i pomóż mi się ubrać, bo ja sam nie mam w tém wprawy, a ciebie Pan Bóg do tego stworzył... Oddawna ty tu służysz, mój kochany?

— Od miesiąca, proszę jaśnie pana.

Franuś odchrząknął raz i drugi, żeby łatwiej przełknąć „jasnego pana,” bo mu niezmiernie smakował.

— A gdzieś przedtém był?—zapytał.

— U księcia Erazma Czartoryskiego.

— U tego? Ależ to mój wielki przyjaciel, słowo honoru! Jakże się ma księżę, zdrow?

— Księżę już nieboszczyk.

— Nieboszczyk? Patrzcie, ktoby był przypuścić!.. Słowo honoru, nic o tém nie wiedziałem. Ale mniejsza o to, wszyscy kiedyś pomrzemy. A pensją masz tu wysoką, mój Dyonizy?



— Bardzo małą, proszę jaśnie pana... piętnaście reńskich na miesiąc. Człowiek tylko z wielkiej biedy mógł taką służbę przyjąć. U nieboszczyka księcia brałem dwadzieścia pięć, a zrywków było tam trzy razy tyle. Tu, przeciwnie, cicho, nikt nie bywa... Od tygodnia pierwszy jaśnie pan przyjechał.

— Wiész co, kochanku, toś ty u księcia brał właśnie tyle, ilem ja na Podolu płacił kamerdynerowi; lecz ja mojemu dodawałem jeszcze rocznie dwa czarne garnitury. Łapówek miał także bez liku. Prócz tego pierwszy lokaj dostawał u mnie piętnaście reńskich, drugi dziesięć, a chłopców kredensowych nawet nie liczę. Od téj hołoty u mnie aż się czerniło.

— To jaśnie pan z Podola?

— A tak, z Podola.. Wprawdzie chwilowo mieszkam ztąd niedaleko, ale jedynie dlatego, że tu mam zdrowsze powietrze i kąpiel w rzęce, bez czego żyć nie mogę. Słowo honoru, to prawdziwa rozkosz kąpać się w takiej wodzie.. Podaj mi teraz, kochanku, biały krawat, bo gdy się do stołu siada z damami, trzeba być ubranym jak należy. U księcia zapewne panowie tak samo się ubierali?

— A tak, proszę jaśnie pana.

— Ale choć nie masz wielkiej pensyi, musisz tu jednak być zadowolonym, bo państwo niewątpliwie ze służbą dobrze się obchodzą?

— No tak, ale kontent nie jestem, bo ja lubię tylko wielkie państwo.

Było coś w tonie głosu tego człowieka, co Franuśowi nie musiało się podobać, skoro mimowoli głowę odwrócił i na niego popatrzył. Nie znalazłszy atoli nic na téj fizygnomii wygolonej i nieco chmurnej, rzekł z emfazą:

— W takim razie, kochanku, byłoby ci najlepiej u mnie, gdy wrócę na Podole; to téż, jeślibyś wtedy był bez miejsca, zgłoś się do mnie. Ale nie myśl, że już teraz chcę cię brać, bynajmniej. Ja sąsiadom i do-

brym przyjaciołom fagasów nigdy nie odmawiam. Służ więc dalej, i dopiero jak ja będę na Podolu, a ty bez miejsca, zgłoś się do mnie. Teraz podaj frak i prowadź mnie do salonu.

— Proszę jaśnie pana, tędy.

Dyonizy szedł przodem i drzwi otwierał jedne po drugich; Franuś, za nim postępując, nieznacznie pochrząkiwał, jakby sobie odwagi dodawał.

W salonie wszyscy już byli zebrani, krom jednej pani Zielińskiej, która najczęściej zjawiała się dopiero przed samym obiadem.

Właściwa gospodyni domu, pani Alicya Palińska, siedząc na fotelu, trzymała w ręku książkę; obok niej stało dwoje dzieci, oczekujących z wielką niecierpliwością ukazania się zapowiedzianego gościa; panna Zofia robiła coś szydełkiem, zaś hr. Tęczyński przechadzał się z zięciem po salonie i żywo z nim rozmawiał. Był to mężczyzna słuszny, pięknie zbudowany. Głowę miał białą, takąż brodę, cerę twarzy jeszcze pełną życia. Trzymał się prosto, jak żołnierz, a poruszał się, mówił, nawet uśmiechał się i patrzył, jak prawdziwy pan. Ludzi z niższej sfery sama jego obecność onieśmiała, czasem nawet mieszała.

Gdy Franuś we drzwiach się ukazał, Konrad pośpieszył na jego spotkanie i, wzięwszy go pod ramię, przedstawił jako swego kolegę i przyjaciela.

Franuś szedł krokiem pewnym, ale skromnie; przed paniami skłonił się głęboko, jednak całkiem inaczej, niż u pani Darskiej, i swoje ulubione „całuję ruci” schował na lepsze czasy. Gdy go hrabia witał, powiedział, acz nie bez pewnego wzruszenia w głosie, że czuje się szczęśliwym, iż może się przedstawić tak znakomitemu obywatelowi w jego własnym domu.

— Pańskie nazwisko nie jest mi całkiem obce— rzekł na to hrabia.—Przypominam sobie dobrze, że lat temu dwadzieścia poznałem w Ostendzie niejakiego pa-

na Sylwestra Czapińskiego. Jeśli się nie mylę, pochodził on z Podola.

— Istotnie, z Podola — potwierdził Franuś, niezmiernie z tego zadowolony, że będzie miał o czém mówić.

— Może to był pański ojciec?

— Nie, panie hrabio, to był mój stryj.

— Bardzo to był człowiek światły i dystyngowany. Robił także wrażenie zamożnego gospodarza.

Franuś miał już coś na języku, ale, przypomniawszy sobie szczęśliwie, przed kim stoi, rzekł:

— Istotnie, był dość bogaty... Pracą i zapobiegliwością dorobił się znacznej fortuny.

— A ojciec pański mieszkał także na Podolu?

Franuś odchrząknął i po krótkim wahaniu odpowiedział:

— Czasem na Podolu, czasem gdzieindziej, zwyczajnie jak gospodarz chodzący dzierżawami.. Ja jednak, dorósłszy, przebywałem najczęściej u stryja, ten bowiem miał synów w moim wieku.

Konrad był wdzięczny swemu koledze, że nie blagował, i tylko dziwił się, że mu z prawdą szło tak gładko. Widocznie Franuś znał siebie i wiedział, gdzie jakim być powinien.

W tém miejscu zaproszono do stołu. Hrabia podał ramię swojej córce zamężnej, Franuś z najpiękniejszym uśmiechem, na jaki go stać było, posunął do panny Zofii, Konrad zaś pośpieszył do pani Zielińskiej, która, wsparta na ramieniu pokojowej, dopiero teraz weszła do salonu.

Przy stole, przy którym ośmdziesięcioletnia pani Zielińska zajmowała pierwsze miejsce, a Konrad ostatnie, było swobodnie, lecz niezbyt wesoło; przeważał nastrój poważny. Mówiono o rzeczach rozmaitych: o gospodarstwie i polityce, o którą zaczął wciągać pan Olski, siedzący obok Konrada; trochę o literaturze,

a trochę o muzyce, zato nic o bliźnich. Potraw było niewiele, między niemi ani jednéj wykwintnéj, wina jedna butelka na wszystkich. Franuś niezmiernie na siebie uważał: ilekroć „słowo honoru” przez usta gwałtem mu się wrywało, kąsał się w język; jak umiał, starał się damy bawić; a ilekroć one zaczynały z sobą i Konradem rozprawiać o literaturze, osłaniał się zawsze poważném milczeniem. Zato w rozmowie o muzyce brał żywy udział, znał bowiem niektórych wielkich mistrzów, partyą Jontka z „Halki” śpiewał kilka razy na przedstawieniach amatorskich, a zawsze z powodzeniem; z wiérszy Bartelsa umiał na pamięć całe tuziny, kilka zaś utworów Chopina, acz nie bez zarzutu, mógł odegrać na fortepianie. Ponieważ wyjątkowo przy dzisiejszym obiedzie więcej myślał, niż mówił, przeto spokojnie i uważnie przypatrywał się tak pani Palińskiej jak jój siostrze.

Obie były jeszcze bardzo młode i do siebie podobne. Pani Alicya mogła mieć lat dwadzieścia cztery, pięć najwyżej, panna Zofia ośmnaście. Obie były słuszne, smukłe i obie jasne blondyny. Tylko oczy je różniły. Starsza miała ciemne, prawie czarne, nad niemi brew także ciemną; młodsza błękitne, jak niebo południowe. Obie były piękne, lecz każda w innym guście. Mężatka była pięknością klasyczną, panna stworzeniem nad wyraz uroczeń. Pod względem usposobienia różnica między niemi była jeszcze większa. Pani Alicya wyglądała na sensatkę; jój siostra na trzpiota, który się tylko z trudnością hamuje. Podczas gdy pierwsza mówiła zawsze spokojnie, a poważnie wkoło spoglądała, druga przerzucała się szybko z przedmiotu na przedmiot, a wesołe jój oczy o mało z oprawy nie wyskoczyły. Chociaż siliła się na to, by być poważną, mimo to, ilekroć spojrziała na głowę cukru, zdobiącą ramiona siedzącego naprzeciw niój kawalera, widać było, że wysilała całą swoją wolę, by głośnym śmiechem nie parsknąć. Za każdym téż razem spuszczała prędko

oczy na taléř i tylko nieznaczne ust drganie wskazywało, jakie nią uczucia miotają.

— Pan mieszka ztąd daleko?—zapytała gościa pani Zielińska.

Zrobiło to wrażenie na obecnych—staruszczeńka bowiem rzadko się przy stole odzywała, zwłaszcza do obcych.

— O dwie godziny drogi, pani dobrodziejko.

— Pan gospodarzy?

— Tak jest. Wziąłem Krzywe w dzierżawę.

— Krzywe? Znam... znam... to prawdziwe *Krzywe*... Ziemia licha, mokra, pracy trzeba tam dużo i niemało wytrwałości.

— Ja też pracuję, pani dobrodziejko, według słów Pisma świętego, w pocie czoła.

— Bardzo pan dobrze robi. Bez pracy trudno dziś żyć. Oszczędzać także trzeba, bo kto nie oszczędza, ten ginie. Gdyby to wszyscy mieli na pamięci, nie byłoby dziś tylu bankrutów. Piędniędz toczy się, bo okrągły, łatwo go zmarnować; lecz kto go raz stracił, ten się już na świecie nie dźwignie i do końca życia nic nie będzie znaczył. Biędnemu ludzie nawet nie wierzą; choćby był najuczciwszym, zawsze go podejrzewają. Taki już jest świat. (Tu pan Olski westchnął gęęboko). Zapamiętaj pan to sobie dobrze, bom stara, więc doświadczenia.

— Słowa pani dobrodziejki wryję sobie gęęboko w sercu i w umyśle — odpowiedział Franuś, nisko się kłaniając.

— Dobrze pan zrobi. Przed panem życie jeszcze długie, a żyć nie tak łatwo, jak się komu zdaje. Pan kawaler?

— Niestety, dotąd kawaler, pani dobrodziejko.

Wypowiedział to tak patetycznie, że panna Zofia musiała aż chusteczkę do ust sobie przytknąć, by w oczy mu się nie roześmiać.

— Skoroś pan kawaler, więc pamiętaj także, że przedewszystkiēm powinieneś się wystrzegać drobnych wydatków, bo wielkich łatwiēj się ustrzedz, a na drobne najwiēcej się rozchodzi. Cygarka, karteczki, prezenciki, to prawdziwe trzy smoki, z których každy na rok po kilka wołów połknie. I dobrze jeszcze, ješli tylko po kilka... niekiedy pożerają one i po kilkanaście, nawet i po kilkadziesiąt. A potēm co? Ruina. Szczególnie gra juź niejednego zgubiła...

W tēm miejscu hrabia poruszył się niespokojnie i w sposób wiele znaczący spojrział na starszą córkę, która, zrozumiawszy go, zwróciła się do pani Zielińskiej i rzekła:

— Ješli ciocia pozwoli, przejdziemy na werendę, tam czarną kawę podadzą. Dziś tak ciepło.

— Dobrze, moje dziecię... chętnie użyję świeżego powietrza.

Staruszka chciała powstać, lecz, że nie mogła tego o własnych siłach dokonać, przeto Franuś rzucił się ku niēj, by jēj dopomódz. Ani przeczuwał, jak na tēm wyjdzie. Gdy się podniosła, wsunęła mu natychmiast rękę pod ramię i on rad nierad musiał ją zaprowadzić na werendę. Tu znów, pragnąc ukończyć rozmowę, tak pomyślnie przy obiedzie rozpoczętą, poprosiła go, by przy niēj usiadł. W piērwszēj chwili uczynił to z wielką radością, postanowił bowiem sobie starać się o względy wszystkich mieszkańców tego domu, lecz gdy ona, nakształt wody ciekącej w małym strumyku, jęła spokojnie a powoli dawać mu to rady praktyczne, to morały cenne, których wielką obfitość miała zawsze w zapasie, zaczął się niecierpliwić i wkoło rozglądać. Hrabiego nie było; ten, jak według zwyczaju, prosto z jadalni poszedł do ogrodu na przechadzkę; stroiciel w pokoju przyległym męczył fortepian; pani Alicya rozmawiała z dziećmi; Konrad czytał jakiś list, który mu z czarną kawą podano; zaś panna Zofia niby udawała, że słuca ciotuni, tymczasem w duchu śmiała

się z biédnego kawalera, że tak niespodziéwanie znalazł się na łożu Prokrusta.

Na jego szczęście Konrad, list przeczytawszy, rzekł:

— Pozwolą panie, że mego kolegę z sobą teraz zabiorę, bo chciałbym mu pokazać moje konie. Pójdziesz, Franusiu?

— Z największą przyjemnością!—odpowiedział za pytany, z krzesła się zrywając, i, nim pani Zielińska mogła dokończyć frazes właśnie rozpoczęty, już się skłonił najpiérw jój, potém młodą damą, obtarł chustką czoło, na które zimny pot mu wystąpił, i w dwóch susach był za drzwiami.

— Ach! Alisiu, Alisiu, jaki on zabawny!—szepnęła Zosia siostrze do ucha, oburącz jój ramienia się chwytając.—Gdybyśmy go w grochu postawiły, wszystkie wróble wyniosłyby się z Lipińca.

I, nie mogąc dłużej śmiechu powstrzymać, który ją dusił, zaczęła śmiać się tak wesoło, tak swobodnie, że aż panią Zielińską to uderzyło. Domyślając się, że Zosię znów jakaś pustota napadła, podniosła suchą rękę i, z uśmiechem jój grożąc, rzekła:

— Pstro w głowie, mościa panno, pstrol

Pani Alicya spojrzała na siostrę i łagodnie szepnęła:

— Nie spodziéwałam się, Zosiu, że masz tak złe serce... Gdyby był przystojny, czułabyś z pewnością więcej dla niego litości..

— Bynajmniej się tego nie wypióram, ale ponieważ wygląda jak Don Kiszot, więc niech się nad nim lituje Dulcinea z Taboso, nie ja.

Ten, o którym urocza Zosia wyrażała się z takiém lekceważeniem, siedł tymczasem uradowany obok Konrada, jak człowiek z długoletniego więzienia uwolniony, i, ledwie znalazł się na dziedzińcu, zawołał:

— Gdybyś mnie w czas nie był uwolnił, jużbyś miał ze mnie nieboszczyka!

— Nie uskarżaj się znów tak bardzo, mój Franusiu; raczej podziękuj Bogu, że cię ciotunia swemi względami zaszczyca, bo to wielka u niéj łaska i rzadko kto ze śmiertelników jéj dostępuje.

— Czy to blizka wasza krewna?

— Jeśli mam prawdę powiedzieć, nawet nie wiem, czy jest naszą krewną, ale ponieważ zastałem ją na gruncie jako ciotię inwentarzową, więc za taką ją uważam. Dotąd ja byłem jéj ulubieńcem, ciotunia bowiem przenosi męczyzn nad kobiety, teraz jednak widzę, co mnie niezmiernie cieszy, żem w tobie znalazł niebezpiecznego współzawodnika, który mnie z pewnością z siodła wysadzi.

— Dziękuję za jéj łaskę i względy!—zaprotestował Franuś.—Jeszcze pół godziny takich mąk, a piłbym już ciepłe piwko u Abrahamka.

— Tylko nie przesadzaj, mój Franusiu. Ludzie nie umiérają na zawołanie, a kto ciotuni cierpliwie słucha, ten może się po niéj sukcesyi spodziéwać.

— Więc ona ciepła?—zapytał Franuś, nagle stając.

— Cieplusieńka. Wprawdzie nikt z nas nie wie, ile właściwie ma, domyślamy się wszakże, że musi mieć dosyć mamony. Od niepamiętnych czasów niczém się inném nie zajmuje, tylko zbieraniem pieniędzy.

— Słowo honoru, Konradzie, takie zajęcie i mnieby się podobało. Ale coś mi do głowy przyszło... Czy pani Zielińska jest mężatką, panną, czy téż wdową?

— Myślisz się o nią starać?—zapytał Konrad.

— Brrrm! Gdyby na to przyszło, wolałbym już rozwieść radczynię, niż powierzyć się dłoniom téj piękności przedpotopowej. Słowo honoru, Konradzie, ja do archeologii nigdy nie miałem zamiłowania, gdyż wychodzę z zasady, że tylko stare wino jest dobre... Ale odpowiedz mi, o com pytał: Panna, czy mężatka?

— Pani Zielińska jest wdową już od lat czterdziestu.



— Skoro to wdówka, więc możeby mnie zechciała adoptować. Słowo honoru, miałaby ze mnie bardzo potulnego i kochającego synka.

— Zaproponuj jój to, Franusiu.

— Doprawdy, jak odwagę zbiore, gotówem jeszcze dziś z tém wystąpić. Ułan nie żartuje. Raz, dwa! i jedzie.

Tak rozmawiając, przytém śmiejąc się głośno, koledzy szli ku stajniom, obok których stał niewielki domek kołodzieja. Przed nim leżał w wysokich stosach materyał, przygotowany na wozy i brony. Dwa koła, już gotowe, były oparte o ścianę; jeden wóz napół rozebrany stał na boku. Przy drzwiach, na stołku drewnianym, siedział mężczyzna przyzwoicie ubrany i coś strugał. Na rzemieślnika nie wyglądał, raczej na oficyalistę lub starego sługę. Gdy młodzi ludzie do niego się zbliżyli, rzucił okiem, zachmurzył się trochę, zdjął czapkę, położył ją na kolanie, ale się nie podnosił. W robotę swoje zapatrzony, dalej strugał.

— Czém to pan Paszuta tak pięknie się bawi?— zagadał Konrad, przechodząc.

— Paszuta, proszę jaśnie pana, nigdy się nie bawi, tylko pracuje — odparł zapytany, nie podnosząc głowy.

— A wolno wiedzieć, jaka to praca?

— Robię wózek.

— Pewnie dla którego wnuka.

— Nie... dla naszego Stasia. Wnuki mają swego ojca, niech on o nich myśli.

Uśmiechnął się na to Konrad i rzekł:

— Bóg zapłać, panie Paszuta.

Franuś spoglądał na Paszutę i w duchu się pytał, jakim cudem człowiek stary, z twarzą już napół obumarłą, acz pełną, skutkiem czego robiła ona wrażenie maski woskowej, mógł mieć włosy ciemne, bez śladu siwizny, przytém niezmiernie gęste.

— Co to za facet?—zapytał przyjaciela.

— Dawny kamerdyner, dziś gracyalista. Ma tak samo, jak ciocia Zielińska, okrągłutkich ośmdziesiąt.

— Nie muszą mu jednak ciężuć, skoro na głowie rośnie mu jeszcze takie gęste poszycie.

— To peruka, mój kochany, którą nosi lat trzydzieści, bo już od tylu lat ma głowę jak kolano.

— I on jój nie zrzuca, mimo że nie służy? Słowo honoru, szczególne amatorstwo!

— Wciąż mu się zdaje, że jeszcze wróci do służby, więc chce być zawsze gotów. Ma nawet do mnie pretensją, że mu dał chleb łaskawy.

— Uważałem to... Facet nie raczył wstać, gdyśmy przechodzili, a jakeś do niego mówił, także siedział. Słowo honoru, jabym tego nie zniósł. Ja o sługi dbam, ale u mnie mores znają!

— Ja zaś nie mogę być tak wymagającym dla człowieka, który mego teścia nosił na rękach, a mojego syna nazywa „naszym” Stasiem. Życie Paszuty to jedna z ważniejszych kart historii rodu Tęczyńskich.

Franuś bądź słów tych nie rozumiał, bądź udał, że ich nie słyszał, gdyż nic nie odpowiedział. W milczeniu uszedł jeszcze kroków kilkadziesiąt, zato ledwie fornale konie wyprowadzili, zaczął tyle mówić i tak głośno, że tylko jego jednego słyszać było przed stajniami. Okazało się przytém, że na koniach znał się wcale dobrze, łatwo bowiem poznawał ich przymioty, a jeszcze łatwiej wady. Chociaż nie był stosownie ubrany, nie mógł przenieść na siebie, by się trochę nie popisać, dosiadł tedy odważnie a lekko ognistego arabczyka, który był osiodłany, bo właśnie miał go fornale przejechać i rozpoczął harce. Szły mu one doskonale, bo téż jazda konna była jedyną rzeczą, którą umiał i której z pasyą się oddawał. Nietylko służba stajenna między sobą, sam nawet Konrad, także dobry jeździec, przyznawał mu wielką zręczność i wprawę. Franuś, pochwał słuchając, rósł jak na drożdżach i, majestatycznie głowę podniósłszy, z politowaniem spoglądał

na tych pieszaków, których miał pod kopytami swego rumaka. Jaka atoli szkoda, że go w téj chwili nie widziała panna Zofia! Czegóżby nie ofiarował za to, żeby go i ona mogła podziwiać!... Niestety! los zawistny pozazdrościł mu tego szczęścia. Panna Zofia właśnie w tym czasie rozmawiała z siostrą o czémś bardzo ważném, a myślała o wszystkiém inném, tylko nie o panu Franciszku Czapińskim.

Gdy trochę zmęczony z konia zsiadał, przyjechał Grześ po swego pana. Konrad zaprotestował uroczyście przeciw jego zamiarowi opuszczenia w tym dniu Lipińca. Franuś wprowadzie się trochę upierał, lecz niebardzo, a gdy pomyślał, że wieczorem, przy świeżo nastrojonym fortepianie, będzie mógł damy swoim śpiewem oczarować, przyrzekł przenocować, pod warunkiem wszakże, że za dwa dni najpóźniej Konrad przyjedzie go w Krzywem go odwiedzić.

— Ależ to się rozumie samo przez się, mój Franusiu — kolega mu odpowiedział. — Chociaż przyjechałeś namówiony, nie z własnej woli, zawsze bytność twoję poczytuję za wizytę, za którą trzeba się odwzajemnić.

Wieczór zszedł bardzo przyjemnie. Hrabia i Konrad byli w humorze wysmienitym; panie grały i śpiewały; Franuś, oczy zmrużywszy, nucił cudownie „Szumią jodły na gór szczycie,” a panna Zofia, akompaniując, tłumila śmiech w sobie; pan Olski, zaproszony do salonu, kilkakrotnie zwracał słodką twarzyczkę do gosposy domu, jakby chciał powiedzieć: „Słyszysz pani dźwięk fortepianu?” — nawet dzieci bawiły się ze starszymi dłużej niż zwykle, i lubo gościom nie dokuczały, jednakowoż częstém zbliżaniem się do nich zwracały na siebie ich uwagę. Franuś wielce się niemi interesował i tém bez porównania prędzej niż śpiewem pozyskał sympatyą ich matki. Do podniesienia i utrzymania ogólnej wesołości przyczyniło się niemało i to, że pani Zielińska cały wieczór przesiedziała w swoim

apartamencie. Ludzie lubią dawać nauki, lecz sami wolą ich nie słuchać.

Nim herbatę podano, Franuś udał się do pokoju gościnnego, a zarzuciwszy pled na ramiona, wybiegł na chwilkę do ogrodu, by się orzeźwić świeżem powietrzem. Ledwie uszedł kilka kroków, stanął jak wryty. Przy małej furtecze, przez którą wychodziło się do ogrodu kwiatowego, stała postać wyniosła, w okna dworu zapatrzona, której twarz w bladém świetle księżycy była podobna do maski.

— A tu kto?—zawołał.

— To ja, Paszuta — odpowiedział głos trzęsący. — Jaśnie pan się przestraszył... przepraszam jaśnie pana— dodał stary sługa i zdjął czapkę.

— Ktoby się tam bał! — Franuś odpowiedział, pochrzakując.

Chciał starca minąć i wejść do ogrodu, Paszuta atoli zatrzymał go słowami:

— Niech się jaśnie pan nie gniewa... chciałbym o coś spytać.

— Cóż takiego?

— Czy ten Dyonizy, którego młody pan przyjął, dobrze usługuje?

— Doskonale.

— Doprawdy? A mnie, proszę jaśnie pana, jakoś się nie zdaje, żeby on się znał dobrze na usługach. On jak idzie, to się kołysze, nie przymierzając jak kaczka. Pewnie potrąca?

— Tegom nie dostrzegł.

— Bo jaśnie pan może nie chciał widzieć. Jam to zauważył od pierwszej chwili, jak tu przyszedł... Nie musi to być nic dobrego, kiedy go od księcia wypędzili. A prawda, że mu z oczu źle patrzy?

— I tegom nie dostrzegł. Ja na fagasów nie zwracam uwagi.

— Więc chyba dlatego jaśnie pan nie widział... Ale jakby jaśnie pan dobrze mu się przypatrzył, zaraz

by poznał, jakie to ziółko. Młody pan przyjął go, Bóg wie na co, jakby Paszuta nie mógł sam nastarczyć. Przez tyle lat, bywało, pan hrabia zawsze ze mnie kontent, goście także, dopiero teraz młodemu panu coś do głowy strzeliło. Nie dziwota: młodość lubi odmianę, a świeża miotła, powiadają, lepiej zamiata niż stara. Żeby się tylko na tém nie przerachował, Jak Paszuta chodził po pokojach, to widział wszystko; teraz go niema, więc gotowo być nieszczęście... A kto temu będzie winien? Juści nikt inny, jeno młody pan, bo pan hrabia od roku wszystko zdał na niego. Wciąż mi powtarzał, że mi się ręce trzęsą, że dużo tłukę... Wielkie mi rzeczył Nie tłucze się tam, gdzie niema; a że jeszcze jest tyle, czyja w tém zasługa, jeśli nie Paszuty? Strzegłem wszystkiego jak oka w głowie i nie dałem nic ukraść! Zresztą nasza porcelana i szkło dobrze już stare, więc kruche... Tu od pięćdziesięciu lat nikt tych rzeczy nie kupował. Ale zobaczymy, czy ten mniej natłucze... Ja przynajmniej, jakem miał przypadek, tom się dobrze nagryzł, a on to się tylko będzie śmiał i na drugi dzień znów zrobi swoje. Źle staremu, jaśnie panie, bardzo źle — kończył Paszuta przez łyzy. — Każą mu daremnie jeść chleb, a onby jeszcze chciał pracować.

Franuś, którego ta mowa wielce znudziła, rzekł tonem protekcyjnym:

— Mnie się zdaje, mój człowieku, że zamiast na swój los się skarżyć, powinienbyś raczej państwu plackiem do nóg upaść i za łaskę im podziękować, bo dziś coraz mniej takich chlebodawców, którzy chcieliby u siebie trzymać darmozjadów. Tacy, jak ty, mój kochanku, gdzieindziej chodzą po żebrach.

Paszuta odsapnął głęboko i głosem bardziej drżącym niż z początku, zato głośniejszym, rzekł:

— Niech mnie jaśnie pan ani „tyka,” ani „człowieka,” ani „kochankuje,” bo pan hrabia mówi mi zawsze: „proszę Paszuty,” a młodzi państwo: „prosimy

pana Paszuty." Jaśnie pan może myśli, że Paszuta wypadł sroce z pod ogona, tymczasem Paszuta, choć sługa, jest dobry szlachcic... a Paszuta wcale nie wie, jakiej jaśnie pan jest kondycyli

To powiedziawszy, nacisnął czapkę na głowę i, trzęsąc się, tym razem nie tyle ze starości, co z gniewu, odszedł ku oficynom.

Niewiadomo, czy Franuś wysłuchał go do końca, ledwo bowiem postrzegł, na co się zanosilo, puścił się, miasto do ogrodu, nazad do salonu.

Przy herbacie, która z wieczerzą była złączona, bohaterem był pan Olski. Pani Alicya, w której domu stroiciel nieraz był, wiedziała, że jest on wielkim amatorem nabiału, zwłaszcza kwaśnego mleka z ziemniakami. Aby mu więc dogodzić, kazała przed nim postawić całą wazkę tego specyału i półmisek z kartoflami. Stroiciel na ten widok uśmiechnął się jeszcze słodziej niż zazwyczaj, a przeżegnawszy się przykładowie, zaczął jeść. Gdy się z mlekiem uporał, zabrał się z równym apetytem do innych potraw i wszystkim dał radę. Chociaż tak jadł, był wciąż podobnym do jednej z owych chudych krów faraonskich, z których żadna nie utyla, mimo że każda jedną tłustą pożarła. Wszystko w nim ginęło jak w studni, a figurka jego zawsze była jednakowa. Nie można więc było nawet o nim powiedzieć, by biédaczek jadł na zapas... A gdy skończył i wypił z rzędu trzy kieliszki wina, które Konrad sam mu nalał, przez wzgląd na jego zdrowie, zaczął z początku nieśmiało, następnie coraz odważniej mówić o polityce; gdy zaś postrzegł, że jego kombinacjami wszyscy się wielce interesują, w szérokich zarysach rzucił plan porozumienia się z Żydami, celem zwalczania potęgi Bismarka. Cały stół bawił się wyśmienicie; pan Olski, zagrzany własną wymową, brnął w politykę coraz głębiej i ani można było przewidzieć, jak daleko byłby zaszedł, gdyby nie ta smutna dla niego okoliczność, iż

pani domu, powstając, dała tém hasło do opuszczenia sali jadalnej.

Przed jedenastą wszyscy się rozeszli.

Franuś, rozebrawszy się przy pomocy Dyonizego—sam bowiem, jak wiemy, nie miał w tém wprawy dostatecznej,—położył się na wznak, z dłońmi pod głową i, nim usnął, w sufit zapatrzony, myślał o swoich kłopotach gospodarskich, pięciuset guldenach, których właśnie teraz na gwałt potrzebował, a nie wiedział, zkądby ich wziąć; o pełnych kształtach radczyni i powłóczy—stém spojrzeniu pani aptekarzowej; o panu Grzywie i jego przyjacielu panu Lisińskim; o Romanie Goldeiferze i jego moralnym opiekunie panu Trockim, których miał w tych dniach odwiedzić; wreszcie o dworze w Lipińcu i jego mieszkańcach. Sympatyczne postacie hrabiego, Konrada i pani Alicyi napełniały go szacunkiem; figury pani Zielińskiej i Paszuty dreszcze w nim budziły; gdy mu z kolei pan Olski na myśl przyszedł, uśmiechał się z politowaniem—zato długo i z niewysłowioną rozkoszą marzył o wesołych oczkach panny Zofii i jej uśmiechu filuternym. Ach! gdyby taką mógł nazwać swoją!... Niestety, znając świat i siebie, wiedział, że to pragnienie było daremne; zamknął więc oczy, by choć we śnie to się urzeczywistniło, co na jawie nie miało być nigdy jego udziałem!...

Tuż za ścianą, w drugim pokoju, leżał na łóżku pan Olski i tak samo nie mógł długo usnąć. Dawne dzieje nie przychodziły mu teraz na myśl; zato w wyobraźni, podnieconej trzema kieliszkami wina, widzi, jak nazajutrz rano Konrad wsuwa mu w rękę piąteczkę—w Lipińcu bowiem za nastrojenie fortepianu nigdy mu mniej nie dawano; jak potem do domu przyjeżdża, jak żona i córka wybiegają na jego spotkanie; jak obie się cieszą, że ich mąż i ojciec był w Lipińcu dobrze przyjętym, że z hrabią i jego rodziną siedział przy wspólnym stole, że mu się powiodło dobrze fortepian nastroić, że przy kolacyi zjadł całą wazkę mleka kwaśnego z zie-

mniakami, że pił wino, a na końcu tak rozumnie mówił o polityce, że obecni nie mogli go się dość nasłuchać i nachwalić. Za tę piątkę kupi trzewiki żonie, a córce zarękawek, bo zima już za pasem; potem będzie dalej pracował i czekał na tę wiosnę cudowną, która tyle czarów dokoła niego roztacza, gdy on, na ganku siedząc, fajeczkę pali i słucha ptasząt świergotu.

A kiedy tak marzył, powieki mu się zwały i oto we śnie znów widzi, jak na jego wezwanie cały naród Izraela niby jeden mąż powstaje i w swoim uścisku dusi Bismarka.

O! tak szczęśliwym, jak dziś, pan Olski nie był jeszcze nigdy.



### III.

#### Stara szlachta.

**P**odczas gdy we dworze wszyscy już spali, w dwóch pokojach na pierwszym piętrze, przedzielonych długim szeregiem okien ciemnych, widać było jeszcze światło za storami. W narożnym na prawo siedział Konrad nad dużą księgą rachunkową i cyfry z niej wypisywał; w pokoju, znajdującym się w skrzydle przeciwległym, stał hrabia przy sekretarzu i okiem nad wyraz smutnym wpatrywał się w fotografię, którą w ręku trzymał, przedstawiającą młodego człowieka o rysach nadzwyczaj delikatnych a pięknych.

Hrabia miał na codzień humor swobodny; dla wszystkich, nawet dla najbliższych, był uprzedzająco grzecznym; gości przyjmował z wielką uprzejmością, acz bez wylania;—jednakże co się działo pod tą powłoką sztucznie wyrobioną, która zwykła okrywać wnętrze człowieka dobrze urodzonego i starannie wychowanego, dzięki czemu ludzie tej sfery są zawsze przyjemni, o tém jedynie ci mogli wiedzieć, którzy, jak dzieci i Paszuta, z hrabią się żyli i znali jego tajemnice. Inni zato mieli go li za wielkiego pana, pełnego form najlepszych, ale

z sercem wyziębioném, obojętnego dla świata. Do tych należała także pani Zielińska, ta bowiem, mimo iż blisko od lat czterdziestu mieszkała z nim pod jednym dachem, zbyt była swemi sprawami zajęta i zbyt gorliwie wszystkich moralizowała, by kimkolwiek mogła się bliżej interesować i jego charakter badać.

Hrabia pochodził z gniazda starego i możnego. Był téż ostatnim potomkiem jednej z tych rodzin, bez których niéma naszych dziejów. Urodził się jeszcze człowiekiem bogatym, chociaż już nie takim, jakim byli jego dziad i ojciec. Wśród zamętu w. XVIII z olbrzymiej fortuny odpadały włości jedna po drugiej, a gdy hr. Mieczysław w pierwszym dziesięcioleciu po wojnach napoleońskich na świat przyszedł, ojciec jego posiadał już tylko dwa klucze: jeden na Ukrainie i Lipiniec w Galicyi. W każdym jednak razie była to jeszcze fortuna pańska, acz nie magnacka.

Na rok przed śmiercią ojca, mając wtedy lat trzydzieści, ożenił się z córką familii znakomitą, która atoli przyniosła mu w posagu nie tyle majątku, co kaprysów, a przedewszystkiém nerwów. Była i ona ostatnią swego rodu—i to może skłoniło jego ojca do narzucenia jój synowi. Stary hr. Eustachy należał do tych arystokratów, którzy świetność rodziny stawiają wyżej niż mienie, wyżej niż samo szczęście. Gdy syn wyznał mu otwarcie, że księżniczki Idalii nie kocha, rzekł poważnie:

— Miłość, mój synu, przechodzi z latami, a krew, nazwisko i wielkość rodu trwają wieki. Kto o tych trzech skarbach nie pamięta, popełnia zbrodnię! Krew księżniczki Idalii jest tak szlachetną, że tylko z naszą może się zmieszać, i tak samo jak nasza zginąć nie powinna, boby przez to ludzkość ogromnie straciła... Ja, z matką twoją się żeniąc, także jój nie kochałem, a mimo to przeżyłem z nią pocziwie całe pół wieku. Wszyscy nasi ojcowie tak się żenili!

Dla syna wola ojca była rozkazem, zaś zwyczaj w rodzinie uświęcony—prawem. Nie sprzeciwiając się

tedy więcej woli ojcowskiej, poszedł za tradycją i z czołem pogodnym księżniczkę Idalią zaprowadził do ołtarza.

W rok po jego ślubie ojciec umarł.

Hrabina Idalia nie lubiła swego kraju. Pochodziło to prawdopodobnie ztąd, że całą młodość spędziła w najpiękniejszych miejscowościach za granicą. Z początku wychowywała się w jednym z pierwszych pensyonatów paryzkich, później mieszkała stale u swego opiekuna, bardzo dalekiego krewnego, a wielkiego pana, który, chorując na piersi, był zmuszony objeżdżać rokrocznie z całą swoją rodziną najcelniejsze stacye klimatyczne w południowej Europie, a jedną zimę spędził nawet w górnym Egipcie. Księżniczka przywykła do téj bezustannéj włóczęgi bez domowego ogniska, a po niejakiem czasie nawet osądziła, że trudno o życie przyjemniejsze. Nad swoją głową widziała niebo wiecznie uśmiechnięte; u jéj stóp kołysały się fale lazuruwe; powiew wiatru zimnego nigdy nie obraził jéj bladéj twarzyczki; woń kwiatów upajała ją od świtu do wieczora; codzien spotykała nowe twarze, a same uśmiechnięte; bale, teatr, najróżnorodniejsze widowiska bawiły jéj oko, a umysł rozrywały; żyła, żeby się śmiać i weselić.

Gdy w pierwszym roku po ślubie w Lipińcu zamieszkała, różnica między tém, z czém się rozłączyła, a co w domu męża zastała, była olbrzymia. Kraj ojczysty wydawał się jéj barbarzyńskim, jego niebo smutném, lud napół dzikim, stosunki towarzyskie nie do zniesienia. Nie dziw więc, że w pierwszym zaraz roku nastąpił rozstrój nerwów, z którego należało jaknajprędzej leczyć się za granicą.

Mąż wysłuchał rad lekarzy i pod jesień wyjechał na Południe. Myślał, że do wiosny nerwy szczęśliwie się uspokoją, tymczasem rozstroiły się one jeszcze bardziej, skutkiem czego trzeba było za granicami kraju dalej mieszkać. Jak to długo miało trwać, lekarze sami nie wiedzieli, głównie dlatego, że hrabina, nie mo-

gąc matką zostać, czuła rozstrój coraz większy i na zdrowiu wogóle bardzo podupadła. W tym czasie przyjechała do niej dawna znajoma, którą ona kuzynką nazywała, ponieważ u opiekuna wszyscy ją tak tytułowali. Była to pani Zielińska, wdowa po dość zamożnym obywatelu ziemskim, osoba już nie pierwszej młodości, stateczna i wcale rozsądna. Hrabia był z tego niezmiernie uradowany, odtąd bowiem jego żona, mając przyjemne towarzystwo i stałą opiekę, mogła zawsze sama zostać, ilekroć on potrzebował w pilnych interesach skoczyć do kraju. Zdarzało się to jednak rzadko, ledwie raz na rok.

Tak upłynęło kilka lat.

Nareszcie, kiedy już prawie nadzieję tracili, by Bóg pobłogosławił potomstwem ich związek, przyszedł na świat najpierw syn, Staś, wkrótce po nim córeczka, Alicya, zaś w ośm lat później, druga córka, Zosia. Wszystkie te dzieci ujrzały światło dzienne na klasycznej ziemi włoskiej.

Hrabina odzyskała siły, humor, dom bawił ją teraz więcej niż świat, znalazła u siebie zajęcie i rozrywkę. Nawet zmartwienia, nieodzielne od wychowania drobnych dzieci, miały dla niej urok. Powoli i do tego przyszło, że niekiedy zaczęła także wspominać o potrzebie powrócenia do kraju. Zdaje się atoli, że w tém była większa zasługa męża niż jój własna. Hrabia wiedział już od dłuższego czasu, że jego stosunki majątkowe psuły się coraz bardziej, a chociaż z żoną nigdy o tém nie mówił, wrodzona bowiem delikatność nie pozwalała mu zaprzętać niemi umysłu istoty, która tak prozaicznymi rzeczami, jak interesa finansowe, nie lubiła się zajmować,—mimo to niejednokrotnie wyrwały mu się bądź słowa pojedyncze, bądź nawet całe uwagi, z których, chcąc nie chcąc, musiała się i ona domyślić, że lepiejby dla nich było, gdyby do kraju wrócili. Dawniej byłaby to mimo uszu puszczała, teraz, przeciwnie, często sama o tém myślała, bo miała dzieci. Ostatnie słowo

w tym przedmiocie wypowiedziała pani Zielińska. Gdy ją raz w cztery oczy hrabina o zdanie w tym względzie zapytała, ta odrzekła bez namysłu, że gdzie się żyje bez rachunku, tam z czasem największa fortuna runąć musi, obowiązkiem zaś jest rodziców nietylko jaknajlepiej dzieci wychować, lecz także jaknajwięcej im zostawić.

Hrabina tego samego dnia przysłała do męża i, za szyję go objąwszy, prosiła, by jaknajprędzej do Lipinca wracali.

Hrabia ucieszył się niezmiernie, bo i czas był najwyższy to uczynić.

Ojciec nie zostawił mu majątków bez długów. Wprawdzie nie ciążyły na nich banki, zato nieboszczyk został bardzo wiele dłużnym tak własnym dzierżawcom, jak i sąsiadom, którzy, stosownie do zwyczaju w kraju przyjętego, składali z całym zaufaniem do jego rąk swoje oszczędności. Takie długi były ważniejsze od bankowych, bo honorowe. Po śmierci starego hrabiego a wyjeździe za granicę młodego niepokój ogarnął wierzycieli, poczem zaczęli kapitały wypowiadać. Hrabia gotówki nie miał, dworne życie za granicą niezmiernie wiele pochłaniało, a zarząd majątków spoczywał z początku w rękach nieuczciwych, później w nieudolnych. Prócz tego klucz lipiniecki przechodził wielkie przesilenie. Po usamowolnieniu włościan w Galicyi dziedzice ujrzeni się nagle bez inwentarzów, tak żywych jak martwych, których dawniej poddani dostarczali, bez odpowiednich budynków i obrotowego kapitału. Wprawdzie wypłacano im wynagrodzenie za zniesione prawo, nim atoli to nastąpiło, ci, którzy nie mieli gotówki, a do tych hr. Mieczysław także należał, musieli pożyczać na lichwę. Tak więc sprawy wikłały się coraz bardziej, a długi, miasto się zmniejszać, rosły jak na drożdżach. Hrabia, wychowany w dostatkach i do tego przyzwyczajony, by ci o jego interesach myśleli, którym za to płacił, bardzo długo nie zdawał so-

bie sprawy z istotnego stanu rzeczy. Ponieważ zawsze miał tyle, ile potrzebował, więc nie wątpił, że tak będzie do końca życia. Ilekroć pieniędzy mu brakło, pisał lub telegrafował: „Przysyłajcie!” a pełnomocnicy bezzwłocznie rozkaz pański spełniali. Długo nie pytał, z kąd płynęły dochody.

Znalazł się jednak w kraju człowiek uczciwy, dawny jego ojca przyjaciel, który wiedząc, jakie jest położenie, postanowił przy najbliższej sposobności oczy mu otworzyć. Gdy więc do kraju raz przyjechał, usłyszał z ust przyjaciela, że jeśli nie zajmie się natychmiast radykalną naprawą swoich interesów, nieuchronnie zginie. Hrabia nie był zarozumiałym, rad dobrych zawsze chętnie słuchał, winą zaś było nie tyle jego charakteru, ile wychowania, niemniej też atmosfery, w której podówczas żyli prawie wszyscy potomkowie wielkich rodzin, że dotąd sam nie dojrzał raka, toczącego od tak dawna jego fortunę. Ledwie atoli przyjaciel oczy mu otworzył, bezzwłocznie zajął się wespół z nim swemi interesami i szukał dróg wyjścia. Rak jednak zrobił już takie spustoszenia, że bez noża chirurgicznego nie można było marzyć o jego usunięciu. Hrabia, acz z bólem serca, przystał na amputację. Sprzedał klucz ukraiński, zapłacił długi, a co zostało, włożył w klucz lipiniecki i tém odrazu na nogi go postawił. W ten sposób ocalił jeden majątek, złożony z siedmiu folwarków; zato był on doskonale zagospodarowany i czysty.

Tak więc z pana został już tylko zamożnym szlachcicem.

Na jego wielkie szczęście, w epoce, w której się to stało, żona jego postanowiła nareszcie wrócić do kraju.

Hrabina, zamieszkawszy w Lipińcu, zmieniła się do niepoznania. Zrobiła się gospodarną, zapobiegliwą, nawet pracowitą i o nerwach całkiem zapomniała. Widocznie grunt jój charakteru był szlachetny, a trzeba

było tylko uczuć macierzyńskich i rodzącej się z nich troski o dzieci, by do życia to pobudzić, co od tylu lat niedostrzeżone na dnie jej duszy drzemało. Pozbywszy się starych kaprysów, pozbyła się z nimi także stariej choroby i teraz pod smutnym niebem ojczystym było jej stokroć przyjemniej, niż ongi pod wiecznie uśmiechniętym na półwyspie Apenińskim.

Mąż, widząc to, nie posiadał się z radości i dopiero teraz zaczął ją prawdziwie kochać.

Dzieci wyrastały pod boki rodziców, mając jak-najlepsze przykłady. Do zbytków, a tym mniej do marnotrawstwa nie przywykały, w Lipińcu bowiem było teraz bardzo oszczędnie; ciocia Zielińska po sto razy na dzień im powtarzała, że trzeba uczyć się, liczyć i choć czémś się zajmować, gdyż próżniactwo wiedzie na manowce; a co do nauczycielek i nauczycieli, ci także w tym kierunku na swoich elewów skutecznie oddziaływali, ponieważ ojciec pilnie przestrzegał, by wychowanie jego dzieci nie dostało się w ręce nieodpowiednie. Hrabia, nauczywszy się żyć dopiero po własnych doświadczeniach i wielkich stratach, chciał dzieciom już w swoim domu wpoić naukę życia.

— Niech z godnością dźwigają brzemię nazwiska, które im po wielkich przodkach zostało—nieraz do żony mawiał.—Nie zostawimy im fortuny, zato odziedziczą poczciwe zasady, które im upaść nie pozwolą. Gdy będzie potrzeba, niech pracują i walczą, ale niech się nigdy nie upokarzają.

Marzeniem jego było, aby dzieci wyszły z jego domu z charakterem hartownym jak stal.

Staś był kawalerem prawie dorastającym, Alicya panną na wydaniu, nawet mała Zosia napełniała już dom cały swemi żartami i figlami, gdy dnia pewnego ich matka, z miasta wracając, tak silnie się przeziębiła, że ledwie do domu przyjechała, musiała natychmiast pójść do łóżka. Choroba była ciężka; mimo usilnych starań lekarzy, więcej się nie podźwignęła.

Po kilku tygodniach umarła spokojnie, z uśmiechem na ustach, błogosławiąc dzieci i męża przepraszając, że w początkach nie była taka, jaką on ją mieć pragnął.

Mąż po jój stracie nie mógł się długo opamiętać. Córki, przez lat kilka, ilekroć im matka na myśl przyszła, zawsze gorzko płakały; nawet Staś, acz mężczyzna, miał na jój wspomnienie często łzy w oczach. Jedna pani Zielińska okazywała najmniej żalu, ta jednak, jak utrzymywała, od najmniejszego dziecka miała taki charakter, że wołała ból w sobie tłumić, niż go nazewnątrz ujawniać.

W kilka dni po śmierci pani domu hrabia przyszedł do cici Zielińskiej, pocałował ją w rękę i w te słowa przemówił:

— Zżyliśmy się, pani dobrodziejko, z sobą, moje dzieci przyszły na świat pod twém okiem, moja biedna żona na twych rękach ostatnie tchnienie oddała. Jeśli tedy łaska, zostań pani i nadal z nami, nasz dom uważaj za swój, a zdawać mi się będzie, że wraz z tobą przebywa tu duch téj istoty, która nas przedwcześnie osiérociła.

Pani Zielińska skłoniła się głęboko, a czyniąc to, chusteczkę do oczu poniosła.

Została.

O rękę hrabianki Alicyi młodzież zaczęła się prędko dobijać. Przyjeżdżali rozmaici, między nimi niemało wysoko urodzonych i bardzo bogatych, ona atoli, idąc nietylko za popędem serca, lecz także za radą ojca, wybrała Konrada Palińskiego, który po kądzieli był spokrewniony z rodziną Tęczyńskich.

Za Konradem, z wyjątkiem jednego majątku, wszystko inne przemawiało: dobre nazwisko, nauki, młodość, uroda, wielka prawość charakteru i rzadka u młodzieńca w jego wieku praktyczność. Przyszedł na świat w domu ludzi milionowych, którzy, żyjąc z dnia na dzień, w czasie stosunkowo dość krótkim wszystko



stracili. On jednak, choć po śmierci rodziców znalazł się prawie bez dachu, a rozpoczynał wtedy studia uniwersyteckie, ani rozpaczał, ani odwagi nie stracił. Powiedział sobie: Skorom sam został, więc téż sam przez świat się przebiję. I tak się stało. Zaciął zęby i wziął się do pracy. Do nikogo ręki nie wyciągał, do krewnych nie poszedł prosić o jałmużnę; by w szkołach się utrzymać, uczył drugich, i tak zdobywając egzystencją nie jedną łzę gorzką, którą w skrytości uronił, skończył uniwersytet, pozdawał z wyszczególnieniem wszystkie egzaminy i w namiestnictwie rozpoczął karierę urzędniczą. Tu poznał go przypadkiem hr. Tęczyński, a przypomniawszy sobie jego rodzinę, z którą od dłuższego czasu nie utrzymywał żadnych stosunków, zaprosił go do Lipińca.

To rozstrzygnęło o losie Konrada Palińskiego.

Poznał piękną Alicyą, pokochał ją całą duszą, nawzajem ona go pokochała. Byli bo téż jakby dla siebie stworzeni. Mimo to aniby był pomyślał o jój ręce, gdyby nie sam hrabia, który go wprost do tego upoważnił ciągłym zapraszaniem do swego domu i wyszczególnianiem wśród reszty młodzieży, współubiegającój się o względy jego córki. A kiedy serce młodzieńca zaczęło już roić nadzieje cudowne, kiedy radość i trwoga, zlane w jeden wielki akord pieśni miłosnej, do snu go kołysały i ze snu budziły—wtedy wydarzyły się dwa wypadki niespodziewane, które przyśpieszyły jego szczęście. Najpiérw powiodło mu się wygrać proces, który po śmierci rodziców, jako ich jedyny spadkobierca, toczył o kilkadziesiąt tysięcy; niedługo potém umarł jakiś daleki krewny jego nieboszczki matki i zostawił mu także sumkę wcale okrągłą. W ten sposób zrobiło się razem blisko sto tysięcy. Chociaż dla panny Tęczyńskiej nie był to wielki majątek, zawsze umacniał on stanowisko Konrada w społeczeństwie, a poczęści i jemu samemu odwagi dodawał. Cokolwiekby, nie był już biednym, a w dodatku miał jeszcze karierę przed sobą

Gdy wkrótce, przez pannę do tego zachęcony, oświadczył się ojcu o jej rękę, ten, w głowę go całując, rzekł:

— Przyjmuję cię, Konradzie, za syna, bo nietylko pochodzisz z gniazda, które zawsze wydawało mężczyzn rycerskich i niewiasty cnotliwe, i umiałeś pozyskać przywiązanie Alicyi, ale nauczyłeś się także żyć, czém dajesz rękojmią przyszłego szczęścia. Iluż to między nami zeszło z pola jedynie dlatego, że żyć nie umieli! Oby tój umiejętności nabył przy tobie mój syn!

Wkrótce po ślubie młodych ludzi okazało się, że ani życie miejskie nie było dla nich, ani zawód urzędniczy dla Konrada. Szlachcica na wsi urodzonego i wychowanego ciągnęło do pól, kołyszących się złotą pszenicą, do lasów tajemniczo szumiących, w których człowiek czuje się wolnym i szczęśliwym,—do wód kryształowych, które biegną ku morzu, niosąc na swój fali nasze drzewo i zboże. Co do Alicyi, ta życia innego, niż na wsi, nawet nie pojmowała; a chociaż miłość dla męża wypełniała całe jej jestestwo, nie da się wszakże zaprzeczyć, że tęskno jej także było do ojca staruszka, potrzebującego już kobiécj opieki; do Zosi, która bez troskliwego oka starszój siostry mogła zostać jeszcze większym trzpiotem; do pokojów, w których tyle lat przeżyła; do starego Paszuty; ba! nawet do cioci Zielińskiej i jej morałów nieśmiertelnych. Badał ją raz pod tym względem ojciec, a gdy ona z całą otwartością dziecka przywiązanego odśloniła przed nim swoje duszę, rzekł wesoło:

— Anibyś dała wiarę, Alisiu, jak mnie to cieszył! Jam wiedział od początku, że tak będzie, ale m się Konradowi nie sprzeciwiał, by nie sądził, że m stary samolub!.. On taki sam biurokrata jak ja!.. A teraz posłuchaj, moje dziecko, co ci powiem. Wiész, że m już stary, Staś potrzebuje się jeszcze długo uczyć, zresztą, jak sądzę, gospodarz z niego nigdy nie będzie, bo on na wielkiego pana stworzony, tymczasem w Lipińcu

niejedno nie idzie tak, jakby powinno, bo niema tam ani ręki sprężystej, ani głowy dość praktycznej. Za młodu nie nauczono mnie gospodarstwa, prócz tego sam wiem, że dla ludzi trochę zaślaby... Kto jak kto, a Konrad wszystkiemu by podołał, i łatwiej, niż przy zielonym stoliku, powiększyłby na wsi swój majątek. Pomów o tém z mężem, droga Alisiu, i wierzcie mi, że będę się czuł prawdziwie szczęśliwym, jeśli jaknajprędzej zjedziecie na stałe mieszkanie do waszego ojca.

Pani Alicya nie miała odtąd sprawy ważniejszej na głowie. Mąż długo się namyślał, głównie bowiem szło mu o niezawisłość, której nie chciał utracić w domu teścia; lecz gdy hrabia, składając w jego ręce całą administracją majątku, uspokoił go pod tym względem, zdecydował się ostatecznie i z żoną przeniósł się na mieszkanie do Lipińca.

Odtąd stosunki majątkowe hr. Mieczysława Tęczyńskiego robiły się coraz lepsze.

Jak każdy potomek rodu wielkiego, mający jednaka, musiał i hr. Tęczyński zwracać całą swoją uwagę na syna, w nim bowiem chciał widzieć godnego przedstawiciela świetnej przeszłości, a skończony ideał teraźniejszości. Wszak to była ostatnia latorośl potężnego niegdyś rodu, który wprawdzie z biegiem czasu zmałał, wszelako przy pomocy Stanisława mógł się jeszcze dźwignąć i dawnym blaskiem zajaśnić. Były to najpiękniejsze marzenia hrabiego.

Ponieważ po obdzieleniu córek nie mógł mu zostawić wielkiego majątku, przeto długo i uważnie zastanawiał się nad drogą, którą miał go poprowadzić. I osądził, że najlepiej będzie, jeśli Staś poświęci się zawodowi dyplomatycznemu, który młodzieńcowi z tém co on nazwiskiem jeszcze najłatwiej mógł przyszłość zabezpieczyć. Wszak w razie potrzeby każdy dyplomata przez dobre ożenienie zdobywa znaczny majątek. Kombinacją tego rodzaju poczytywał za całkiem naturalną, boć od początku świata rodzice zawsze o to

dbali, by ich synowie dobrze się żenili, a panny zaś posażne na to na świat przychodzą, żeby mężowie mniej zamożni, lecz należący do wielkich rodzin, zapewniali swoim żonom w świecie wybitne stanowisko.

Staś był młodzieńcem przystojnym, nawet pięknym, choć może zanadto nerwowym, co prawdopodobnie po matce odziedziczył. Wyglądanie jego było arystokratyczne, uprzejmością wszystkich sobie jednał. Uczył się chętnie i dobrze. Jak długo w domu bawił (szkoły średnie skończył, ucząc się w Lipińcu), nikt się na niego nie mógł poskarżyć, a ojciec wierzył, że syn będzie się zawsze jego wolą powodował i nie sprawi mu żadnej przykrości.

W dziewiętnastym roku, zdawszy egzamin dojrzałości, pojechał do stolicy, by uczynić zadość obowiązkom służby wojskowej. Jak wszyscy w jego wieku, miał i on być ochotnikiem jednorocznym. Tu znalazł się w świecie zupełnie nowym, który dotąd znał jedynie z opowiadań i książek. Weseli koledzy, karty, kolacyjki, wycieczki za miasto, a przedewszystkiēm awanturki miłosne, miały dlań tē m wiēkszy urok, ile że przebywając dotąd wciąż na wsi, pod czujnē m okiem ojca a troskliwē m szwagra, nie miał jeszcze sposobności poznać życia wszechstronnie. Nowość pociągala go ku sobie tą siłą nieprzepartą, którē j nieraz ulegają najsilniejsze nawet charaktery; pragnienie uciech, naturalne u istot nerwowych, paliło całe jego jestestwo; chęć zgłębienia życia, wypływająca wprost z młodości, opanowywała wszystkie jego myśli. Koledzy ze swē j strony czynili, co mogli, żeby go utrzymać w stanie bezustannego podniecenia. Wmawiali wē n tedy, że młodzienc, urodzony na tē m co on stanowisku, powinien się dać poznać, aby oczy całego kraju tylko na niego były zwrócone; powinien życia używać, bawić się i bawić drugich. Mówili pięknie, nawet z zapalē m; jedni obudzali w nim próżność pochlebstwami, drudzy, a ci byli najniebezpieczniejsi, drażnili ją szyderstwem; wy-

glądało to, jakby wzięli sobie za zadanie tę z gruntu dobrą lecz miękką naturę zwichnąć i na błędne tory wprowadzić.

I dopięli swego.

Staś zaczął żyć i używać, a że dochody nie wystarczały mu na hulanekę, więc robił to samo, co wielu innych—długi. W Lipińcu czas jakiś nic o tém nie wiadano, wszelako gdy wierzyciele zanadto go przycisnęli, rad nie rad musiał wkońcu zgłosić się o pomoc. Ojcu jednak nic nie powiedział. Smutną prawdę, i to pod pieczęcią tajemnicy, wyznał tylko szwagrowi. Konrad pojechał natychmiast do miasta, zwołał wierzycieli, długi zaspokoił, zaś młodemu człowiekowi, acz w formie delikatnej, powiedział dobre kazanie. Staś spłakał się skruszony i szwagrowi na szyję się rzucił, poprawę przyrzekając.

I w rzeczy samej poprawił się na miesiąc.

Po upływie tego czasu popadł w dawne zło, a że i sposobności do robienia wydatków nadzwyczajnych miał teraz więcej, był to bowiem sam środek karnawału, przeto pieniądze płynęły jak woda. Na domiar złego między młodymi ludźmi, odgrywającymi podówczas rolę wybitniejszą, znalazł się jeden, który, łącząc przyjemne z pożytecznym, urządził u siebie na herbatkach stałą ruletkę. Staś zgrał się kilka razy, skutkiem czego długi przybrały rozmiary zastraszające. Szwagier znów przyjechał i, acz nie bez wielkich trudności, wybawił go po raz wtóry z rąk lichwiarzów. Czyniąc to wszakże, zapowiedział mu stanowczo, że smutny ten wypadek zachowa także w tajemnicy; gdyby atoli coś podobnego jeszcze raz się wydarzyło, musiałby wszystko ojcu powiedzieć, inaczej bowiem choroba Stasia gotowaby się zamienić w chroniczną.

Młody człowiek przyznał mu słusność zupełną, znów płakał i po rękach całował, a gdy Konrad odjeżdżał przysiągł mu na pamięć matki, że podobnego błędu więcej nie popełni.

Kilka miesięcy upłynęło spokojnie.

Konrad zaczął już wierzyć, że Stanisław całkiem się poprawił, gdy wtém drogą poufną otrzymuje od niego wezwanie, by niezwłocznie do miasta przyjeżdżał. Gwałtowne bicie serca zaraz mu powiedziało, co go czeka. Pojechał w tajemnicy przed teściem, a ledwie w stolicy stanął, usłyszał, że Staś podczas wyścigów porobił wysokie zakłady i wszystkie przegrywał.

Konrad przewidywał nową katastrofę, jednakowoż nie w takich rozmiarach.

Staś zrobił na nim wrażenie bolesne. Był przygnębiony, rozstrojony, unikał jego wzroku, mało mówił, niekiedy wrywały mu się słowa najwyższej rozpaczcy, mogące tych, co go kochali, nawet przerazić. Konrad uspokajał go, jak mógł, wśród tych okoliczności o ojcu nie wspominał, z oka go nie spuszczał, a równocześnie w duchu się zapytywał, co teraz uczynić powinien? Sumienie nie pozwalało mu działać więcej na własną rękę, poza plecami ojca, a to z powodów wielorakich. Bo czy dobrze się stało, że dotąd podważać prawdę przed teściem ukrył? Myślał, że tak będzie najlepiej; tymczasem następstwa okazały, że obliczenia go omyliły. Staś, miasto się poprawić, brnął coraz głębiej. Do ojca był on szczerze przywiązany, a nie tyle się go bał, ile żenował. U natur delikatnych jest to w każdym razie lepsze niż trwoga. Ponieważ ze szwagrem był na stopie przyjacielskiej, przeto ojciec był instancją ostatnią, do której wśród tak wielkiej katastrofy można się było jeszcze odwołać. Prócz tego względy czysto materyalne nakazywały także hrabiego jaknajprędzej do stolicy sprowadzić. Jeśli długi Stanisława miały być zapłacone, należało natychmiast szukać pieniędzy, Konrad bowiem nie miał już w ręku gotówki. Jedną część swego kapitału włożył w administracyą Lipińca, drugą wydał na dawniejsze długi

szwagra. Pożyczyć zaś mógł jedynie za zezwoleniem teścia.

Doszedłszy do tój konkluzyi, rozpoczął układy z lichwiarzami, a równocześnie dał znać do Lipińca.

Trzeciego dnia hrabia przyjechał.

Konrad powiedział mu prawdę, ale nie całą; przemilczał, że już podwakroć płacił długi za Stasia. Hrabia zgryzł się bardzo, gdy jednak wypadki tego rodzaju w świecie, do którego należał, dość często się zdarzają, przeto tém się pocieszał, że ponieważ niejednen młody człowiek wyrobił się, choć dawniej takie same błędy popełniał, więc i jego jedynak ocknie się bez trudności, jak skoro uwolni się od złego towarzystwa, w którym się przypadkowo znalazł. Obowiązkiem zaś jest ojca podać rękę dziecku i dopomódz mu do podźwignięcia się z upadku.

Zamknął się ze Stanisławem i długo sam na sam z nim rozmawiał. Na zakończenie rzekł spokojnie:

— Pamiętaj, synu, że pochodzisz z rodu, który w dziejach niczém się nie splamił. Ojcowie nasi popełniali może błędy, od których żaden człowiek nie jest wolny, ale nie dopuszczali się nigdy czynów hańbiących, bo na straży każdej ich działalności stał honor! Nie bojaźń nimi kierowała, ale cnota rycerska. Nie utrzyma jednak ten honoru, kto wydaje więcej, niż ma. Kto robi długi, ten, chcąc nie chcąc, musi nieraz okłamać swego wierzyciela, a w ślad za kłamstwem postępuje zbrodnia. Dlatego to stare prawo rzymskie pozwalało wierzycielowi dłużnika niesumiennego zabić i ćwiertować; Persowie zaś utrzymują od czasów niepamiętnych, że najgorszym człowiekiem jest ten, który pożyczka. Mówił mi to ongi mój ojciec, dziś ja to tobie powtarzam. Zbłądziłeś, lecz ja ci błąd przebaczam, jest on bowiem pierwszy w twém życiu, a mam nadzieję, że będzie także ostatni. Żebym jednak był całkiem spokojny, musisz mi dać tu, w cztery oczy, słowo szlacheckie, że odtąd nigdy długu nie zaciągniesz. Na-

myśl się jednak, Stanisławie, czy możesz to uczynić ze spokojnym sumieniem.

Syn, ojca słuchając, był nie tyle wzruszony, co niewysłowioną czcią dla niego przejęty. Widział przed sobą nie tego, przed którym miał drżać, lecz przyjaciela, który, choć cierpiał głęboko, ani się miotał, ani gniwał, tylko dla własnego jego dobra przemawiał mu do serca i rozumu. Stanisław chciał już usta otworzyć i wypowiedzieć słowo sakramentalne, ojciec atoli, zamiar jego odgadując, rzekł dobitnie:

— Dobrze się wpiérw namyśl, synu, nim dasz przyrzeczenie, którego ci złamać nie wolno! Wolisz powiedzieć: Ojcze! jam słaby, ja nie wiem, ażali danego słowa potrafiłbym dotrzymać; wolisz dalej błądzić i mnie widzieć na marach, niż żebym ja był kiedyś zmuszonym zawołać: To nie moja krew! to nie mój syn! to nie Tęczyńskil... Gdybyś miał kiedyś zapomnieć o słowie szlacheckim, które jest tém samym dla nas, czém dla innych przysięga na ewangelią, zaiste! stokroćbym wołał, by na tobie ród nasz zgasł na wieki; wołałbym cię opłakać, niż się na twój widok rumieniść. Wyrj to sobie, synu, głęboko w pamięci, bo ojciec ci to mówi w cztery oczy, nie przed światem, dla marnego popisu, a jeno w obliczu tego Boga, który sam jeden nas słyzy. Cóż, Stanisławie, przysięgniesz na twój honor, że długów więcéj nie będziesz robił?

— Przysięgam!—syn zawołał, ojcu do nóg się rzucając.

Hrabia pochylił się nad synem, jego piękną głowę wziął w swoje dłonie, a gdy ją całował, łzy duże, gorące, stoczyły mu się po sędziwém obliczu i na głowę jednaka upadły.

Po téj scenie bez świadków hrabia zaciągnął pożyczkę, zaspokoił długi Stanisława i wraz z Konradem bezzwłocznie do Lipińca odjechał. Nawet zięciowi nie powiedział, co zaszło między nim a synem.



Stanisław został w mieście do jesieni; w październiku kończyła się jego służba wojskowa. Ojciec kilka razy w tym czasie do stolicy przyjeżdżał, lecz ani go badał, ani moralizował, a tém mniej nie wspominał o tém, co między nimi zaszło. Dowiedział się tylko przypadkiem, że syn jego bardzo się ustatkował, że uczy się do egzaminu, gdyż chce zostać porucznikiem, że z dawnymi przyjaciółmi zerwał stanowczo i że teraz towarzyszem jego nieodstępny jest Antoś Grzywa, tak samo jak on ochotnik jednoroczny, a synowiec pana Bartłomieja Grzywy, właściciela Strzałkowic. Hrabia z początku niebardzo się tém ucieszył, że syn jego obrał sobie przyjaciela o nazwisku tak bardzo demokratyczném, przytém krewnego człowieka, który ani w powiecie, ani w kraju nie miał miru,—wszelako po zaciągnięciu bliższych wiadomości zmienił swoje zdanie, ponieważ się okazało, że Antoś jest młodzieńcem bardzo przyzwoitym, pilnym i oszczędnym. Znajomość i bliższy stosunek z takim kolegą mogły Stanisławowi wyjść tylko na dobre.

Do końca służby wojskowej młody Tęczyński, ku powszechnemu zdumieniu, prowadził się wzorowo i żył nadzwyczaj skromnie, a pod jesień przyjechał do domu w uniformie porucznika od ułanów, w którym tak mu było do twarzy, że na jego widok obie siostry spłakały się z radości, Paszuta zaś, w panicza zapatrzony, z drżących rąk upuścił całą tacę sewrskiej porcelany, która, zapewne dlatego, że była stara i krucha, na tysiączne kawałki się rozprysnęła.

Hrabia nie żałował teraz pieniędzy, które zapłacił; w głębi ducha, z czém się wszakże przed zięciem nie zdradzał, był nawet kontent, że jedynak trochę mu się wykoleił, albowiem głównie téj okoliczności przypisywał wyrobienie się w nim charakteru.

W głuchój jesieni Stanisław, w towarzystwie człowieka znanego z taktu i nauki, który był mu nie tyle mentorem, co doradcą i przyjacielem, wyjechał do Ox-

fordu, gdzie najmniej przez dwa lata miał na uniwersytecie oddawać się naukom prawa i umiejętności politycznych.

Rok pierwszy upłynął szczęśliwie i z wielkim dla niego pożytkiem. Wakacye spędził razem ze swym towarzyszem w Lipińcu. Pod zimę odjechał znów do Oxfordu.

Hrabia widział się blizkim kresu swoich marzeń. Za rok miał Stanisław wrócić skończonym człowiekiem. Potem czekała go służba w ambasadzie, z którą były połączone stosunki, zaszczyty i dostojęstwa.

Wśród zimy otrzymał hrabia z pieczęcią poczty londyńskiej list następujący:

„Jaśnie Wielmożny Panie hrabio!

„Po długim namyśle postanowiłem nareszcie donieść JWPanu hrabiemu, że syn jego, hr. Stanisław, opuścił mnie przed miesiącem w sposób równie tajemny jak niespodziewany i z Oxfordu udał się do Londynu. Nim mogłem się dowiedzieć, gdzie się podział, upłynął cały dzień. Odkrywszy nareszcie drogę, którą odjechał, pośpieszyłem niezwłocznie do Londynu i tu szukałem go najpierw przez osoby prywatne, a gdy te na jego trop nie mogły mnie wprowadzić, nawet przez policją. Nareszcie po wielkich zachodach dowiedziałem się, niestety, że hr. Stanisław, w towarzystwie jakiejś gwiazdy teatralnej, odjechał do Francji, zkąd prawdopodobnie uda się na Południe. Żłem może zrobił, że o tém smutném zdarzeniu nie uwiadomiłem niezwłocznie JWPana hrabiego, mniemam jednak, że, jak ja, postąpiłby każdy inny na mojem miejscu. Bo i dlaczego miałem porywczo przestraszać ojca i może go jeszcze narażać na trudy długiej, w téj porze roku wielce uciążliwej, bał nawet niebezpiecznej podróży, skoro młody człowiek po kilku lub kilkunastu dniach mógł wrócić do swych studyów i obowiązków. Sądziłem przeto, że lepiej będzie, jeśli wpiérw uczynię wszystko, co do

mnie należy, a dopiero w ostateczności uwiadomię JW Pana hrabiego o tém, co się stało. Porozsyłałem więc depesze na wszystkie strony, a gdym dostał pewną wiadomość, że hr. Stanisław zatrzymał się dłużej w Nicei, natychmiast do niego napisałem. Na to otrzymałem dziś załączoną depeszę telegraficzną tój osnowy: „Według praw francuzkich, a przebywam obecnie na ziemi francuzkiej, jestem pełnoletni, więc téż proszę uprzejmie, byś mnie pan raczył ze swój opieki na zawsze wypuścić.” Wobec tego nie pozostaje mi nic, jak JW Pana hrabiego przeprosić, że wbrew własnej woli zawiodłem położone we mnie zaufanie i...”

Tu hrabiemu list z ręki wypadł.

Długo stał nieruchomy, bardziej podobny do trupa, niż do człowieka żyjącego, i błędném okiem toczył dokoła, jakby się chciał upewnić, że nie śni. Potém wziął list i nanowo, słowo po słowie, zaczął go odczytywać. A gdy skończył, potarł czoło, westchnął, zsunął się na fotel i, oburącz oczy sobie zasłoniwszy, zaczął płakać. Płakał cicho, ale tak gorzko, tak boleśnie, jak płacze tylko starzec, spoglądający na ruinę marzeń całego żywota...

Niespodzianie weszła Zosia do jego pokoju, a ujrzawszy ojca w boleści pogrążonego, przed nim list otwarty, wymknęła się na palcach i, nie mogąc oddechu chwycić, zaczęła Konrada szukać. Znalazła go nareszcie.

— Konradzie! idź do ojca!... Idź! — zawołała, za serce się chwytając. — Ojciec dostał jakiś list... Idź, Konradzie!

Młodemu człowiekowi, jak gdy błyskawica chmurny horyzont oświeciła, nagle w głowie się rozjaśniło. Domyślił się, że albo od Stanisława, bądź téż o nim przyszło coś strasznego. Chwili się nie wahając, pobiegł do pokoju teścia.

Hrabia na jego widok wyciągnął ramiona, ujął go za obie ręce, przycisnął do piersi i jęknął gdzieś z głębi serca:

— Tylko ty jeden zostałeś mi, Konradzie! Tylko tyś mój syn!

— Ojczel co się stało?

— Czytaj! Czytaj!

To mówiąc, podał mu list fatalny.

Konrad przeczytał i, na śmiech się siląc, zawołał:

— Ależ niech to ojca nie przeraża!... Między młodzieżą awanturki podobne to chleb powszedni... Młody musi wyszumić!

— Niechaj ci szumią, którzy mogą... których to nie gubi!... Stanisław miał najwyżej kilkaset franków... niewątpliwie więc popadł w długi.

— Może, ojczu, nie jest tak źle, jak sądzisz... Diwy miéwają czasem miliony...

Hrabia porwał się z fotelu, jakby go jadowity wąż ukąsił.

— Nie mów tego, Konradzie! — zawołał — gdyż z wszystkiego toby było najgorsze! Wolałbym, żeby mój syn poszedł po żebrach, niż żeby miał żyć na koszt tych!...

Urwał i, aby ulżyć piersi, która mu rozpaczą i bólem wezbrała, zaczął krokiem nierównym, nerwowym, chodzić po gabinecie.

Konrad śledził go wzrokiem niespokojnym.

Tak byli obydwaj przejęci i zmieszani, że w dniu tym nie mogli żadnego planu ułożyć. Rozumieli to dobrze, że Stanisław, sam sobie pozostawiony, zaszedłby tam, gdzieby go los zaniósł, a nie wiedzieli, jak go do kraju sprowadzić. Dopiero nazajutrz pani Alicya, wzięwszy udział we wspólnej naradzie, sprawę rozstrzygnęła.

— Tatkul—rzekła, za rękę go biorąc—czyż tatko mógłby Stasia opuścić i samego zostawić, skoro ojciec biblijny przyjął do swego domu nawet syna marnotrawnego i na jego przyjęcie jeszcze ucztę wyprawił? Czyżby dzisiejsi ojcowie mniej mieli serca, niż dawniejsi? Nie, tatku, ja w to nigdy nie uwierzę!... A zresztą Staś

nie jest synem marnotrawnym... Zbłądził, prawda, lecz to tylko szal, choroba chwilowa, z której między nami niewątpliwie i prędko się wyleczy. O ile słyszałam, na świecie prawie niema ojca, któryby z synami wielkich zgryzot nie przechodził, a przecież z tych młodych lekkomyślników iluż potem wyrasta ludzi porządnych!... Zostawić go tam nie można pod żadnym warunkiem... Gdyby tatko napisał do niego, gotówby przez sam wstyd nie przyjechać, wiemy bowiem, że fałszywa ambicya nieraz rozstrzyga o losach młodzieńców; Konrad nie może także po niego jechać, boby go najprawdopodobniej Staś nie posłuchał; a więc sam tatko niech się tego raczy podjąć... Ciężki to, tatuńciu, obowiązek, bardzo ciężki—dodała, po rękach go całując;—lecz kto synowi z pomocą pośpieszy, jeżeli nie ojciec?..

Hrabia nic na to nie odpowiedział. Podniósł tylko wzrok do góry i jęknął:

— Boże! Boże! za cóż mnie tak doświadczasz?!

Dwa dni zbiegły na bezustannych naradach ojca z zięciem. Po upływie tego czasu przyszedł z Nicei list do hr. Mieczysława Tęczyńskiego. Charakter pisma na adresie nie był hrabiemu całkiem obcy, wszakże nie mógł go sobie przypomnieć. Tak był wzruszony, że ledwie był w stanie kopertę rozerwać. Spojrzał na podpis. List pochodził od księcia Hieronima de Montpelier, dawnego przyjaciela hrabiego, z którym tenże za granicą często się widywał.

Księżę pisał:

„Nicea, d. 15 lutego 1885.

„Mój stary i dobry przyjacielu!

„Dawno to już bardzo, jakem miał szczęście i przyjemność widzieć cię ostatni raz u siebie w Paryżu, a że czas, ku wielkiemu memu żmartwieniu, na miejscu nie stoi, i my, niestety, starzejem, więc sądzę, że możeby nieźle było, gdyby ci, którzy się zamłodu kochali, widywali się niekiedy i w latach późniejszych na tym naj-

marniejszym z marnych światów, bo kto wie, ażali po śmierci zejdą się gdzie razem... Ja, naprzykład, szczerze to wyznaję, nie mam najmniejszej nadziei spotkać się z tobą na Polach Elizejskich, ty bowiem pozostałeś niewątpliwie, czém byłeś, surowym zachowawcą i zagorzałym monarchistą, gdy przeciwnie ja, zniechęciwszy się do mieszczańskiej królewskości i biurokratycznego imperyalizmu, przystałem teraz do oportunistycznej republiki—a więc do najwstrętniejszej formy rządu, jaka jest pod słońcem... Zrobiłem to zresztą choćby li dlatego, że dobry mój przyjaciel, ks. Aumale, to samo uczynił; lecz czy dla republikanów współczesnych będzie zarezerwowany jaki kącik w królestwie niebieskiem, to jeszcze pytanie... Jeśli mam prawdę wyznać, znalazłszy się na miejscu św. Piotra, nie wpuściłbym do nieba żadnego z tych hultajów, bo zaiste nie wiem, czy można się czém bardziej brzydzić, niż tą III republiką z adwokatami, Żydami, weterynarzami na czele! Lecz co począć?... Dobrze i to, skoro zupełna anarchia byłaby jeszcze gorszą...

„Od lat dziesięciu już nie mieszkam w Paryżu. Włóczę się z żoną i córką z miejsca na miejsce, jak niegdyś ty, mój stary przyjacielu, i niezmiernie jestem zadowolony, jeśli spotkam kiedy człowieka, umiającego mówić o czém inném, niż o téj polityce czczej i jałowej, którą puste głowy częstują nas na każdym kroku. Do tych ludzi nadzwyczajnych, pełnych rozumu, dowcipu i dystynkcyi, należy bezsprzecznie twój syn, hr. Stanisław, któregośmy tu, w Nicei, przypadkiem spotkali. Zobaczyłem go pierwszy raz przechadzającego się pod palmami i poznałem go natychmiast, mimo iż dawno, jakem go z oczu stracił, ale bo też ten kawaler z oczu wam wypadł. Podobał się niemniej moim damom i od owego spotkania jest codziennym naszym gościem. Lubimy go bardzo, gdyż pod każdym względem na to zasługuje. Mówiono mi, że miał tu jakiś stosunek... ale, na szczęście, to już przeszło... Pod tym względem

możesz więc być całkiem spokojnym. Zresztą, kto młodemu będzie się dziwił? Chyba ten, kto sam nie umiał być nigdy młodym i nie czuł krwi w żyłach. Nieprawdaż, Mieczysławie?

„Mniej wyrozumiałym byłbym może na to, że hr. Stanisław, dostawszy się w towarzystwo nieszczególne, zrobił niedawno temu wycieczkę do Monaco, gdzie przy rulecie kilka dni spędził. Znaleźli się usłużni, którzy mu pieniądze dostarczyli (ktoby ich odmówił Tęczyńskiemu!) i tak się niefortunnie złożyło, że młody kawaler przegrał razem około miliona franków. Jak na czasy terazniejsze, w których bankructwo pana Bontoux tyle szlacheckich fortun poderwało, jest to sumka wcale pokaźna. Ale co począć? trzeba być filozofem, bo i gra należy do słabości ludzkich... Gorzej było, że kawaler tak to sobie wziął do serca, iż koniecznie chciał wielką niedorzeczność popełnić; widać jednak, że ma ambycją, bez której tyłu jego rówieśników dziś się obchodzi!... Na szczęście, skończyło się li na kąpieli w morzu, niebardzo przyjemnej w tej porze roku, i dłuższym katarze, z którego już wyszedł... Po tej awanturze, ostatniej, jak się spodziewam, zabrałem go do siebie, a moje damy tak troskliwie nad nim czuwają, że odtąd możesz być o niego całkiem spokojny.

„Powiedziałem ci, stary przyjacielu, co obowiązek kazał powiedzieć, ty zaś sam najlepiej osądzisz, co w tym wypadku można uczynić... W każdym atoli razie, przez wzgląd na hr. Stanisława, przyrzekłem tym, wobec których przyjął zobowiązania, że do ciebie napiszę. Jest to jednak wszystko, com postanowił zrobić. Nie namawiam do niczego, a tém mniej nie wywieram jakiegokolwiek przymusu, zwłaszcza, że znalazłszy się na twém miejscu, głębokobym się wpiérw zastanowił, nibym co przedsięwziął. Wychowanie syna, zwłaszcza jedynaka, to nie drobnostka i dobrze trzeba pomyśleć, jakich należy użyć środków pedagogicznych... Cokolwiek wszakże zarządźisz, mam niepłonną nadzieję, że

osobiście do Nicei przyjedziesz, czém już naprzód wielce się cieszę, bo anibyś uwierzył, jak gorąco, po tylu latach niewidzenia, pragnie cię uściskać twój stary druh i przyjaciel—książę Hieronim de Montpellier.”

Po odczytaniu tego listu hrabia nawet nie jęknął. Wezwał tylko natychmiast Konrada i, list mu wręczając, rzekł, by go pokazał tak żonie, jak siostrze. Sam zamknął się w swoim gabinecie i przez dwa dni nikogo do siebie nie wpuszczał. W tym czasie ani jadł, ani pił.

Dzieci, wielce tém zaniepokojone, chodziły kolejno pod drzwi jego pokoju i pilnie nadśłuchiwały. Wciąż się przechadzał. Niekiedy było także słychać ciężkie westchnienia...

Po dwóch dniach wyszedł zmieniony do niepoznania. Twarz miał żółtą i bardziej pomarszczoną, oczy zapadnięte, usta zacisnął mu ból straszliwy w głębi serca; cała postać, dawniej taka prosta, była pochylona. Na widok dzieci, śpieszących na jego spotkanie, uśmiechnął się, ale uśmiechem pozagrobowym.

— Poszlij, Konradzie, po panią Zielińską — rzekł do zięcia — i wszyscy przyjdźcie z nią do mnie.

Gdy staruszka się zjawiła, zasiedli w gabinecie hrabiego. Córci i zięć, w oczekiwaniu tego, co nastąpi—a spodzielali się rzeczy ważnej—spoglądali niespokojnie to na niego, to po sobie. Najbardziej zmieszana, prawie zatrwożona, była Zosia; najmniej pani Zielińska. Pierwsza to bladła, to się rumieniła i z sędziwej twarzy ojca wzroku nie spuszczała; przeciwnie druga wyglądała jak codziennie i widocznie czekała tylko na sposobność, jak według zwyczaju, ze zbawiennym morałem wystąpić.

Konrad był tego dnia spokojny, ale bardzo poważny.

Hrabia zaczął mówić. Głos jego był cichy, lecz stanowczy.

— Sprosiłem was tu, moi drodzy, byście wypowiedzieli swoje zdanie w sprawie nader ważnej. Ponie-



waż w rzeczach, obchodzących całą rodzinę Tęczyńskich, do której naszą przyjaciółkę, panią Zielińską, także zaliczamy, nie miałem dotąd przed wami żadnych tajemnic, więc i dziś będę mówił z równą otwartością, zwłaszcza, że nie wątpię, iż, cokolwiek usłyszycie, zostanie w waszych sercach i poza ściany tego pokoju nie wyjdzie... Czytaliście list księcia de Montpellier i wiecie, jak straszliwe nieszczęście spadło na nasz dom. Mój syn, a wasz brat, dopuścił się czynu, który jego i cały ród Tęczyńskich hańbą okryje, jeśli mu nie podamy ręki pomocnej. W razie zaś przeciwnym, to jest, gdybyśmy mu dopomogli, ruina nasza majątkowa byłaby nieuniknioną... Mówcie teraz szczerze, co według waszego przekonania powinniśmy uczynić.

Młodzi siedzieli z oczami spuszczone, a lubo z nich każde miało już w tym przedmiocie zdanie wyrobione i wiedziało, co powie, jednakowoż żadne nie chciało pierwsze zaczynać. Skorzystała z tego pani Zielińska, by suchym swoim głosem tak przemówić:

— Mojem zdaniem, nie powinno się dać ani szeląga złamanego. Zrujnować się łatwo, ale co potem będzie? Ze Stasia dobry chłopiec; jak wiecie, ja go bardzo lubię, ale jemu, widać, w głowie fiu, fiu! Skoro umiał narobić tyle długów, niech więc sam płaci; a jeśli nie ma, niech ci tracą, którzy mu dali. Młokosom nie powinno się pożyczać, zwłaszcza takich sum.

— Oni zaufali Tęczyńskiemu—hrabia przerwał.

— Tém gorzej, że na magnackie dziecko sidła zastawiali... Widać, że to czynili w zamiarze zrobienia dobrego interesu, nie żeby potrzebnemu dopomódz... Staś jest małoletni, a żaden małoletni nie odpowiada za swoje czyny.

— A gdyby Staś, przez nas opuszczony, targnął się na swoje życie?—pani Alicya zapytała.

— O to bądź spokojna! Tego głupstwa z pewnością nie zrobi.

— A jednak z listu księcia jasno wynika, że chciał to uczynić.

— Wielkie jeszcze pytanie, czy to prawda... Może księżę umyślnie tak pisze, żeby was rozczulić... Na świecie różni ludzie bywają... Ale chociażby i tak było, jak donosi, to jeszcze trzeba wziąć na uwagę, że kto raz chciał się zabić, a został ocalony, ten z pewnością tego nie powtórzy.

— Ach! ciociul jak można mówić o tém tak zimno!—Zosia zawołała z najwyższą indygnacją.

— Jam stara, moje dziecko, „romanse” mi już nie w głowie, a skoro mnie o zdanie pytacie, więc nie żądam, bym cokolwiek powiedziała wbrew memu sumieniu. Staś zaawanturował, to rzecz smutna, nawet bolesna, ale trudno znów żądać, by przez niego cała rodzina ginęła. Zresztą należy i to wziąć na uwagę, że płacenie długów za młodych ludzi często gęsto najzłobniejsze skutki za sobą pociąga. Tacy panicze, miasto się poprawić, brną coraz dalej, bo co łatwo przychodzi, tego się nie ceni, a za co się pokutuje, tego się nie wystrzega. Nigdy nie zapomnę, jak hrabia Seweryn, dobry mój znajomy z czasów panieńskich, wyleczył swego jedynaka z takiej samej choroby raz na zawsze. Panicz robił długi, ojciec płacił; lecz gdy synalek, miasto się poprawić, jeszcze głębiej zabrnął, wtedy hrabia zwołał wszystkich wierzycieli i powiedział im pod sekretem, że jedynie w takim razie należytości syna zaspokoi, jeśli oni pochwycają go w jakim miejscu publiczném, i, aby miał wstyd, porządnie go przetrzepią. Wierzcie mi, że to skutkowało. Panicz dostał, co mu się należało, i to go ocaliło.

— Lekarstwo zbyt radykalne, jak dla Tęczyńskich—hrabia rzekł ironicznie.

— Skoro ono nie dla nich, więc tém śmieliej można Stasiowi powiedzieć, żeby o sobie sam myślał, ponieważ w razie zapłacenia jego długów nie miałyby się nawet téj pewności, że mu to na dobre wyjdzie.

— Nie, ciociu, nie! My musimy za niego zapłacić! — Zosia przerwała, nie mogąc dłużej słuchać zimnych wywodów pani Zielińskiej. — Cokolwiek mam, chętnie oddam, żeby jego ocalić. Nam nie wolno, ciociu, Stasia opuścić, nie wolno!

— Widać, że ci pstro w głowie! Chyba na to chcesz wszystko oddać, żeby potem zostać starą panną. Dziś takie czasy, moja Zosiu, że nawet hrabianki nikt nie weźmie bez posagu.

— To pójdę do klasztoru! Ja i bez tego mam wielkie powołanie! — jęknęło biedne dziewczę i w głos się rozplakało. — Jakążby wartość miało dla mnie szczęście osobiste, jaką życie samo, gdybym wiedziała, że ja okupiłam nieszczęściem brata jedyne i że mój ojciec najdroższy także przez to cierpił! Nie, tatuńciu! ja w takich warunkach nie chcę majątku! — dodała, ojcu do nóg się rzucając. — Weź wszystko, co mieć mogę, i oddaj za Stasia! Ja pójdę do klasztoru... ja od dziecka tylko o tęgim marzę, żeby wstąpić do klasztoru!

I całując ojca po rękach, po nogach, płakała coraz głośniej, spazmatyczniej.

— Uspokój się, moje dziecię, uspokój! — ojciec prosił, z ziemi ją podnosząc. — Ja wiem, żeś ty córka najlepsza, że brata kochasz; ale, jako małoletnia, nie możesz jeszcze swoim mieniem rozporządzać; ja zaś, jako twój opiekun, nie śmiem tego naruszać, co jest twoją własnością i co na całe życie ma wystarczyć.

— Tatuńciu! nie mów tak strasznie!

— Zważ zresztą, dziecię, że choćbyś nawet całą swoją schedę poświęciła, jeszczeby to nie wystarczyło.

Na to Zosia szybko powstała i, nim siostra mogła odgadnąć jej zamiary, już z gabinetu wybiegła, a po chwili wróciła, niosąc coś ciężkiego w białej chusteczce.

— Weź jeszcze i to, tatuńciu! — rzekła, kładąc na stół chusteczkę, w której znajdowały się jej klejnociki. — Ja tych świecidełek w klasztorze nie potrzebuję, a moja nieboszczka matka, która mi je zostawiła, płakałaby

w niebie, zem przez marną próżność nie chciała tych bawidełek dla brata poświęcić!

Było coś tragicznego w twarzy, w słowach, w całym zachowaniu się tego dziecka. Takie to jeszcze młode, zawsze wesołe, nawet roztrzepane, uśmiechające się do życia, jak ptaszę, gdy z gniazda wyleci, a dziś takie zapłakane, smutne, cierpiące! To też wszyscy na nią patrząc, mieli łzy w oczach, krom jednej pani Zielińskiej. Ta spoglądała obojętnie, usta miała zesznurowane i zdawała się przemyśliwać nad takimi argumentami, któreby skuteczniej, niż dotychczasowe, tym ludziom szalonym mogły z głowy wybić „romanse.”

Pani Alicya, męża za rękę trzymając, kilkakrotnie do niego się zwracała, ale nic nie mówiła. Bładość śmiertelna oblicze jej pokryła, a usta z zimna drgały...

Nareszcie Konrad głosem wzruszonym w te słowa się odezwał:

— Wchodząc do twój rodziny, ojczcie, powiedziałem sobie, że wasza radość będzie mojem szczęściem, zaś wasze cierpienia moją boleścią. Wierny tej przysiędze, odczuwam dziś wszystko, jakbym był istotnym twoim synem, ojczcie, a rodzonym bratem Stanisława; gdy zaś ster spraw majątkowych w moim ręku spoczywa, przeto słuszną jest rzeczą, bym tam, gdzie o pieniądze głównie się rozchodzi, ja rozstrzygał. Jest źle, bardzo źle, wszelako rozum i sumienie nakazują się zastanowić, ażali wśród tego nieszczęścia nie powiedzie się nam wynaléźć drogi, mającej nas na światło dzienne wyprowadzić. Otóż sądzę, ojczcie, że jest taka droga i że nią pójść musimy! Stanisława nie możemy poświęcić, a to tak dobrze przez wzgląd na niego, jak i na nas samych. Zapomniał się, prawda, lecz w gruncie to charakter szlachetny, który jeszcze kiedyś jak brylant zajaśnieje. Dziś go odtrącić, kiedy poprawić się może, znaczyłoby tyle, co go zdradzić. Co do nas, ojczcie, dla grosza marnego nie wolno nam się także hańbą okryć; bo stokroć lepiej, aby świat mówił, iż szlachta wymiéra z braku

sił żywotnych, niż że żyje, podłością się karmiąc! Nie wiem, jakie nam losy Opatrzność wytyczyła; być może, że zginąć musim i zginiemy; jednakowoż, jeśli nie mamy uniknąć przeznaczenia, toć gińmy przynajmniej wśród kataklizmu, kiedy już nie podołają ani nasze ręce, ani nasza wola, ani nasze cnoty! Ale nie gińmy, na Boga żywego! Całe dwa dni, ojcze, liczyłem i oto do czego doszedł: Klucz lipiniecki, z inwentarzami i zapasami, wart blisko milion guldenów. Jeżeli wyteżymy wszystkie siły, z pewnością zbierzemy pół miliona. Temi pieniędzmi zapłacimy dług Stasia, potem będziemy pracowali, by stracone powoli odzyskać.

Hrabia, który, zięcia słuchając, twarz dotąd zaszępioną coraz więcej rozjaśniał i chciwie jego słowa chwycił, w tém miejscu gorzko się uśmiechnął i szepnął:

— Cóż nam wtedy zostanie?

— Chleb suchy, ojcze, ale z nim imię nieskalane i to przeświadczenie, żeśmy spełnili nasz święty obowiązek! Jam, ojcze, nie lekkomyślnik, wzrosłem w biedzie, prawie w nędzy, nauczyłem się pracować i liczyć się umiem! Wezmę się więc do dzieła z całym zapasem sił młodych, dotąd nie stéranych, i z tą głęboką wiarą w powodzenie, która nigdy nie zawodzi, bo jestem pewny, że nam Bóg pobłogosławił...

— Zważ, Konradzie, że masz żonę, dzieci...

— Wszyscyśmy jedną rodziną, ojcze! Alicya wie, że nie rzucam się naoslep, ona mi ufa i to jest moja siła! Od powziętego zamiaru nic mnie już nie odwiedzie. Raz jeszcze powtarzam, że Stasia musimy ocalić, bo nam się shańbić nie wolno. Nie zostanie nam wiele, w każdym jednak razie tyle, że skromnie i cicho będziemy mogli żyć, a jeżeli nasze panie poprą nas w tém dziele, jeżeli roztrofną oszczędnością powiększą nasze dochody, przekonasz się, drogi ojcze, że podźwigniemy się prędzej, niż się może tego dziś sam spodziewam!

— Konradzie! Konradzie! — zawołała, mężowi się na szyję rzucając—ja z tobą pójdę przez bóle i cierniel

— I ja! i ja! — Zosia dodała; a chwyciwszy szwagra za rękę, zaczęła ją gorąco całować.

Hrabia powstał. W jego oczach duże łzy błyszczały. Przystąpił do zięcia, przycisnął go do piersi, i w głowę całując, długo go tak trzymał, a z głębokiego wzruszenia nie mógł słowa przemówić.

Pani Zielińska podniosła się z fotelu, i na lasce się opierając, ku drzwiom ruszyła.

— Jam już stara — mruczała, —mnie „romanse” nie w głowie... zobaczymy, na czém się to skończy. Ja wiem, że pieniądz wszystkiém dziś na świecie, a im się zdaje, że można żyć andronami. Zobaczymy... zobaczymy...

Konrad szybko i dokładnie plan swój przeprowadził. Hrabia nie mógł długo opierać się temu, co sam miał w duszy. Pozaciągali więc na pojedyncze folwarki pożyczki bankowe; wyprzedali inwentarze, zapasy wódki i zboża; puścili w dzierżawę sześć wiosek, a tylko siódmą, Lipiniec, we własnej administracyi zostawili; w końcu sprzedali nawet stare srebra familijne, pod któremi niegdyś, podczas uczt na zamkach Tęczyńskich, stoły się uginały. A czyniąc to, nie skarżyli się na nikogo, nie rozpaczali, ani zawistnym losom nie złorzeczyli. Niestety, co na nich spadło, poczytywali za dopust boży, z którego święty obowiązek nakazywał im się podźwignąć. A gdy się już tyle kapitału zebrało, ile było potrzeba na zaspokojenie wszystkich długów Stanisława, hrabia wziął pieniądze i z niemi do Nicei pojechał. Wszakże długo się opierał, nim się na to zdecydował. Chciał koniecznie, acz nie mówił jasno dłaczego, by go zięć w tém zastąpił. Konrad atoli słusznie twierdził, że w chwili tak ważnej w życiu Stanisława jeden tylko ojciec może na niego zbawienny wpływ wywrzeć.

W Lipińcu wszyscy niecierpliwie wyglądali powrotu ojca z synem marnotrawnym. Nareszcie po dwóch tygodniach hrabia zjawił się sam jeden.

Bardzo był smutny i w sobie zamknięty. Widać było, że z największą przykrością mówił o tém, co go w Nicei spotkało, ale mimo to wyznał całą prawdę, gdyż przed Konradem, który był teraz jego najlepszym przyjacielem, nie mógł mieć tajemnic. I tak Konrad dowiedział się, że teść, do Nicei przyjechawszy, nie chciał z początku widzieć się ze Stanisławem, a uproszony przez księcia de Montpellier, przystał na to dopiero wtedy, gdy już wszystkie długi były zapłacone, a ostatnie rewery podarte. Przyszedł więc do księcia o godzinie umówionej, lecz tu usłyszał, że Stanisław na kilka godzin przed tém wyszedł do miasta, z kąd więcej nie wrócił. Zato posłaniec przyniósł od niego dwa listy, z których jeden był przeznaczony dla ojca, drugi dla księcia.

W liście dla ojca syn pisał:

„Nie mam odwagi stanąć przed tobą, drogi ojczel! Wiem, jakem zblądził, i czuję, jak musisz mną gardzić. Nie, żyć dziś, gdym was zniszczył, byłoby tchórzostwem; żyć dalej na wasz koszt byłoby zbrodnią! Na statku, który z portu Limpia wyruszy dziś do Ameryki, odpłynie twój syn, ojczel! i nie wróci, póki tego nie naprawi, co uczynił. Bądź, ojczel, o mnie spokojny. W ostatnim miesiącu dokonał się we mnie przewrót, któremu niewątpliwie będę zawdzięczał moje ocalenie. Odtąd pragnę i będę godnie nosił nasze nazwisko, muszę zasłużyć sobie na miłość tych, których sam kocham nad życie. Jeszcze raz błagam cię, ojczel, a wraz z tobą moje siostry i Konrada, abyście o mnie nie wątpili i przebaczyli mi wszystko złe, którem nieopatrzenie popełnił... Przebywając na drugiej półkuli, nigdy nie zapomnę, że was w kraju zostawił.”

O! serce ojcowskie, ty niewyczerpana skarbnico miłości i przebaczenia! Gdy hrabia list ten przeczytał,

nie czuł już do syna żalu najmniejszego i jak stał kazał wieźć się do portu, aby Stanisława zatrzymać. Wraz z nim pośpieszył księżę de Montpellier, bo i on listem, który dostał, był niezmiernie wzruszony, a jego damy formalnie spazmowały. Przyjechali jednak za późno. Statek, który do Rio Janeiro wyruszył, kołysał się już jak punkcik na błękitnej fali morskiej, a osoby na jego pokładzie stojące nie byłyby słyszały ani huku dział na brzegu, ani jęku rozpaczonego serca ojcowskiego.

Hrabia, do Lipińca wróciwszy, zamknął się w sobie, posmutniał, zrobił się małomówny, ludzi unikał. Dzieci bały się, by nie zachorował, pani Zielińska zaś wciąż pod nosem mruczała, że skoro jój nie słuchali, więc niech teraz wypiją piwo, którego sami nawarzyli.

Na szczęście hrabiego, po dwóch miesiącach przyszedł z Rio Janeiro list od jakiegoś Polaka tam zamieszkałego, w którym tenże donosił, że hr. Tęczyński Stanisław przybył szczęśliwie na ziemię brazylijską i ma się dobrze. Niedługo potem przyszedł list drugi od téj samej osoby, a w nim wiadomość, że Stanisław otrzymał bardzo korzystną posadę w banku państwowym. Przy końcu piszący obiecywał co miesiąc o wygnańcu donosić.

Zosia, niezmiernie tém uszczęśliwiona, że jój brat rozpoczął tak pięknie dzieło odrodzenia, pobiegła z tą wiadomością prosto do pani Zielińskiej. Ta, spokojnie wysłuchawszy, rzekła:

— To, co teraz robi, mógł robić i bez pół miliona.. Powiedz sama, nie szkoda pieniędzy?

Zosia nic nie odpowiedziała, zato wyszła z postanowieniem unikania odtąd cioci Zielińskiej i jój nauk praktycznych.

W miarę jak z Brazylii listów przybywało, poprawiał się humor hrabiego. Zrobił się mowniejszym, weselszym, ponawiały stosunki z nowymi osobami, do których należeli także prezydent sądu Turban i rad-



ca Darski. Nie byli to wprawdzie ludzie jego sfery, z którymiby mógł mieć jakąkolwiek przyjemność, Konrad jednak znaglił go do tych wizyt, ponieważ, znając miejscowe stosunki, wiedział, że dla interesów, których teraz mieli mnóstwo, osobiste zetknięcie się z sędziami było dla nich nieodzowne.

Dwór w Lipińcu, acz mniej ludny i gwarny niż dawniej, miał znów fizyognomię swobodną, uśmiechniętą; a ilekroć jaki gość zajechał, hrabia wychodził zawsze na jego spotkanie z twarzą pogodną. Co się jednak działo poza tą maską do świata zwróconą, tego nikt nie wiedział, ani się domyślał. Wiedzano wprawdzie, że na Lipińcu ciężą długi olbrzymie, że Konrad walczy o egzystencją z niezrównanem bohaterstwem; ale na co tyle pieniędzy poszło, to było dla ogółu tajemnicą. Przypuszczano tylko, że musiały to być dawne grzechy hrabiego, które dopiero teraz w groźniejszej formie wystąpiły.

Co do Stanisława, mniemano o nim powszechnie, że po ukończeniu studyów wstąpił już do dyplomacyi i dlatego nie pokazuje się w Lipińcu.

Od owych wypadków do dnia, w którym Franuś pierwszy raz Dyonizemu szyku zadawał, a pan Olski zjadł wazkę mléka kwaśnego i wypił trzy kieliszki wina, upłynęło półtora roku.

W tym czasie, prawie zawsze, gdy we dworze wszyscy już spali, Konrad długo w noc siedział nad księgami rachunkowemi, hrabia zaś zamykał się w swoim gabinecie i, w fotografię syna łzawém okiem zapatrzonej, pytał:

— Ujrzeń ja cię jeszcze kiedy?

Tak samo wpatrywał się i teraz, gdy Franuś marzył we śnie o pięciuset guldenach, których gwałtem potrzebował, i o turkusowych oczkach panny Zofii,—zaś pan Olski o piąteczce za nastrojenie fortepianu i o sojuszu z Żydami przeciw Bismarkowi.

#### IV.

#### Nowa szlachta.



Konrad dotrzymał przyrzeczenia, danego Franusiowi, i po dwóch dniach przyjechał go odwiedzić. Wybrał ku temu porę poobiednią, by cały wieczór z nim spędzić i w Krzywem przenocować, z kądem nazajutrz zamierzał jeszcze zrobić krótką wycieczkę do Wierzejowa i Strzałkowic. Ponieważ podczas żniw z Lipińca, prawie całkiem nie wyjeżdżał, hrabia zaś mało się udzielał, przeto teraz, w czasie wolniejszym, należało, tak w imieniu swoim jak i teścia, odwiedzić kilku sąsiadów, którym oddawna był dłużny wizyty.

Franuś był nad wyraz uszczęśliwiony z przyjazdu kolegi. Ścisnął go z uniesieniem, gorąco mu za pamięć dziękując. I musiał się go w tym dniu spodziewać, skoro klucznica, będąca u niego wszystkiem: zarządczynią gospodarstwa domowego, pełnomocnikiem ekonomicznym i kucharką, miała już od rana przygotowane doskonałe bułeczki i rogaliki do kawy poobiedniej, sucharki, makaroniki i biszkopeciki do herbaty, a na wieczór zaś wspaniałego indyka chowu własnego, który, jak sama zapewniała, niecierpliwie czekał, kiedy na rożen pójdzie.

Franuś bawił kolegę, jak umiał. Oprowadzał go po gospodarstwie, pokazywał mu konie, bydło, nawet drób, w którym jego klucznica wielce się kochała, wkońcu zwołał wszystkie swoje psy (miał ich razem czternaście) i, przemówiwszy w sposób tylko dla nich zrozumiały, dał tém hasło do takiego wycia i szczekania, że Konrad musiał sobie uszy zatkać.

— Słowo honoru, to moi nieodstępni towarzysze!— zawołał.— Jak widzisz, mam psiaki wszelkiego gatunku, bo lubię polować, jak nikt drugi pod słońcem. Ten oto wyżeł wystawi krzyka na trzysta kroków; owe ogary są gotowe trzymać zajaca trzy dni i trzy noce... słowo honoru, nie kłamię; ten chart syberyjski bierze największego wilka w pojedynkę; te dwa kundysy osadzą zawsze najstarszego odyńca, a każdy z tych jamników wyciąga z nory lisa lub borsuka. Ale nie koniec na tém. Ilekroć się nudzę, każę im śpiewać, jak teraz, i mam koncert bezpłatny; a jeśli mi się śni której nocy, bo trzeba ci wiedzieć, iż miéwam sny prorocze, że przyjdzie woźny z nakazem płatniczym, lub egzekutor podatkowy, niestety! zdarza się to częściej, niżbym pragnął, każę już do dnia wszystkie brytany z łańcuchów pospuszczać, i zjadłby ten dyabła rogatego, ktoby wtedy ośmielił się do mnie zaglądnąć!

Franuś był myśliwym tak namiętnym i tak lubił swoje psy, że gdy o ich cnotach mówić zaczął, nie mógł nawet przy Konradzie wstrzymać się od przesady.

— Te psy muszą cię dużo kosztować — zauważył Konrad.

— Pewnie, że kosztują, ale Franuś Czapiński jest wyższym nad takie drobnostki i nie zwraca na nie uwagi.

— A jaby m zwracał, Franusiu.

— Istotnie? Ach! prawda, wszak ty, mój Konradzie, masz reputacyą pierwszego skąpca w okolicy... Już nieraz słyszałem, zwłaszcza od Żydów, że z ciebie trudniej wydobyć reńskiego, niż z innego sto. Czy tak?

— Może i tak... Postępuję jednak, jak muszę.

— Ale, ale! byłbym zapomniał, a to przecież rzecz niezmiernie ważna... Nie bierz mi tylko za złe, Konradzie, że cię jeszcze o coś spytam. Nie jest to wszakże prosta ciekawość, raczej chęć rozpatrzenia się w tutejszych stosunkach, których dotąd nie znam, a wreszcie pragnienie nauczenia się czegoś... Powiedz mi szczerze, prawda to, że twoja pani prowadzi wielki handel masłem i że niedawno temu założyła u siebie sklep wiejski i kantynę dla robotników, budujących kolęj w Lipińcu? Mówiło mi o tém kilka osób, lecz nie wiem, czy to prawda.

— Prawda.

— Więc to twoja pani wpadła na tę myśl?

— Nietylko ona sama, lecz także jęj siostra.

— Jakto, ta panna Zofia z oczkami fijołkowemi? Słowo honoru, Konradzie, gdy ta na człowieka patrzy, to mu się aż mdło robi.

— Ta sama, mój Franusiu.

— W takim razie, mój przyjacielu, przyznajesz się do rzeczy, od których, słowo honoru, dobremu szlachcicowi mogą włosy na głowie stanąć. Pani Alicya z hrabiów Tęczyńskich Palińska i jęj siostra rodzona, hrabianka Zofia Tęczyńska, handlują masłem i garkuchnię zakładają!... Jak świat światem, nikt o podobnej rzeczy u nas nie słyszał.

— Tém większą sprawia mi to przyjemność—dozrucieł Konrad.—Widać, żeśmy wpadli na rzecz nową, a że jest ona przytém korzystną, więc dałby Bóg, byśmy jaknajprędzej znaleźli licznych naśladowców. Wierz, mój Franusiu, że fanfaronem nie jestem i przed nikim nie taję, że, aby przy Lipińcu się utrzymać, muszę sumiennie pracować, bardzo zapobiegać i niezmiernie oszczędzać.

— I dlatego to namówiłeś swoje damy do tych interesów?

— Bynajmniej! Nie przyznaję się do zasług, których nie mam; mnie samemu nic podobnego nawet przez myśl nie przeszło. Inicytywa wyszła od nich, a właściwie od panny Zofii. Pocziwe to dziecko, widząc naszą ciężką walkę, ułożyło z siostrą i ekonomową, kobietą zacną i rządną, cały plan gospodarstwa dodatkowego, które ja nazywam naszym „przemysłem domowym,” i kwartał już minął, jak aparat jest w ruchu. Moja pani objęła krowy na siebie, prócz tego umówiła się z naszymi dzierżawcami, że masło będą jej oddawali w ilości, jakiej zażąda, po cenach targowych; przez znajomych i dzienniki wyrobiła sobie znaczną klientelę, tak w kraju jak za granicą; dziś masło odchodzi od nas do Bośni, Hercegowiny, Serbii, nawet do Włoch; a co do panny Zofii, ta nadzoruje ekonomowę, która garkuchnię prowadzi i codzień regularnie robi rachunki w sklepiku wiejskim, w którym jej pełnomocnikiem jest dawna nasza klucznica. Może szlachta sprzedawać zboże, wódkę i woły, więc czemu, pytam, nie mogłaby także sprzedawać masła, chleba, piwa i mięsa gotowanego? Czyż między temi artykułami jest jaka różnica? Miałyżby jedne mniej być szlachetne niż drugie? Ależ, mój Franusiu, czas najwyższy, byśmy wyrosli z tych przesądów niedorzecznych, które nas gubią.

— Pewnie... pewnie... A opłaca się też ta spekulacja?

— Wielka szkoda, żeś mnie o to w Lipińcu nie pytał. Byłbym ci pokazał rachunki, które skrupulatnie prowadzimy. W pierwszym ćwierćroczu nasz przemysł domowy przyniósł nam czystego dochodu pięćset reńskich, na rok będzie zatem dwa tysiące, jeśli nie więcej, bo garkuchnia dopiero teraz, odkąd robotnicy w niej zasmakowali, zaczyna się rozwijać. Ręczę, że niedługo nawet inżynierowie i przedsiębiorcy będą stołownikami panny Zofii.

Tu Franuś się oblizał.

— Nie wątpię, mój kochany! Słowo honoru, ja sam do nichbym się wpisał, gdybym jeno miał pewność, że tę śliczną osóbkę choć czasem przy obiedzie zobaczą!

— Ty bo, mój Franusiu, znów zawiele pragniesz! Chyba trudno żądać, żeby panna Tęczyńska w garkuchni stołownikom usługiwała... Ona do niej zachodzi tylko wtedy, gdy niema nikogo; przytém nie jest nigdy sama; naradzi się z ekonomową, popatrzy, czy wszystko robi się porządnie, i zaraz do domu wraca; bo jak gospodarz, mający piękne bydło, niekoniecznie potrzebuje sam z pod niego mierzwę wyrzucać, tak i nie każdy przedsiębiorca musi własnoręcznie tém się zajmować, co jest dziełem jego głowy. Wszystko, mój drogi, zawisło tu od rachunku, pilności i dozoru.

— A hrabia co na to?

— Jemu było najtrudniej z tém się pogodzić, wszelako gdy mu córki rzecz we właściwém świetle przedstawiły, dał swoje zezwolenie, boć na tyle jest on rozsądnym i praktycznym, żeby wiedzieć, iż praca ucziwa nikomu nie uwłacza. Teraz jest nawet bardzo kontent, bo widzi rezultaty w monecie brzęczącej i wielkie córek zadowolenie... My, mój Franusiu, przed nikim się nie spowiadamy; ludzie wołają, gdy ich bliźni giną, niż gdy się dźwigają; współczucia nie myślimy téż żebrać u nikogo, zwłaszcza, że byłoby to daremne; wszelako gdyby kto mógł i umiał zajrzeć wgłąb naszego życia, możeby zobaczył, że właśnie pomoc z przemysłu domowego tak nas wspiera, iż tylko jój zawdzięczamy coraz pewniejsze trzymanie się Lipińca, który z pewnością z rąk naszych nie wyjdzie.

Franuś patrzył na kolegę dużemi oczami i zdawał się go rozumieć. Przypomniał sobie także powiedzenie Dyonizego, „że on lubi tylko wielkie państwo.” Prawdopodobnie nie podobał mu się ów handel, o którym Konrad teraz mówił z takiem przejęciem.

— Wiész co, Konradzie, ty chyba masz racją — rzekł Franuś po krótkim namyśle. — Słowo honoru.

jabym i u siebie coś podobnego także rozpoczął; bo co mogą Tęczyńscy z Palińskim, to może i Czapiński; ale u mnie, jak widzisz, niema po temu odpowiednich warunków. Nie mam ani krowiarni dużej, ani dzierżawców, wyrabiających dobre masło, ani kolei, ani żony... Podobą mi się wasza praktyczność, słowo honoru, bardzo mi się podoba; a jak skobliwi będą teraz na was wymyślali, prędko im buzię zamknę.

— Czyżby to ich interesowało?

— Ale jak jeszcze! Aptekarzowa mówiła niedawno z najwyższą indygnacją o szlachcicach, przerabiających się na handlarzy; prezydentowa wprost mi oświadczyła, że sprzedawanie masła i potraw gotowanych uwłacza całemu obywatelstwu. Według niej, taką hańbą nie okryłyby się żaden przyzwoity urzędnik. Słowo honoru, Konradzie, ci skobliwi, jak widzę, gdyby tylko mogli, byłiby stokroć większymi arystokratami niż my sami! Jak to dobrze, że nie każdemu zwierzęciu Pan Bóg dał rogi... Najlepiej jednak przedstawił mi się pan Tusowicz, nasz przezacny inspektor podatkowy: ten bowiem dał mi do zrozumienia, że wasz przemysł domowy, jak go nazywasz, musi osobno opodatkować. Ten łotrzyk gotów to doprawdy zrobić.

— Niech robi, jeśli tak prawo każe.

— Dobrze masz, dobrze masz—powtarzał Franuś, jakby do siebie w zamyśleniu.—Trzymajmy się ziemi, wszelkimi środkami godziwemi. Kogo jednak musi wasza zapobiegliwość niezmiernie cieszyć, to panią Zielińską.

— Omyliłeś się, Franusiu. Szczególna bo też to kobieta! Przestrzega, uczy, moralizuje, wciąż powtarza, żeby grosza nie wydawać, a mimo to, gdy się dowiedziała, z jakimi planami noszą się nasze panie, nie była tém uradowana, nawet się im sprzeciwiała. Według niej, kobieta, znajdująca się w społeczeństwie na stanowisku wybitném, nie powinna poniżać się pracą rzeczywistą, gdyż jój wolno tylko zajmować się robó-

tkami, a potem oszczędzać, oszczędzać i jeszcze raz oszczędzać. Śnać w cioci Zielińskiej żyją dwie dusze: wielkiej skąpczyni i wielkiej arystokratki, które niezawsze pozostają z sobą w harmonii...

— A ona sama bardzo bogata?

— Jój majątku nikt z nas nie liczył. Tyle tylko wiemy, że go nosi w torebce na piersiach, prawdopodobnie z obawy przed złodziejami.

— Ach! więc dlatego wygląda, jakby była chorą na rozedmę płuc, lub jakby miała wola?! Słowo honoru! dobrze, że o tém wiem. Kiedyś zrobię czule oczy, przytulę się do ciotuni i radykalnie ją zoperuję. Cha! cha! cha! to będzie pyszna historia! Słowo honoru, pyszna!

Tak rozmawiając, wrócili do domu.

Konrad znalazł wszystko u kolegi nierównie lepiej, niż się spodziewał. Gospodarstwo było tu wcale dobre, ład wszędzie wzorowy, karność między służbą niezwykła. W każdym kącie i we wszystkiem czuć było energiczną rękę pana domu. Franuś zatem wcale wtedy nie blagował, gdy upewniał, że o swoje sługi dba, lecz zato przestrzega, by znały mores!

Po wieczorze przyjemnie spędzonym i nocy spokojnej—psy bowiem zachowywały się nadspodziewanie przyzwoicie—koledzy wstali dość wczesnie, a po śniadaniu Konrad kazał zaraz zaprzęgać.

— Czemu tak się śpieszysz?—gospodarz go pytał.— Myślałem, że zostaniesz u mnie na obiedzie. Moja kuczniczka uśmierciła już w tym celu własnymi rękami dwie kaczki.

— Stokrotne dzięki, Franusiu. Gościnność twoją zamawiam sobie na drugi raz; teraz jednak pozwól mi odjechać, ponieważ dziś rano chcę być koniecznie w Wierzejowie. Na jedną chwilę wstąpię do pana Trockiego, na drugą do pana Goldeifera, bom obu od pół roku nie widział, a na obiad zaś bądź do Strzałkowic się dobiję, bądź do domu wrócę.



— Skoro taka twoja wola, więc i ja pojedę!—zawołał Franuś. — Właśnie dziś wybierałem się tak do Trockiego, jak do Goldeifera, bo mam do nich pilny interes. Skorzystam więc ze sposobności, pogawędzę jeszcze z tobą kilka godzin; a jeżeli szlachcica w domu zastaniemy, ubawimy się wyśmienicie. Hej! Grześ! podaj mi płaszcz od kurzu!

— Którego ty z nich szlachcicem nazywasz?—zapytał Konrad, wsiadając do swego faetonu, w którym miejsce po prawej ręce dla kolegi zostawił.

— Juźcić nie rzeczywistego, tylko tego, który, chcąc nim być koniecznie, już naprzód mawia: My szlachta! Chociaż, prawdę powiedziawszy, położenie jego i pod tym względem znacznie się polepsza, bo nie wiem, czyś słyszał, że Goldeifer dostał od rządu przydomek *Edler von*, co się równa naszemu półszlachectwu. Słowo honoru, ten Żydek ma rozum i szczęście, jakby się w czépku urodził. Niedawno temu opowiadał mi starosta, że Goldeifer dał kilka tysięcy na jakąś fundacyą wojskową, zostającą pod protektoratem jednego z arcyksiążąt, za co cesarz wyniósł go w stan szlachecki.

— A ponieważ wychrcił się temu kilka lat i przez ogół jest już poczytywany za dobrego katolika, przeto, ufając swojej fortunie, gotów teraz posunąć do jakiej księżniczki ubogiej—kończył Konrad.

— Wszystko to być może... dziś, niestety, pieniądz panuje!—potwierdził Franuś, westchnąwszy głęboko.— W każdym atoli razie radzę mu się śpieszyć, bo, mimo że jest skąpy, często nawet brudny, jednakowoż, dzięki Trockiemu, może majątek łatwo roztrwonić. Anibyś uwierzył, Konradzie, jak ten stary żarłok umie tego Żydka doić! Sprzedał mu Wierzejów o sto tysięcy drożej, niż był wart; wyłudził od niego przyzwoity dworek we wsi i kilkanaście mórg przedniej ziemi; a ilekroć monety potrzebuje, idzie do niego, jak w dym, i nigdy z próżnemi rękami nie wychodzi. Ale dobrze tak Żydowi, niech wie, co cywilizacya kosztuje. Równocze-

śnie tak się umiał postawić, że Goldeifer tytułuje go zawsze „panie dobrodzieju,” a Trocki zaś mówi mu nawzajem „kochany Romanie,” i niekiedy traktuje go nawet gorzej psa. Niedawno byłem u Trockiego, i to nazajutrz po jego powrocie ze stolicy, z kąd przywiózł kilka pak przeróżnych łakoci, bez których nie umię się obejść. Rzecz prosta, że je kupił za pieniądze Gold-eifera. Właśnie gdyśmy po obiedzie jedli ananasa, wpada Goldeifer i z właściwą sobie arogancyą woła do Trockiego: „Pan dobrodziej jé ananasy? To takie drogie!” Na to Trocki odpowiada flegmatycznie: „Co dla kogo... Dla pana ananas, dla Żyda cébula.” Słowo honoru, tak mu powiedział!

— Cóż na to Goldeifer?—zapytał Konrad.

— Nic. Skręcił się i, jakby to nie do niego się stosowało, zaczął o czém inném mówić.

— W każdym razie pan Trocki musi mu jakieś usługi oddawać, boby inaczej tego nie ścierpiął.

— Pewnie, że mu oddaje. Najpiérw tém mu niezmiernie imponuje, że sam z dobrej szlachty pochodzi i jest spokrewniony z najlepszymi w kraju rodzinami... Troccy są nawet z Czapińskimi skoligaceni, słowo honoru, Konradzie! Następnie pan Erazm uczy go prawdziwego szyku, do którego Goldeifer rwie się, jak kot do sadła; nakoniec jest w jego domu mistrzem ceremonii, urządza mu wieczorki, dysponuje obiady, przyjmuje gości, słowem, jeśli Goldeifer, którego ojciec jest prostym, kłapciastym Żydem, znaczy coś w naszych stronach, zawdzięcza to jedynie swemu instruktorowi. Trocki to wié i dlatego wyzyskuje swoje położenie.

— Jest to więc *pendent* do owego jegomości, który kieruje krokami pana Grzywy—zauważył Konrad.

— Do Lisińskiego!... Wyśmienicie!—zawołał Franuś.—Istotnie, każdy z nich ma swojego wołu, którego na swój sposób doi. Słowo honoru, jest to zajęcie wcale niezłe, i gdyby tak ciocia Zielińska pozwoliła, chętnieby jéj urządził tę przyjemność.

— No, no, pomyśl o tém, Franusiu... Ja ci pewno nie będę przeszkadzał.

Zaczęli śmiać się serdecznie i czas jakiś rozmawiali o tym przedmiocie.

Wierzejów leżał niedaleko Krzywego, w bardzo żyznej okolicy. Był to jeden z najpiękniejszych majątków w obwodzie. Miał kilka intratnych folwarków, z których każdy był doskonale zagospodarowany, rozległe lasy, gorzelnie, browary, nawet tartak parowy, na którym, odkąd Goldeifer został właścicielem Wierzejowa, jakieś towarzystwo francuzkie tarło dębinę i doskonale za nią płaciło.

Dwór, pod względem architektonicznym, acz duży i piętrowy, nie należał do okazałych. Nie tyle był podobnym do pałacu, za jaki go we wsi miano, ile do miejskiej kamienicy. Zato piękny i rozległy ogród, co go wkoło otaczał, dodawał mu uroku. Dzięki temu położeniu, po dworze lipinieckim była to w powiecie najpiękniejsza rezydencya. Teraźniejszy właściciel nosił się z zamiarem udoskonalenia jęj kształtów przez dodanie dworowi po jednej stronie baszty, po drugiej terasy, od frontu zaś wspaniałej kolumnady; dotąd jednak, mimo gorliwego pośrednictwa pana Trockiego, nie mogło to się urzeczywistnić, ponieważ budowniczy znacznie więcej żądał, niż mu pan Goldeifer dawał. Już-to w teraźniejszym dziedzicu Wierzejowa wrodzona oszczędność często gęsto brała górę nad wielkopańskimi zachciankami.

Pośrodku wsi, dużej i zasobnej, stał także wśród ogrodu dworek dość pretensjonalny, chociaż słomą kryty. W nim mieszkał niegdyś starszy leśniczy; obecnie sprowadził się do niego b. właściciel Wierzejowa, p. Erazm Trocki. A nastąpiło to dopiero wtedy, gdy swemu następcy wytłumaczył, że leśniczowie bez wyjątku powinni mieszkać wśród kniei; przeciwnie on, Trocki, nie może ode dworu zanadto się oddalać, bo, jako prawdziwy przyjaciel Goldeifera, musi wciąż nad nim czuwać.

Dworek miał na przedzie zgrabny ganeczek, wsparty na czterech słupkach, misternie wyrzeźbionych, nad nim olbrzymie rogi jelenie; ściany od frontu i z obu boków były wyłożone korą świerkową; przed oknami, ściętymi u góry na sposób gotycki, rozciągał się ogród kwiatowy, w którym teraz kwitło najwięcej astrów; od drogi zdobiły go białe sztachety z furteczką w samym środku, z bramą na boku; wzdłuż sztachet stał szereg modrzewi piérzastych. Za dworkiem w tyle widać było stajenkę, w której znajdowała się para kuców i jedna krowa, malutką wozownię i stodołę. Wogóle całe obejście, acz pośród wsi położone, robiło wrażenie dworku myśliwskiego, do którego tylko czasami nemrodzi zjeżdżają.

Teraźniejszy jego mieszkaniec, niedawno jeszcze pan całego Wierzejowa, żyjąc dobrze i życia nadużywając, strwonił fortunę pradziadów—i właśnie gdy skończył lat 55, znalazł się w tém arcy piękném położeniu, że z majątku krociowego nic mu nie zostało. Niech jednak nikt nie mniema, że się tém zmartwił. Bynajmniej! Gdy dnia pewnego rano się zbudziwszy, ujrzał się na łasce swego następcy, Żyda świeżo ochrzczonego, miał humor taki sam jak dawniej, nawet apetytu nie stracił. Zresztą był sam, bez żony, bez dzieci—o kogóż więc miał się troszczyć? Wyłudziwszy po niejakiem czasie ten oto dworek wraz z kilkunastu morgami gruntu od pana Goldeifera, sprowadził się do czterech pokojów, które z wielkim gustem przyozdobił resztą wspaniałych niegdyś mebli, dywanów i obrazów, i żył dalej szczęśliwie. Umysł miał zawsze pogodny—ani losom nie złorzeczył, ani na świat się nie skarżył; i byle żołądek był pełny, niczego więcej nie pragnął. I w rzeczy samej musiało mu być dobrze, skoro nawet trzymał doskonałego kucharza. Z jakiego atoli źródła płynęły jego dochody, to było dla świata tajemnicą. Jedni wierzyli, że po sprzedaży Wierzejowa została mu jeszcze sumka wcale pokaźna; drudzy przypuszczali, że

wciąż spadały na niego sukcesy—co u familiantów jest zjawiskiem naturalném; wszelako byli tacy, którzy wprost twierdzili, że Goldeifera wyzyskiwał. Gdy któryś z lepszych znajomych coś mu raz o tém nadmienił, wcale się tém nie obraził i z najobojętniejszą w świecie miną odpowiedział:

— Zgadłeś! Myśmy istotnie role zamienili... on został szlachcicem, a ja Żydem.

I musiało to być prawdą, skoro wiele okoliczności za tém przemawiało. Ilekroć jego kucharzowi brakło jakiej rzeczy, posyłał natychmiast po nią chłopaka do dworu, a nie było wypadku, żeby tenże wrócił kiedy z próżnymi rękami. Zabili u Goldeifera wieprza lub cielaka, pan Trocki zawsze jakąś część z niego dostawał. Wyszło mu wino, młody dziedzic w tej chwili przysyłał kilkadziesiąt butelek. Potrzebował pan Trocki gdzieś dalej wyjechać, kuce bowiem woziły go tylko w najbliższe sąsiedztwo, sprowadzał ze dworu najpiękniejszy ekwipaż; został z próżnymi kieszeniami, śpieszył do swego elewa i bez pieniędzy nigdy od niego nie wyszedł. W karty nie grał, na inne przyjemności życia grosza nie wydał, zato jadł same przysmaki, a pijał wina najlepsze. Dawniej zapraszał drugich na uczyty i to go wtedy najwięcej kosztowało; teraz zrobił się praktyczniejszy. Jadł najczęściej sam; gdy zaś goście się trafili, umiał zawsze tak pokierować, że, czy to na obiad, czy na herbatę, Goldeifer zapraszał ich do siebie. Sąsiedzi nie brali mu tego za złe, gdyż miał między nimi licznych przyjaciół; a co do pana Goldeifera, z tego znów sobie nikt nic nie robił i każdy szedł do niego, jak do restauracyi. W takich razach pan Trocki dawał mu do zrozumienia, że, podejmując jego gości, tém lepiej, niż czémkolwiek inném, wkupywał się do towarzystwa. A nowy dziedzic święcie w to wierzył.

Hr. Tęczyński doskonale przypominał sobie okoliczności, wśród jakich poznał pana Trockiego. Przed

laty dwudziestu znajdował się raz hrabia w resursie między dobrymi znajomymi i opowiadał im o polowaniu na Ukrainie, w którym niedawno brał udział. Opisując gościnność szlachty tamtejszej i jej sposób życia, rzekł między innymi, że baraniny tak wyborniej, jak u pana X... na Ukrainie, nigdy przedtém nie jadł. Ledwie to powiedział, z pokoju przyległego wysuwa się jakiś jegomość całkiem mu nieznanym, czerwony, nad swój wiek otyły i, przystępując, mówi:

— Przepraszam pana hrabiego, że go zapytam, gdzie była ta wyborna baranina? Jestem Erazm Trocki.

Hrabia nawzajem mu się przedstawił, pan Trocki zaś bezzwłocznie przy nim usiadł, by choć chwilę pomówić o owój baraninie.

Był on starym kawalerem, z krewnych rzadko kto go odwiedzał, a tylko jedna panna Julia, jego bratanica, częściej do niego przyjeżdżała. O ile można było z oznak wnosić, kochał ją bardzo, i, lubo do melancholików nie należał, ilekroć ta się pojawiła, humor jego był jeszcze pogodniejszy. Gdzie właściwie rodzice panny Julii teraz przebywali, o tém nikt nie wiedział. Ze stosunkami lepiej obznajomieni wprowadzili szeptali sobie na ucho, że panna Julia musi tułać się po krewnych, gdyż jej rodzice, całe mienie straciwszy, prawie z nędzą walczą; ile atoli było w tém prawdy, to dla ogółu zostało tajemnicą. Zato każdy wiedział, że bratanica pana Trockiego była piękna i wykształcona, że umiała wszędzie się znaleźć i o każdej rzeczy mówić roztropnie. Wiedziano również, że po mieczu pochodziła z dobrej szlachty, a po kądzieli z hrabiowskiej rodziny Starzów. Wszyscy tedy spoglądali na nią z uszanowaniem; ktokolwiek zaś miał sposobność dłużej z nią mówić, przyznawał jej wielkie przymioty serca i rozumu.

Kiedy Konrad i Franuś dojeżdżali do Wierzejowa, z dworku pana Trockiego wyszła młoda dama

w uroczystym negliżyku i krokiem wolnym zbliżyła się do furty, przy której stanęła.

Była to właśnie panna Julia Trocka.

Jój pojawienie się w tém miejscu nie było zjawiskiem naturalném. Stokroć prędzej wyglądała na królownę, która przypadkiem znalazła się w chacie pasterskiej, niż na mieszkankę tego dworku skromnego. Była to szatyna dwudziestoletnia, rosła, kształtna, o greckim profilu twarzy, mająca oczy duże, siwe, przyśłonięte jedwabnemi frankami rzęs długich a czarnych, które zdawały się wszystko badać i zgłębiać, a same nic nie wyrażały. Smukłą jój kibić oplatał szlafroczek niebieski, garnirowany białemi koronkami; z pod czarnej chusteczki, upiętej na głowie *à l'andalouse*, wymykały się warkocze bujne, połyskujące; w rękę trzymała bukiecik z kwiatów jesiennych, z których obrywała listek po listku. A kiedy, stojąc o furkę wsparta, spojrzenie przeciągłe jak oczekiwanie na schadzce miłosnej, głębokie zaś jak tęsknota za ukochanym, wzdłuż drogi puściła, wtedy palce jój rączki małej, toczystej, prawie dziecięcej, opiętej duńską rękawiczką *à la Sara Bernhardt*, niosły owe listki do ust karminowych, które je dwom sznurkom białych ząbków podawały. I tak dalej stojąc, zjadała machinalnie listek po listku, jak jedna z owych bogiń polnych, które kwiatami się karmią, a rosą poją.

Nagle za swemi plecami usłyszała niezwykły we wsi turkot kół powozowych i głośnie z bata strzelanie. Odwróciła głowę. Nadjeżdżał faeton z dwoma mężczyznami, za nim próżny wózek. Rzuciła jedno spojrzenie, a widząc, że stangret konie w biegu wstrzymuje, jakby chciał stanąć, skierowała się ku domowi.

— Całuję ruci! Całuję ruci!—zaczął Franuś wołać, przyczem kapeluszem wymachiwał.

Skinęła mu lekko głową i do domu weszła.

— A to co za dama?—zapytał Konrad.

— Panna Julia, bratanica Trockiego. Pyszna kobieta!.. Widziałem ją już raz przed miesiącem. Gold-eifer wtedy na jej widok o mało ze skóry nie wyskoczył.. Słowo honoru, dalekoby trzeba szukać, nimby się taką drugą znalazło. Szyk, co się zowie, a zbudowana *nec plus ultra*.

— Jak widzę, mój Franusiu, ty się nad każdą unosisz.

— Nie dziw się, zaczynam już starzec, więc nie mam czasu przebiierać.

Kiedy oni, tak rozmawiając, do furtki się zbliżali, na ganku ukazał się gospodarz domu; a poznavszy miłych gości, z rozwartemi ramionami wybiegł na ich spotkanie.

Równocześnie przez bramę chłopak stajenny wyskoczył i dał znak stangretom, by do dworu jechali, gdyż u nich na cztery konie niema miejsca.

Pan Trocki był wzrostu miernego, brzuszek miał okrągły, głowę u góry łysiuteńką jak księżyc w pełni, tylko u dołu i po bokach rosło na niej jeszcze trochę włosów; na policzkach jego, dotąd pełnych i, mimo lat sześćdziesięciu, wiecznie rumianych i połyskujących, widać było życia uciechę; oczy duże, wypukłe, spoglądały ciekawie; wąskie usta uśmiechały się ironicznie; nos zaś długi, ostro ścięty i kańczasty, biegł tuż za spojrzeniem i zdawał się wszystko węszyć.

— Witajcie, drodzy, witajcie!—wołał, ściskając najpierw Konrada, po nim Franusia.— Pana kochanego sto lat nie widziałem!.. Pan Franciszek łaskawszy na pustelnika, chociaż i on rzadko się pokazuje. Proszę do mego tuskulum, bardzo proszę!

Pan Erazm Trocki, mimo że tak w swoim nazwisku, jak i imieniu, miał po jednem r, żadną miarą nie mógł téj ostrój litery z siebie wydobyć; a że oprócz tego mówił przeciągle, przez nos, z pańska, więc pod tym względem różnił się od całego otoczenia i panu Goldeiferowi wielce tém imponował.



Gdy goście weszli do saloniku, umeblowanego *à l'antique*, Julia, która miała już czas wziąć do rąk jakiś romans francuzki, usiąść pod oknem i zacząć go czytać, podniosła się poważnie i Franusiowi, jako dawnemu znajomemu, rękę podała; przed Konradem zaś, którego jój stryj pierwszy raz przedstawiał, skłoniła się głęboko, z dystynkcyą iście dworską. Potem usiadła na dawném miejscu i znów wzięła książkę razem z bukietem.

Franuś do niej przystąpił i, jedną ręką podkręcając ostre wąsiki, drugą to bawiąc się dewizką od zegarka, to przyglądając sobie grzywkę nad czołem (już to z własnymi rękami miał on zawsze w salonie najwięcej kłopotu), zaczął z nią głośno rozmawiać—co nazywał „emablowaniem,”—przyczém wciąż potrząsał cienkimi nóżkami i niespokojnie z miejsca na miejsce się przesuwał, jakby był na sprężynach. Ona słuchała go niby uważnie, niekiedy nawet odpowiadała półsłówkami, wszakże równocześnie na jój ustach drgał jeden z owych uśmieszków nieuchwytnych, lekkich jak pył na kwiecie, o których u kobiety tak pięknej, jak ona, nigdy nie można wiedzieć, co właściwie wyrażają: zaciekawienie, czy też szyderstwo. I podczas gdy go słuchała, jój wzrok biegł w ową stronę, gdzie stał Konrad, zajęty żywą rozmową z jój stryjem...

— Zna pan „Kartkę miłości?” — niespodziewanie zapytała, oczy duże, królewskie, na Franusia kierując.

— Kartkę? Cha, cha, cha! Ja tego dzieła znam nie kartkę, ale kilka tomów! Słowo honoru pani daję!

Udało mu się lepiej, niż się spodziewał. Nie wiedząc, o czém właściwie piękna Julia mówi, a tylko się domyślając, że musiał to być ów romans, który dotąd trzymała w rękę, a którego on nawet z tytułu nie znał, obrócił całą rzecz w śmiech i tém się ocalił. W duchu był dumny ze swego dowcipu. Julia także się uśmiechnęła, choć równocześnie alabastrową jój twarzyczkę oblał lekki rumieniec, co ją jeszcze piękniej-

szą uczyniło. Franuś, aby tém prędzej z matni się wydostać, śmiał się coraz głośniej, tak dalece, że aż Konrad musiał na to swoją uwagę zwrócić. Gdy ten się zbliżył i chciał spytać kolegę o powód tak niespodziewanej wesołości, Franuś zrećźnie z tego skorzystał—wykręciwszy się bowiem na pięcie, zwrócił się do gospodarza domu, żeby z nim na osobności pomówić.

Konrad został więc na chwilę sam z piękną damą.

— Słyszac tak serdeczny śmiech mego kolegi—rzekł, — nie mogłem przenieść na sobie, by nie zbadać jego przyczyny; gdy jednak pan Franciszek opuścił arenę swoich popisów, więc może pani będzie łaskawa zaspokoić pod tym względem moją ciekawość.

— Radabym, ale szczerze wyznaję, że w tym wypadku chęć moja jest większa niż możność... To, co pan Czapiński powiedział i co jego samego w tak wysokim stopniu zabawiło, polegało li na grze słów, których nie potrafiłabym powtórzyć, gdyż pamięć mam słabą...

To rzekłszy, rozchyliła usta karminowe, za którymi ukazały się ząbki równe, białe, połyskujące jak dwa rzędy pereł. Równocześnie wyrwała kilka listków z korony astrów rumianych i, do ust je podniósłszy, zaczęła gryźć ząbkami.

— Zapewne musieli państwo mówić o muzyce, którą mój kolega bardzo lubi?—zapytał Konrad.

— Ach! nie... Zaczęłam o literaturze, ale tylko zaczęłam, pan Czapiński bowiem, jak mi się zdaje, nie musi lubić tego tematu.

— Jabym tak nie sądził; któżby bowiem tego nie lubił, co piękne i wzniosłe? Mniemam jednak, że jest to czasem wielką tyranią, acz dla niektórych wcale słodką, ze strony pięknych dam, jeśli nas biorą na spowiedź w rzeczach, na których albo wcale się nie znamy, albo bardzo mało. My, niestety, literaturę nie mamy czasu się zajmować. Kto orze, sieje, zbiera i wciąż z ludźmi nieokrzesanymi ma do czynienia, ten

powoli musi o książce zapomnieć, w końcu zaczyna się jej bać... Książka staje się wtedy dla niego drugim sumieniem, które mu zarzuca, że dla pospolicości o niem zapomniał; a takie sumienie zawsze w nas trwogę budzi...

— Rzeczywiście? — zapytała, badawcze spojrzenie w młodego człowieka topiąc.—Czyżby wszyscy tak postępowali?

— Wszyscy.

— Jakto pan powiedział!—zawołała.—Samo brzmienie głosu pańskiego zdradza, że żartujesz.

— W takim razie domyślność pani równa się mojej szczerości.

Ściągnęła brwi i chwilę myślała. Potem rzekła, śmiejąc się wesoło:

— Zaiste! panowie umiecie czasem mówić w sposób tak zagadkowy, że tej zdolności mogłyby wam pozazdrościć nawet wyroczone starożytny, zwłaszcza że niejedną słabą istotę łatwo tajemniczemi frazesami olśnić i odurzyć. I dziwić się potem, czemu tyle kobiet ginie!... Moja domyślność równa się pańskiej szczerości!... Na oko niby to coś znaczy; tymczasem widzę, żeś pan chciał się tylko zręcznie wywinąć. Jeśliś pan był w rzeczy samej szczerym, natenczas jam się mylnie w jego słowie odmiennego znaczenia domyślała; przeciwnie, jeśli ja się nie omyliła, to pan nie byłeś szczerym, gdy' co innego miałeś na myśli, a co innego powiedziałeś. Tak czy owak, pańska szczerość, przynajmniej w tym wypadku, bynajmniej się nie równa mojej domyślności. Czy tak?

— Podziwiam bystrość umysłu pani—odrzekł Konrad z uśmiechem. — Nie spodziewałem się u damy znaleźć tyle zdolności do zimnej analizy. Czołem przed takim talentem!—dodał, głęboko się kłaniając.

— Niema w tém nic nadzwyczajnego... Taka zdolność, którą jabym nazwała jedynie zwyczajną ostrożnością, musi każda kobieta z czasem w sobie wyrobić.

Dziecko bierze wszystko jak widzi i słyszy; podłotek wierzy, że może być wszystko jak widzi, słyszy i pragnie; przeciwnie kobieta dojrzała, a do tych zaliczam wszystkie, które już skończyły lat ośmnaście, zaczynają być ostrożne, i cokolwiek widzą i słyszą, czego pragną i czego się spodziewają, usiłują zanalizować. Taką już niełatwo wziąć na mile brzmiące słówko, lub na złudną obietnicę... Ale wróćmy do rzeczy. Więc pan doprawdy utrzymujesz, że wieśniacy nie lubią literatury?

— Nie powiem, żeby jój wszyscy nie lubili, wszakże niekażdy ma czas jój się oddawać.

— Odstępujesz pan więc od pierwotnego twierdzenia? Dobre i to... Jak dla pana stworzenia, który cofać się nie umie, jest to w każdym razie wielkie ustępstwo... Racz mi pan teraz powiedzieć, do których się zaliczasz: do tych, co lubią czytać, czy też do tych, którzy nie lubią?

— Do drugich.

— Nie uwierzę. Pan, jak widzę, chciałbyś przedstawić się gorszym, niż istotnie jesteś. Gdyby pan Czapiński mi to powiedział, natychmiastbym mu uwierzyła; panu, przeciwnie, nie uwierzę, choćbyś przysięgał.

— Wolno wiedzieć czemu?

— Bo duch każdego człowieka jest wyrzeźbionym na jego czole, a maluje się zaś w jego spojrzeniu.

— A jaki jest mój duch?—ciekawie podchwycił.

— W każdym razie lepszy, niżby go pan chciał przedstawić... Może nie lubisz pan wzlatywać orłem ku niebu i nie kąpiesz go z rozkoszą w złotych ideału promieniach, w każdym atoli razie unikasz powszedniości, a i to coś znaczy... Człowieka, wybijającego się poza prozę codzienną, tak łatwo poznać!... A zresztą, duchy pokrewne odczuwają się wzajemnie... Ręczę, że tę oto książkę, o którą przed chwilą pana Czapińskiego pytałam, znasz pan doskonale.

— „Kartę miłości?”—odrzekł, na książkę patrząc—  
któżby jój nie znał?

— A widzisz pan, żem zgadł! I cóż pan powiesz o tym utworze?

— Jeśli mam być szczerym, wyznać muszę, że do wielbicieli Zoli nie należę i prawdopodobnie nie będę nigdy należał, jest to bowiem pisarz, u którego pereł trzeba szukać w błocie; z drugiej wszakże strony, trudno nie przyznać, że tam, gdzie Zola chce być szlachetnym i podniosłym, jak naprzykład w tym oto utworze, cel ten osiąga lepiej, niż którykolwiek inny autor; więc już za to jedno trzeba mu wiele przebaczyć. Na świecie o nic nie jest tak trudno, jak o prawdziwe uczucie; jeśli więc znajdziemy gdzie choćby najdrobniejszą jego iskierkę, powinniśmy ją umieć cenić i dla niej wiele win zapomnieć.

— Z serca mi pan to wzięłeś!—zawołała, a jój oczy, dotąd jakby zamglone, rozpromieniły się żywą radością.—Wobec uczucia prawdziwego wszystko jest mdłe, poziome, marne; ono jedno ludzkość ożywia i do nieba nas wznosi! Jego ciepłem się ogrzać, na jego skrzydłach wzlecieć, w jego morzu utonąć i w tój słodocy przestać istnieć, jakaż rozkosz niewysłowiona! Wierz mi pan, a mówię szczerze, skarby całego globu, dostojęstwa, świata wielkiego blaski, przyjemności i zachwyty, ach! wszystkobyem chętnie oddała za jedno uczucie prawdziwe. Bo czyż poza niem może być istotne szczęście?... Ach! nie, nie, przenigdy! Pytano mnie nieraz, czemu za mąż nie wychodzę; wszak to cel, do którego każda kobieta dąży; ja zaś, miasto ich ciekawość zaspokoić, nawzajem pytałam: Gdzie ten mężczyzna, któryby mógł odpowiedzieć potrzebom mego serca i ducha mego zrozumieć? I, niestety, nie umiano mi takiego wskazać... Dotknąć się bryły lodu tak dziś łatwo... ale serce gorące znaleźć, ach! jak trudno!... A jednak, gdybym gdzie spotkała istotę wyższą, szlachetną, pełną uczuć nieklamanych a podniosłych, jednego z tych nielicznych, do których należeli Krasiński i Słowacki, o! wtedy bez wahania poszłabym za moim bo-

giem na kraj świata nawet, dla niego z uśmiechem na ustach!

— Muszę atoli zwrócić w tém miejscu uwagę pani, że tak Krasiński jak Słowacki byli to ludzie chorowici i wcale niepowabni—przerwał Konrad tonem jak stal zimnym.

— Ach! że téż każdy mężczyzna, prędzej lub później, zdradzi się i uderzy czołem przed swoim bóstwem, materyalizmem! — zawołała oburzeniem zdjęta i niecierpliwie jęła drżać kwiaty w bukietcie. — Wam, moi panowie, zdaje się, że kobieta jest stworzona na wzór i podobieństwo wasze, że z nas każda przywiązuje się li do powierzchowności, do tego piękna znikomego, za którym wy przepadacie, a poza którym najczęściej ukrywa się serce wyziębione i charakter samolubny. O! nie! nie! nie!... Nas Bóg z innej gliny ulepił. My chętnie dla rozkoszy duchowych zapominamy o wszystkiem, co materyalne; serca nasze nie przywiązują się do piękna ziemskiego, a dusze tęsknią do ideału! To téż gdybym znalazła mężczyznę, o jakim marzę i mówię, byłabym żoną kochającą, siostrą troskliwą, niewolnicą wierną, nawet wtedy, gdyby on sam był jak potwór brzydki, gdyby jak paralytyk był do łoża boleści przykuty, i gdyby usta zwiędłemi nie mógł się już dotknąć mojej skroni!... Takie my jesteśmy, takie, a pan nam nie wierzysz!...

— Kto mówi, że nie wierzę? — podchwycił Konrad. — To, com wpiérw powiedział, było uwagą luźną, rzuconą bez złej myśli... Ja sam, mimo że świat dobrane mnie wyziębził, jestem jeszcze na tyle idealnym, że wierzę w uczucia wzniosłe i w porywy szlachetne.

Gdy to mówił, wpatrywał się w perski kobierzec, co u nóg jego leżał.

Ona badała go, lecz daremnie. Twarz Konrada nic teraz nie wyrażała.

— Jakże to pięknie, że i pan należysz do wybranych!—szepnęła ciszej.—Przecucie natychmiast mi po-

wiedziało, że z zimnym materyalizmem nie masz nic wspólnego. Ale panowie lubicie się często chełpić z błędów, których nie macie; jest to u was rodzaj sportu; ja jednak znam się na tém, domyślność bowiem moja jest równa pańskiemu udawaniu. Cha, cha, cha!—zachichotała—to będzie w każdym razie trafniejsze, niż poprzednie pańskie twierdzenie o jego szczerości. Czy nie tak?... Ale, jak widzę, dziś nie wyczerpiemy poruszonego tematu, bo zaraz śniadanie podadzą; jabym zaś tak pragnęła jeszcze o tém pomówić! Niech pan nas kiedy odwiedzi... ja tu zabawię do końca miesiąca... będę pana wyglądała... Cóż, przyjedzie pan?

— A może paniby raczyła ze stryjem do Lipińca się potrudzić? Moje damy byłyby uszczęśliwione tak miłą znajomością.

— Dobrze, przyjadę... wszakże pod warunkiem, że w Wierzejowie ukończymy dysputę dziś zaczęłą. Mogę na to liczyć?—dodała, rękę z lubym uśmiechem do niego wyciągając.

— Ależ z największą przyjemnością!—odpowiedział i dłoń jęj ucisnął.—Teraz służę pani, bo proszą nas na śniadanie.

Szła do pokoju jadalnego krokiem wolnym, z głową pochyloną, zamyślona. On obok nięj postępując, musiał myśleć o czémś nieuchwytném, skoro jego uśmiech był teraz tak samo niedocieczony, jak jęj wtedy, gdy z Franusiem rozmawiała.

Śniadanie było wykwintne. Pasztet strasburski, łosoś, homary, wyborne beefsteeki, séry, winogrona, a wszystko podlane prawdziwém chablis i mokką—oto czém ubożuchna chata pana Trockiego była rada swoim gościom. Gospodarz zapraszał z wielką uprzejmością, lecz, że własnych przysmaków nie wypadało mu chwalić, a chciał, żeby goście jedli, więc, by ich do tego zachęcić, zabrał się sam do półmisek z takim apetytem, jakiego Rabelais z pewnością u Gargantuy nie widział. Z podwiązaną pod szyją serwetą, z twa-

rzą pełną, rumianą i wielce zadowoloną, wciąż gośćmi zajęty, mimo że na nich nie patrzył (jego wzrok biegał teraz od jednego półmiska do drugiego); połykający jedną część potraw z wprawą niesłychaną, a część drugą zaś oczyma wchłaniający—wśród tego zajęcia pan Erazm Trocki był stokroć bardziej podobnym do Francuza z *Maison doré*, uczującego wespół z autorem „Jocelyn'a” i z twórcą „Muszkietierów,” niż do polskiego szlachcica, który na wsi się urodził, wzrósł i w niej miał umierać.

Piękna Julia nic nie jadła. Przed nią stał kieliszek wina, którém ledwie usta zwilżyła, obok leżał biszkopcik nietknięty. Trzymając w jednej ręce resztki poszarpanego bukietu, drugą listki z niego obrywając, patrzyła w próżnię. Głowę miała podniesioną; na twarzy, klasycznie pięknej, był rozlany spokój klasyczny; i gdyby nie usta, jak zwykle rozchylone, za któremi i teraz było widać ząbki, rozgryzające listki kwiatów, czego Wenus nie czyniła, można ją było wziąć za nowoczesne powtórzenie owój Afrodyty zwyciężkiej, która, ze starożytnego Melosu do Paryża przywieziona, spogląda dziś dumnie ze swego piedestału na wielbicieli, którzy rozpaczają, że piękność przez nich wielbiona jest tylko zimnym marmurem.

Po śniadaniu goście, przez piękną Julią uprzejmie pożegnani, wyruszyli do dworu, dokąd grzeczny gospodarz postanowił ich odprowadzić. Konrad zamierzał spędzić godzinę u Goldeifera i dalej jechać. Ledwie uszli kilka kroków, ujrzeni na drodze dwóch mężczyzn. Jeden z nich szedł przodem, drugi za nim w przyzwolonym oddaleniu.

— Otóż i Roman!—zawołał Franuś i z radości aż w dłonie klasnął.—Ale dokąd on idzie tak uzbrojony? Zapewne chce Turkom Palestynę odebrać. Słowo honoru, toby było wyśmienite! Patrzenie, jak się śpieszy.

— Mylisz się, mój panie Franciszku — rzekł pan Trocki — on nie ma tak wojowniczych zamiarów. Po-



czciwy Goldeiferek tylko dzień i noc nad tém przemyśliwa, jakby ludziom zaimponować.

— A komużby mógł imponować tu, na wsi? — zapytał Konrad.

— Wszystkim. Chłopom, Żydom, dzieciom, wieprzkom, nawet tym tu kaczkom, w rowie się kąpiącym. Niech cały świat patrzy na pana Goldeifera i niech mówi, że niema od niego ani piękniejszego, ani rozumniejszego, ani bogatszego. Że dziś i wam chce zaimponować, to najmniejszej wątpliwości nie ulega; bo skoro wasze ekwipaże do niego zajechały, więc z pewnością wie, że tu jesteście... Że ja też z niego tej choroby, mimo starań usilnych, nie mogę wykorzenić.

— A czém on nam chce imponować? — zapytał Franuś.

— Swoją osobą. Wybrał się niby na polowanie, choć strzela prosto kulą w nos, aby się przed wami popisać zamiłowaniem do sportu szlacheckiego; przy tej sposobności pozwoli także podziwiać swoją broń, ubiór, nawet pióro bażancie na kapeluszu, a równocześnie będzie udawał, że się nie spodziewał was tu spotkać. Co ja mam z tym człowiekiem!... ucz, tresuj, a wszystko daremne. Zawsze Żydem trąci.

Ten, o którym pan Trocki mówił, zbliżał się tymczasem szybkim krokiem. Miał na sobie strój myśliwski koloru popielatego, krótki i obcisły; na nogach po same kolana kamasze z żółtej skóry, na sprzączki zapinane; na głowie kapelusz z olbrzymiém piórem od tyłu, które nakształt ogona wiewiórczego ku ramionom mu się schylało. Na jego piersiach świeciły aż dwie strzelby, na krzyż przewieszzone.

Postępujący za nim strzelec miał także dwie strzelby, różnił się zaś od swego pana jedynie mundurem całkiem zielonym, u którego kołnierz i manszety były grubo złotem haftowane, tudzież czapką ze złotym galonem, przy której z boku tkwił pęk piór kogucich.

Chłopak to był jeszcze młody, z angielskimi bokobrodami, a bez wąsów.

Bokiem biegł piękny wyżeł.

W miarę jak się myśliwi zbliżali, pierwszy z nich kroku przyśpieszał, nareszcie zdaleka zaczął wołać:

— Kogo widzę! Kogo widzę!... Pan Paliński! Franuś kochany!.. Prędzój byłbym się spodziewał zobaczyć złoto, perły, niż was, panowie!.. Dzień dobry! Jak się macie! A to niespodzianka!..

— Właśnie, mój Romanie, do ciebie ich prowadziłem, lecz ty, jak widzę, wybrałeś się na polowanie, nie będziemy ci więc przeszkadzali — rzekł pan Trocki, złośliwie się uśmiechając.

— Nic nie szkodzi, chciałem troszeczkę skoczyć na kuropatwy, ale wobec takich gości ktoby myślał o polowaniu! — zawołał pan Goldeifer i zaczął witać się z młodymi ludźmi serdecznie, głośno, zamasyście, przy czém rękami, jak wiatrak skrzydłami, wymachiwał.

Z powierzchowności trudno było osądzić, w jakim człowiek ten był wieku. Prawdopodobnie nie skończył jeszcze trzydziestki; ale ponieważ był zażywny, prawie otyły, przeto starzej wyglądał. Twarz jego niezmiernie czerwona, bez żadnych tonów w kolorze, jakby ze skóry obdarta, miała wszystkie charakterystyczne znamiona rasy, z której pochodził: oczy wypukłe, nos zakrzywiony, usta wywrócone. Mimo to zrobił ją odmienną od innych semickich, ponieważ rozczesywał wąs w ten sposób, że mu tenże trzecią część fizyognomii zastaniał. Dzięki temu twarz nabięrała wyrazu niezwykłego, prawie marsowego. Pan Goldeifer widział gdzieś husarza wymalowanego z takim wąsem. Odtąd też mawiał, że i on nosi wąsy *à la* towarzysz pancerny. Włosy miał przystrzyżone *à la Fiesco*, lub, jak pan Trocki utrzymywał, *à la fiasco*. Były one rudawe i jak szczecina stały prosto. Przez nie przeglądała żółtawa skóra na czaszce. Wogóle robił wrażenie człowieka ociężałego i niezdrowego. Mimo to szybko się poruszał.

— Mówisz, żeś wyszedł na kuropatwy, a uzbroiłeś się, słowo honoru, jakbyś chciał kilka twierdz zdobyć!— przemówił Franuś, wokoło go oglądając.

— Ja, mój Franusiu, najlepiej tak lubię! Jak przyjdę na miejsce, gdzie są kuropatwy, jedną strzelbę oddaję zaraz Dżemsowi. Prawda, Dżems? (Tu strzelec zdjął czapkę na znak potwierdzenia). A z drugiej strzelam. Potém biorę świeżą i tak daléj do ostatniéj; nim zaś z czwartéj wypalę, trzy piérwsze są znów nabite. Na cobym ja się miał sam tém męczyć, skoro go za to płacę.

— Piękna broń — zauważył Konrad, na strzelbę patrząc.

— A toś pan narobił!—szepnął pan Trocki.

Konrad nie miał czasu zastanowić się nad znaczeniem tych wyrazów, ponieważ nemrod zaczął szybko mówić:

— Prawda, że śliczna? Ta *lankastrówka* bije kulą na dwieście pięćdziesiąt kroków... Z téj *lefoszówki* na sto kroków cały nabój zajęczaku jest zawsze w ćwiartce papieru... Ten *czokborn*...

— Na oko widać, że to broń znakomita, mój Romciu—niespodziéwanie Franuś mu przerwał.—Wierzymy także, żeś za każdą sztukę słono zapłacił.

— I jak jeszcze! Ale ja na to piéniędzy nie żałuję, bo polowanie to moja największa pasya. Bez polowania możnaby na wsi umrzeć z nudów.

— Nie wątpię, mój Romanie; ale w co niekonieczniebym uwierzył, to w celność twoich strzałów.

— Czemu?

— Bo masz oko wypukłe. Słowo honoru, tak prędzej na loteryi wielki los trafi, niż kuropatwę.

— Jakie to śmieszne żarty, mój Franusiu! Że ty zawsze musisz żartować.

To powiedziawszy, obrócił się na pięcie i usiłował zrobić minę wielkiego pana, którego byle kto nie może obrazić

— Ja wcale nie żartuję—odparł Franuś spokojnie.

— Skoro nie żartujesz, to ci powiem, że każdą ja-skółkę w lot trafię.

— Zapewne w zimie... Ot, nie blaguj, mój Romanie, bo choć umiesz to dobrze, ja, słowo honoru, potrafię lepiej.

Konrad i pan Trocki nie mogli wstrzymać się od śmiechu. Pierwszy jednak pociągnął kolegę za rękaw i rzekł cicho:

— Daj pokój, Franusiu.

Teraz pan Goldeifer trochę się napęrzył i z ferworem zawołał:

— Mów, co chcesz, a ja ci na to, com powiedział, daję słowo honoru! Dość ci tego?

Franuś miał na ustach jeszcze coś bardzo złośliwego, ale błagające spojrzenie Konrada kazało mu się wstrzymać. Pan Trocki nic nie mówił, tylko na swój sposób się uśmiechał.

W połowie drogi między dworem a dawną leśniczówką stała cerkiew. Właśnie gdy nasi znajomi obok niej przechodzili, zaczęto dzwonić na Anioł pański, bo było południe. Ten i ów przeżegnał się, przed cerkwią każdy zdjął kapelusz, jeden tylko pan Goldeifer stanął, odkrył głowę i, zwróciwszy się twarzą do cerkwi, zaczął głośno paciérz recytować. Konrad i Franuś spojrzeli na pana Trockiego.

— Dla niego zawsze to nowość, więc go to bawi—szepnął stary wyga.—On na sam widok dziada kościelnego zaraz bęc na ziemię.

Skończyło się na téj uwadze; a gdy dziedzic Wierzejowa powiedział „Amen,” dalej ruszyli. Niedaleko dworu pan Trocki wziął go pod ramię i na bok się z nim usunął.

— Trzeba, żebyś Palińskiego koniecznie na obiad zaprosił. On się śpieszy do domu.

— Pewnie, że go zaproszę.

— O kucharza się nie troszcz, tego ja dopilnuję. Pamiętaj tylko nie być skąpym, mój Romciu.

— Co pan dobrodziej mówi najlepszego! Kiedym ja był skąpy?

— A szampana z nową marką nie pożałujesz?

Pan Goldeifer skierował na pytającego wzrok zdziwiony.

— Alboż to obiad proszony?

— W każdym razie proszony, skoro ich zaprosisz, zwłaszcza Palińskiego. Być może, że przy tój sposobności i Trockiego ten zaszczyt nie minie... Zresztą wiedz, mój kochany, że tylko szewcy i inna kanalia piją szampana podczas wielkich uroczystości, przeciwnie prawdziwi panowie piją go przy każdym obiedzie. Jużem ci to tyle razy powtarzał.

— A jedna butelka wystarczy?

— Jeśli masz dać jedną, możesz mnie nie zapraszać, bo się nie chcę za ciebie wstydzić. Trzeba przynajmniej trzy postawić.

— Dwie, panie dobrodziej, dwie!

— Rób, mój Romciu, co chcesz, tylko uważaj, żebyś się nie skompromitował.

Pan Goldeifer zwiesił głowę z rezygnacją.

— No, zrobię już, jak pan dobrodziej każe, ale co mnie to kosztuje!...

Gdy do domu przyszli, gospodarz przeprosił swoich gości, że na chwilę się oddali, aby się przebrać. Nie trwało to długo. Za kwadrans zjawił się odświeżony, woniejący, a tak ubrany jak żaden z obecnych. W jego stroju, skrojonym według ostatniej mody paryzkiej, wszystko było przesadzone. Tużurek miał stosunkowo zakrótki (jego pełna figura błagała o suknię bardziej sutą), prócz tego na piersiach był on zanadto wycięty; kołnierż od koszuli tak się pod brodą rozciągał, że było widać całą szyję obnażoną; złote guziki do manszetów kazał sobie zrobić wielkości talarów; dewizka od zegarka, ciągnąca się przez całą szerokość kami-

zelki, od jednej kieszonki do drugiej, była grubości małego palca; w krawacie tkwiła szpilka, obsypana drogiemi kamieniami, wielka jak jabłuszko rajskie; nawet kokardy u trzewików, lakierowanych, tak formą jak rozmiarami przypominały skrzydła nietopérza.

Mieszkanie pana Goldeifera, tak samo jak jego ubiór, było pełne przesady. Meble w części adamszkowe, w części aksamitne, także portyery, olejodruki w szerokich ramach złoconych, pełno bronzów, kryształów, sreber, najrozmaitszych świecidełek, a wszystko tak ustawione, by każdy, kto wejdzie, musiał podziwiać ilość nagromadzonego bogactwa. Niech się wszystko w oczy rzuca i widza olśniewał! Oto myśl, którą właściciel niewątpliwie się kierował, gdy temi rzeczami swój apartament zasypywał.

Pan Goldeifer musiał wierzyć, że człowiek tylko wtedy żyje w wielkim stylu i za wielkiego jest poczytywany, gdy wszystko, co posiada, jest wielkie. Dlatego to w całym obwodzie nikt nie miał ani koni tak rośliwych, ani karet tak imponujących, jak on; nikt stangreta swego nie ubierał w zimie w większe futro, niż on; u nikogo w salonie nie leżały tak olbrzymie albumy, jak u niego; i nigdzie nie pieczono na roźnie tak wielkiej polędwicy, a przytém na tak wielkim ogniu, jak właśnie w jego kuchni w Wierzejowie. Niech ludzie wiedzą, że mnie nikt nie może prześcignąć!—takie było hasło jego życia.

Nim gospodarz wszedł do salonu, Franuś, przeglądając albumy, rzekł przy jednym:

— Patrzcie, już sobie kazał powycinać szlacheckie korony! Brakuje mu tylko herbu, ale ten ja mu sam ułożę. Na polu, zakrytém wekslami, fałszywy kieliszek; po obu bokach pejsy obcięte; u góry jarmułka zapięrzona. Słowo honoru, lepszego herbu nie wymalowałby mu żaden heraldyk!

Gdy pan Goldeifer zbliżał się do salonu, szelest jego kroków słyhać było zdaleka. Pochodziło to ztąd,

że, idąc, nóg nie podnosił, jeno stopy sunął po posadzce. Prócz tego przy tój czynności górna część jego ciała, mianowicie głowa i piersi, były znacznie naprzód wysunięte. Wyglądało to niezwykle i dlatego pan Trocki mawiał, że dziedzic Wierzejowa nie chodzi, ale „pliwa.” W rzeczy samej ruch ten przypominał człowieka pływającego.

Konrad, jak z góry postanowił, zamierzał prędko wyjechać, lecz mu się to nie udało. Prócz gospodarza, który ani prośb, ani zaklęć nie skąpił, Franuś i pan Trocki tak usilnie nalegali, żeby został na obiad, iż w końcu musiał im ustąpić.

— Skoro główna ryba zostaje, więc teraz, mój Romanie, dla dodania splendoru twemu obiadowi, powinienbyś także zaprosić pannę Julię—rzekł Franuś, końce wąsików podkreślając. — Słowo honoru, w towarzystwie pięknych dam obiad całkiem inaczey smakuje.

Goldeifer uśmiechnął się na to, mimowolnie mlaśniał językiem i pytająco spojrzął na swojego mistrza.

— Ja nie mam nic przeciw temu—odrzekł pan Trocki.—Z rodzonym stryjem panienka może być wszędzie, nawet u kawalera.

— Bardzo panu dobrodziejowi za to dziękuję... Ale jak to zrobić, jak?

— Pojedziemy teraz obydwa ją zaprosić; to jest ty będziesz prosił, ja zaś będę ci asystował; a przed samym obiadem pošlesz po nią kareteę.

— Trudno o lepszą radę—wtrącił Franuś.

— Doskonale!—pan Goldeifer zawołał i zaraz krzyknął na służącego: — Hej! Żorż! powiedz Jaškowi, żeby natychmiast poszedł do stajni i kazał Walentemu zaprzęgać. A jak Walentego niéma, to niech zaprzęże Maciej lub Stanisław.—Teraz zwrócił się do swoich gości i dodał:—Niech mi panowie za złe nie biorą, że ich znów samych zostawię, zato jakie będziemy mieli towarzystwo!...

I tu, jak za starych i dobrych czasów, przytknął dwa palce do ust, wskazujący z wielkim, i jął cmokać. Pan Trocki jednak delikatnie mu w tém przeszkodził, mówiąc:

— Chodźmy lepiej pieszo. Nim z nich który za-  
przeże, my już dawno będziemy w domu z powrotem.

— Dobrze, chodźmy pieszo! Do widzenia z pana-  
mi! Proszę tymczasem albumy przeglądać. W nich są  
śliczne rzeczy, cudowne! Do miłego widzenia!

Tak wołając, chwycił za kapelusz i wybiegł szyb-  
ko z salonu.

W pół godziny wrócił rozpromieniony. Widać  
było, że pragnął podzielić się z kimkolwiek swemi wra-  
żeniami, poruszał się bowiem nerwowo, spoglądał to na  
Konrada, to na Franusia i uśmiechał się sam do sie-  
bie; lecz że do pierwszego z nich nie miał zapędu, bo  
go mało znał, przeto zwrócił się do Franusia, znów  
ustami cmoknął i rzekł:

— Co to za kobieta!... Pyszna, wierz mi, pyszna!..  
A jaka edukowana! Jaka delikatna!... Aż strach zbiera  
z nią rozmawiać.

— Mogłbyś się do niej kopnąć—zauważył Franuś.  
Goldeifer spojrział nań ukosem.

— He? Co?—napięrał Franuś.

Goldeifer językiem mlasnął, uśmiechnął się pożą-  
dliwie; ale, miasto mu odpowiedzieć, obrócił się do Kon-  
rada i rzekł:

— Nim obiad podadzą, może pan zechce moje ko-  
nie zobaczyć. Mam prześliczne! Niedawno ktoś mi mó-  
wił, że nawet u króla wirtemburskiego, choć to sports-  
men zawołany, niema takich. Na ostatnim jarmarku  
w Mościskach był ze swemi końmi sam książę Sangu-  
szko ze Sławuty. Mnie po przyjeździe pierwszego dnia  
głowa bardzo bolała, więc nie mogłem go odwiedzić,  
ale napisałem do niego bilecik...

— Znaliście się dawniej?—podchwycił Franuś.



— Przedtém nie, ale jam wiedział, kto on, a on kto ja... Ledwie tóż mój bilet przeczytał, natychmiast sam przyszedł, choć było błoto po kolana, i siedział u mnie do północy. Bardzo wykształcony i przyjemny człowiek. Na drugi dzień przyprowadził mi pod okno wszystkie swoje konie. Prześliczne!

— Kupiłeś pan co od księcia? — zapytał Konrad.

— Od niego nie, bo miał same małe, a ja lubię tylko rosłe konie. Wybrałem więc sobie czwórkę od hrabiego Baworowskiego. Prawda, żem mu drogo zapłacił, lecz zato jakie mam konie!... Piliśmy potém cały dzień i całą noc. Bardzo przyjemny kawaler ten hrabia Baworowski. Pan go zna?

— Trochę.

— To się pan z nim tego roku lepiej pozna, bo on niezadługo przyjedzie do mnie na kilka tygodni. Myśmy się tak zaprzyjaźnili, że on teraz beze mnie żyć nie może. Strach! jak on mnie kocha!... Czy jednak pójdziemy konie zobaczyć?

— Z największą przyjemnością.

Pan Goldeifer obrócił się i krzyknął:

— Hej! Żorż! Podaj mi trąbkę!

Na to służący wybiegł do drugiego pokoju, z kądem za chwilę wrócił ze zwykłą trąbką wojskową. Nasi znajomi spoglądali na nią z wielkiem zaciekawieniem.

Gdy przed dom wyszli, gospodarz przytknął trąbkę do ust i zaczął w nią dąć tak mocno, że twarz jego dotąd czerwona, zrobiła się teraz granatowa. Trąbka warknęła przeraźliwie; na to hasło, z rozmaitych stron i budynków, nawet z ogrodu i z poza bramy, zaczęli zbiegać się stangreci, fornale, chłopcy stajenni. Wszystko to pędziło co tchu, a był tego zastęp niemały, prosto przed dwór.

— A co, porządnie?—zapytał gospodarz, spoglądając na Konrada z miną tryumfatora. — U mnie zawsze tak, bom nie daremnie służył w ułanach. U mnie ład

wojskowy! Jak zatrabie, wszyscy ludzie od koni muszą być tu. A co, porządnie?

— A nawet bardzo.

— Widzi pan, żem ich dobrze wyuczył. Hej! Karol! — krzyknął na jednego z obecnych — zaprząż zaraz do karety, do tój czerwonym adamaszkim wybitej, którą niedawno z Wiednia mi przysłali, tę śliczną czwórkę od hrabiego Baworowskiego, którą w Mości-skach kupiłem, i przejedziesz się nią kilka razy dokoła gazonu. Potem przywieziesz pannę Trocką. A ty, Żorż! — do lokaja dodał — powiedz Sylwestrowi, żeby siadł na koziełek; gdyby on zaś nie mógł, niech jedzie Józef, lub nawet sam Dżems.

Zmęczył się pan Goldeifer, nie tyle może trąbieniem i wydawaniem rozkazów, co przypominaniem sobie imion licznej swojej służby. Postawił jednak na swoim, gdyż wyrecytował wszystkich wybitniejszych przedstawicieli dworu wierzejowskiego.

Konie były w rzeczy samėj piękne, acz trochę ciężkie, bo zbyt rosłe i kościste, więc też Konrad bardzo je chwalił, co gospodarzowi taką przyjemność sprawiło, że w uniesieniu kilka razy zwrócił się do swego gościa, nazywając go „kochanym Konradem.” Ten wszakże nie chciał tego zrozumieć, i, jak przedtém, tak i nadal tytułował gospodarza „panem” Goldeiferem.

Nim panna Julia przyjechała, młodzi ludzie bawili się, jak mogli, lub właściwie gospodarz ich bawił, gdyż ani na chwilę usta mu się nie zamknęły. Wciąż miał coś opowiadać, pokazywać, chwalić. Przez cały ten czas pan Trocki wespół z kucharzem, który niebardzo był mu za to wdzięczny, badał w kuchni zawile tajemnice sztuki kulinarnėj.

Przy obiedzie humory były wyśmienite, bo nie tylko wśród towarzystwa harmonia panowała, lecz i sam obiad ze wszech miar na to zasługiwał. O ile z jednej strony świadczył on wymownie o hojności gospodarza, który niczego nie poskąpił, o tyle z drugiej stro-

ny składał hołd zręczności swoich mistrzów, którzy w czasie stosunkowo dość krótkim i bez przygotowań nadzwyczajnych takie arcydzieło stworzyli. Pan Trocki, mimo że od swego talerza wzroku nie odrywał, rzucał o wszystkiem i wszystkich dowcipne uwagi, zaprawne lekkim sarkazmem; Franuś był wesół na swój sposób i czułe spojrzenia wysyłał w stronę panny Julii, która więcej niż kiedykolwiek była rozmarzona, prawie półsenna; gospodarz robił się po każdym kieliszku wina coraz zabawniejszym; nawet Konrad, choć z natury poważny i spokojny, mówił wiele i swobodnie. Piękna Julia, mimo że prawie bez przerwy miała wzrok ku górze skierowany, jakby li o niebie marzyła, brała żywy udział w ogólnej konwersacyi. Franusiowi odcięła się dowcipnie kilka razy; z Konradem rozprawiała dość długo i trafnie o ideale w sztuce; gospodarza zaś, nie tyle może słowem, co spojrzeniami, niełitościwie drażniła. Pan Goldeifer kręcił się niespokojnie, cmokał ustami, wzrokiem ją pożerał; kilka razy zrywał się i do niej płynął, by jęj bądź co podać, bądź wina nalać; ona dziękowała zawsze nowym uśmiechem i nowym spojrzeniem, wszelako dziedzic Wierzejowa nie taił w głębi swojej duszy, że jęj spojrzenia były dla niego pismem klinowem, a uśmiechy jęj hieroglifami egipskimi. O! czegóżby w tej chwili nie ofiarował, żeby je mógł odczytać i zrozumieć! Jak u siebie przy śniadaniu, tak i tu prawie nic nie jadła; zato namiętnie gryzła listki ze świeżego bukietu, który jęj podał uprzejmy gospodarz, gdy do salonu wchodziła, i niekiedy usta winem zwilżała.

Przy szampanie, któremu tak dobrze pan Trocki jak i Franuś lubili buzi dawać, ogólna wesołość jeszcze się spotęgowała. Pan Trocki zrobił się nad wyraz miłym, tak dalece, że swemu elewowi, którego przedtęm nieraz reflektował, pozwalał teraz wszystko mówić, z czego tenże nie omieszkiał skorzystać. Chwyciwszy więc w rękę kieliszek pełny szampana, przysiadł się

do pięknej Julii i półgłosem, często się przytém zachłystując, jął jój prawie słodkie grzeczności. Przy czwartym kieliszku pocałował ją w rękę tak niespodziewanie a prędko, że ani się spostrzegła, co się stało; przy szóstym zaś padł przed nią na kolana, żeby jój zdrowie wychylić.

Piękna Julia przyjęła to jako hołd słusznie jój się należący, lecz z dłuższego towarzystwa pana Goldeifera nie mogła już korzystać, ponieważ zaczęło się ściemniać. Poprosiła tedy stryja, by ją do domu odwiózł. Pan Trocki, mimo namiętnych zaklęć pana gospodarza, kazał zaraz zaprzęgać. Pan Goldeifer, odprowadziwszy damę do karety i zapewniwszy ją pokilkakroć na odjeźdźnym o swojej wdzięczności za wizytę tak zaszczytną, wrócił cwałem do salonu, chwycił Franusia pod ramię i do ogrodu go wyprowadził.

— Co to za kobieta! Co za kobieta! — wołał, za głowę się chwyciwszy. — Takię rękę, jak żyję, nie widziałem, a jakie u niej ramię!... Gors musi mieć także pyszny... Cudna kobieta!... Ale — dodał, jakby sobie nagle coś przypomniał: — mam do ciebie, mój Franusiu, bardzo wielką prośbę. Daj mi tylko słowo, że to dla mnie uczynisz.

— Mów!

— Zrób, mój kochany, żeby pan Paliński był ze mną „per ty.” Przecie to twój kolega i przyjaciel; a skoro wy się „tykacie,” a ja się z tobą „tykam,” więc czemu z nim jednym mam być „per pan?” Wiész co, to nawet dla niego nieładnie.

— Mogę mu to zaproponować, chociaż wątpię, bym skutek odniósł.

— Czemu?

— Bo on w stosunkach towarzyskich jest trudny... gotów więc na to nie przystać.

— Dlaczego nie miałby przystać? Przecie ja jestem „per ty” z Czartoryskimi, Sanguszkami, Potockimi, z całym światem!

— Ale Paliński jest etykietalny i niebardzo przystępny. Zdaje mi się, że gdyby nie okoliczność, iż znamy się od dzieci i że nasi ojcowie żyli z sobą w wielkiej przyjaźni... Czapiński i Paliński byli z sobą zawsze jak dwaj bracia syamscy, słowo honoru!.. to prawdopodobnie nie byłby i ze mną na stopie poufałej. Na oko niby popularny, wszelako w głębi duszy jest to wielki arystokrata.

— Niech sobie będzie arystokratą z całym światem, lecz czemu ma nim być ze mną? Czy to ja może gorszy od niego? Słuchaj, Franusiu, ja ci coś powiem pod wielkim sekretem. Ja wiem, że Paliński nieraz szuka pieniędzy; powiedz mu więc delikatnie, że jak będzie ze mną „per ty” i jeżeli stary hrabia przyjedzie kiedy do mnie, bo jeszcze tu nie był, to ja mu za to, ilekroć będzie pieniędzy potrzebował, chętnie pożyczę.

— Dobrze, mój Romanie, jeszcze dziś mu to powiem; wszelako, nim on zgłosi się po pożyczkę, ja tymczasem go wyręcę. Robię to jednak li z przyjaźni dla niego, słowo honoru, z czystej przyjaźni. Pożycz mi, Romciu, pięćset guldenów, bo tak ich potrzebuję, że o mało mnie dyabli nie porwą!

— Nie udawaj, Franusiu! Na co tobie pieniędzy? Tyś przecie kawaler.

— Alboż kawalerowie żyją manną, a okrywają się liśćmi figowemi?—pan Czapiński, trochę zirytowany, odpowiedział. — Prawda, żem kawaler, ale mimo to, jeśli jutro nie odeszlę pięciuset guldenów właścicielowi Krzywego, gotówem dzierżawę stracić. Łotr arendarz raty mi nie zapłacił i ztąd znalazłem się w takim położeniu. Daj więc, Romanie, a do miesiąca zwrócę ci pod słowem honoru!

— Fe, Franusiu, na co takie brzydkie żarty!

— Ależ, do licha! ja nie żartuję!

— Ja wiem, że żartujesz, Franusiu; ale choćbyś prawdę mówił, to i w takim jeszcze razie nie mógłbym ci służyć, bo dziś jestem wyjątkowo goły jak święty

turecki. Doprawdy, nie wiem, czy mam w kasie dwadzieścia reńskich.

— Proszę cię, nie drwij sobie ze mnie!

— Niech mnie szlag trafi, jeżeli kłamię! — pan Goldeifer zawołał i ręką w piersi uderzył.

Franuś miał coś złego na języku, lecz w tej chwili weszli pan Trocki i Konrad. Pierwszy zmierzył rozmawiających wzrokiem przenikliwym i uśmiechnął się dwuznacznie, drugi zbliżył się do gospodarza, by się z nim pożegnać. Tym razem pan Goldeifer nie myślał gościa dłużej zatrzymywać. Podziękował mu więc uprzejmie, przeprosił za nudy i lichego obiadek, i wśród zapewnień, że będzie się starał jaknajprędzej do Lipińca przyjechać, odprowadził go do faetonu.

Pan Trocki skorzystał z tego, że z Franusiem sam na sam pozostał.

— Musiałeś, kochany panie, mieć jakiś interes do Goldeifera—rzekł przeciągle, tonem nosowym, z pańska oczy mrużąc.

— Hm, tak...

— Pewnie szło o pieniądze...

— A gdyby?

— Odmówił?

— Miał czoło! Nie dziwiłbym się jeszcze, gdyby szło o sumy bajońskie, lecz jam go prosił tylko o nędznych pięćset guldenów i dawałem mu na to słowo honoru, że do miesiąca mu je oddam.

— To, panie Franciszku, u niego najgorsza hipoteka... Zresztą trzeba znać Goldeifera. On lubi pożyczać jedynie wtedy, gdy mu to bądź przyjemność sprawia, bądź zaszczyt przynosi; tu, widać, nie spodziewał się ani pierwszej, ani drugiego... Pod tym względem ma on niesłychanie twardą skórę... Skończony z niego nosorożec! Mnie samemu odmówił wczoraj także marnych kilkuset guldenów, choć beze mnie nicby nie znał...

— Ależ jabym mu dobry procent zapłacił!

— On na lichwę nie pożyczca, bo nie chce psuć interesów papie dobrodziejowi—stary wyga odpowiedział i ciszej dodał: — Na niego byłby sposób... gdyby tak...

Pan Trocki coś jeszcze mówił, lecz tak cicho, tak przez nos, że Franuś nic więcej nie słyszał. Zresztą irytacja słuch mu przytępiła. Piędzy w rzeczy samej bardzo potrzebował, a że między bankierami małomiasteczkowymi nie miał dotąd znajomości, więc ani przewidywał, jak sobie poradzi. Liczył na Goldeifera, jak na cztery tuzy, tymczasem ten go zawiódł. Inny, aby dać wyraz swemu oburzeniu, możeby zaraz odjechał, Franuś atoli tego nie uczynił, gdyż za przykrość, jaka go tu spotkała, chciał przynajmniej temu, który był jej sprawcą, dobrze dokuczyć. Pan Trocki, nie wiadomo, czy przypadkiem, czy też rozmyślnie, był mu w tém wielce pomocnym, wciąż bowiem za nim chodził, uwagami uszczypliwemi gniew pobudzał, a równocześnie docinkami drażnił Goldeifera. Ten z początku znosił wszystko cierpliwie, usiłując jedno milczeniem pominąć, drugie w żart obrócić, jednakże po niejakiem czasie położenie bardzo się pogorszyło.

Późnym wieczorem zjechało niespodziiewanie na partyę taroka kilku młodych ludzi z sąsiedztwa, znanych w powiecie z życia hulaszczego, którzy, tak samo jak pan Czapiński, niewiele sobie robili z dziedzica Wierzejowa. Ci, ledwie postrzegli, że Franuś ma Goldeifera na wątrobie, zaczęli natychmiast odgrywać rolę hiszpańskich torerów i zachęcać go szyderstwami, by przeciwnika wziął koniecznie na rogi. Była to ostatnia kropla, która czarę przelała.

Franuś zrobił się natarczywym, co widząc gospodarz, zaczął się na dobre bronić,—lecz że w szermierce na słowa nie był dość biegłym, przeto mimowoli spowodował katastrofę. Wśród ognia rotowego wyrwał mu się nakształt kuli działowej, skierowanej w samą pierś Franusia, niezbyt grzeczny wyraz: „kłamiesz!” uży-

ty najnieszczęśliwiej w chwili, gdy przeciwnik, aby wybuchnąć, tylko tego potrzebował.

— A to bezczelność! — Franuś zawołał, z krzesła się zrywając. — W całej Polsce, słowo honoru, nie było jeszcze wypadku, żeby jaki gospodarz swego gościa tak znieważył. Taką obelgę tylko krew małż!

Obecni niespokojnie się poruszyli. Pan Trocki zbliżył się do Franusia i ręce wyciągnął, jakby go chciał uspokoić; tymczasem, gdy przy nim stanął, szepnął:

— Trzymaj się, kochany panie Franciszku... we mnie masz sekundanta.

Goldeifer pobladł i pytająco spojrzął na swych gości.

— Franusiu, co się tobie stało? — bąknął. — Czy ty się nie znasz na żartach, czyś może zwaryował?

— Nowa zniewaga! Piękne mi żarty! Ten człowiek gotów mnie jeszcze w twarz uderzyć, a potem powie, że to żart! Biorę panów za świadków, że zostałem w jego domu niesłusznie znieważony. Chcesz, czy nie chcesz, musisz mi dać satysfakcją.

Goldeifer zebrał odwagę.

— Ty myślisz, że ja się ciebie boję? — zawołał. — Masz na to moje słowo honoru, że się ciebie nie boję! Dość ci tego? — dodał wśród ogólnego śmiechu młodych słuchaczów.

Franuś nic na to nie odpowiedział, chwycił kapelusz i wybiegł z pokoju.

— Hej! Grześ! zaprzęgać! — krzyknął na podwórzu z pełnej piersi.

Gospodarz chciał za nim pośpieszyć, lecz pan Trocki w sieni go zatrzymał.

— Mój Romciu, to nie przelówki — rzekł półgłosem. — Ten Czapiński strzela jak Nemrod, a rąbie się jak sam archanioł Michał.

Goldeifer zachnął się i zapytał:

— Więc co mam robić, co?



— W żadnym razie nie należy doprowadzać do ostateczności, boby się to gotowo źle skończyć... Uważałem od godziny, że szukał z tobą zaczepki... Musiałeś go czémś wpiérw obrazić, lub przynajmniej rozdrażnić.

— Chyba tém, zem mu nie chciał pieniędzy pożyczyc. Ale jakem mu miał dać pięćset reńskich, skoro nie wiem, czy mi odda?... Alboż ja wiem, jaki jest jego kredytl

— Mój kochany, między szlachtą takie obawy nie są na miejscu... Ileż to razy ci mówiłem, że dla sąsiada i przyjaciela trzeba czasem coś uczynić. Teraz widzisz, jak się na odmowie wychodzi. Wprawdzie pięćset guldenów zostaną ci w kieszeni, lecz zato kto wie, czy życia nie stracisz... O wielkiém jeszcze szczęściu będzie można mówić, jeśli wyjdiesz tylko posiekany.

Stuchającemu nie musiało to się podobać, skoro niespokojnie poza siebie się oglądając, zapytał:

— Niech pan dobrodziej radzi, co robić... Może go przeprosić? Ja to chętnie zaraz uczynię.

— Przeproszenie samo nie wystarczy, bo, jak widzisz, on już wziął na kiel. Mnieby się zdawało, że tu można tylko tém naprawić, czém się zgrzeszyło... Ja pójdę i przez miłość dla ciebie będę się starał go uprosić, by na chwilę wstąpił do twego gabinetu; a jeżeli on to uczyni, pożycz mu tysiąc reńskich. To go lepiej, niż cokolwiek innego, przekona, że masz prawdziwą dla niego sympatyą i nie chciaeś go obrazić. Gdy raz w to uwierzy, weźmie pieniądze i da się przeprosić. Położenie, mój kochany, jest tak fatalne, że ja innego wyjścia nie widzę.

— Tysiąc reńskich?—pan Goldeifer zapytał, głowę charakterystycznie przekrzywiając, przyczém jedno oko zmrużył. — Na co ja mu mam dawać tysiąc, skoro on sam żądał tylko pięćset?

— Na to, aby go tém pewniej zwyciężyć. Ty, mój Romane, masz serce i rozum, lecz brak ci jeszcze zna-

jomości życia, a przede wszystkim znajomości natury szlacheckiej. Jakbyś mu ofiarował tylko pięćset, gotówby to wziąć za nową obrazę, boby wyglądało, że przypuszczasz, iż jedynie za to się gniwał, żeś mu téj kwoty wpiérw odmówił. Przeciwnie, ofiarowując mu tysiąc, a w formie delikatnej, zresztą ja sam przy tém będę i jakoś to już zrobię, nie pozwolisz mu się nawet domyśleć, w jakim to zamiarze czynisz. Dyplomacya, mój Romciu, jest w życiu niezbędna, zwłaszcza w stosunkach z drażliwymi szlachcicami. Bez niej można się łatwo dostać na mary...

Goldeifer byłby jeszcze oponował, ale wtém na podwórzu zaturkotał wózek Czapińskiego.

— Decyduj się, bo jak raz odjedzie, klamka zapadnie!—napiérał pan Trocki.

— Niech pan dobrodziej robi, co sam chce! Ja tu zwaryuję! — elew odpowiedział i, oburącz za głowę się chwyciwszy, wpadł do swego gabinetu.

Po jakimś czasie ukazał się dzierżawca Krzywego i stryj pięknej Julii. Pierwszy był zły, zapierzony; drugi słodki, uśmiechnięty. Widoczném było, że Franuś ulegał nie tyle własnej woli, co wpływowi człowieka starszego, który umiał namawiać.

— Po co ja tam pójdę? Niech raczój on do mnie wyjdzie! — raz po raz powtarzał.

— Ależ, kochany panie Franciszku, ufaj przyjacielowi, zrób to dla mnie... Jeśli nie otrzymasz pełnego zadosyćuczynienia, sam ci będę sekundował. Możesz na mnie liczyć jak na Zawiszę.

Rad nie rad Franuś wszedł do gabinetu gospodarza domu w stroju podróżnym. Za nim wsunął się pan Trocki.

Z początku cicho tam rozmawiali; dopiéro po jakimś czasie dał się słyszeć podniesiony głos Franusia, perswadujący Trockiego i proszący Goldeifera. Powoli znów cichnąć zaczęło, nareszcie Franuś rzekł z pewnym wahaniem:

— Choćbym nawet twoje tłumaczenie uznał za wystarczające, jeszcze nie rozumiem, czemu mi koniecznie pchasz tysiąc reńskich. Ja potrzebuję tylko pięćset.

— Ależ, Franusiu, ja nie te daję, które chciałeś pożyczyć, bo ja nawet z tego gatunku pieniędzy nie mam dziś nic w kasie... Ten tysiąc wzięłem z całkiem innych kapitałów... Ja wiem, że sąsiedzi czasem potrzebują, więc może i tobie przyda się ta drobnostka... Będziesz mógł oddać, chwała Bogu; nie będziesz... co robić!

— Mój kochany, Czapiński może być czasem w potrzebie, ale wyzyskiwaczem, słowo honoru, nie był i nie będzie!

— Ależ, Franusiu, czym ja to powiedział? Ja przecie wiem, żeś człowiek honorowy. Raz jeszcze na wszystko ci przysięgam, że cię nie chciałem obrazić. Weź, Franusiu, weź!

— Wezmę, ale tylko pięćset, które w ciągu miesiąca zwrócę z podziękowaniem.


— Skoro, kochany panie Franciszku, tylko pięćset potrzebujesz, więc jest tu właśnie ktoś taki, który bez drugich pięciuset obejść się nie może — przemówił pan Trocki tonem wielce protekcyjnym. — Biorę je za tęp, a ty, mój Romciu, obciąż niemi mój rachunek. Teraz dajcie sobie buzi i wracajmy do towarzystwa, bo tamci przy taroku gotowi przypuszczać, żeście się już pozarzynali.

I, nim Franuś mógł bodaj pomyśleć, że był mimowolnym aktorem intrygi, której sam nie ukartował, już pan Trocki, ku wielkiemu zdziwieniu Goldeifera, schował pięćset guldenów do bocznej kieszeni swego surduta, poczem młodych ludzi wziął za ręce i jeszcze raz powtórzył:

— Ależ dajcie sobie buzi! Szlachta nie była i nigdy nie będzie zawzięta!

## V.

### Jeszcze nowa szlachta.

 Konrad, opuściwszy Wierzejów, udał się najkrótszą drogą prosto do domu. Wprawdzie, z Krzywego wyjeżdżając, zamierzał odwiedzić w tym dniu także pana Grzywę, wszelako obiad u Goldeifera plany mu pokrzyżował. Było już późno, gdy od stołu wstali; obierając więc drogę na Strzałkowie, nie byłby na noc do Lipińca wrócił, nocleg zaś u pana Grzywy należał do takich rozkoszy, których samo wspomnienie mogło każdego śmiertelnika dreszczem przejąć. Konrad tylko jeden raz u niego nocował i miał tego dosyć na całe życie.

Strzałkowie leżały od Wierzejowa o dobrą milę. W nich znajdowała się stara cerkiew modrzewiowa, pamiętająca dwóch ostatnich Jagielonów, sławna na cały kraj z cudownego obrazu Matki Bożej, do którego lud pobożny ciągnął procesyami z najdalszych okolic, zwłaszcza z gór i z Pokucia. Do roku odbywało się tam kilka odpustów, z których największym i najświetniejszym był odpust na Narodzenie Matki Bożej, przypadające na dzień 8 września starego stylu. Wtedy

zjeżdżało się zawsze po kilkudziesięciu księży, tak ruskich, jak łańskich, a pątników taka bywała moc, że znaczna ich część, nie mogąc we wsi znaleźć pomieszczenia, musiała pod gołym niebem obozować.

Rzadko się zdarzało, żeby deszcze popsuły tę uroczystość. Najczęściej był wtedy czas piękny, niekiedy nawet bardzo gorący,—lato bowiem, konając, lubi żegnać ziemię ciepłym uśmiechem. Ponieważ w tym roku już pod pełnię niebo się wypogodziło, więc nikt nie wątpił, że ostatni odpust w Strzałkowicach świetnie się powiedzie.

Liczył na to, więcej niż ktokolwiek inny, sam pan Grzywa, bo też i Strzałkowice kupił on głównie dla odpustów. Nie była to majątność ani rozległa, ani w urodzajnej ziemi położona; kilka większych i w lepszej glebie posiadał w najbliższym sąsiedztwie, ale ponieważ przyływ ludności był tu nadzwyczajny, bo nawet w dni powszednie ciągnęły do Strzałkowic tłumy wiernych po wodę święconą, przeto dziedzic osiągał z propinacyi niepoślednie dochody, a o to głównie się u niego rozchodziło. Chociaż pan Grzywa był rolnikiem, bo i na wsi się urodził i na ziemi dorobił się pierwszych kilku tysięcy, mimo to nie miał on do roli szczególniejszego zamiłowania i przy każdej sposobności powtarzał, że gospodarstwo jest zawodem „ciężkim i niewdzięcznym.” Wzrok jego był skierowany na rzecz inną, mianowicie na przemysł rolniczy, do którego zaliczał: wyrób wódki i piwa, wypas wołów, wyszynk napojów gorących, nakoniec oszczędność w administracyi. Nieraz też upewniał znajomych, że gdyby nie „kieliszek, nie wole ogony i nie ścisła rachunkowość, musiałby pójść w świat z torbami.”

Ledwie w Strzałkowicach zamieszkał, postawił natchmiast gorzelnię, niedługo potem browar. Za dawniejszego właściciela był we wsi tylko jeden Żyd i ten siedział na arendzie; teraz namnożyło się ich jak grzybów po deszczu. Ci zajmowali się kramarstwem;

tamci skupowali zboże, jaja, masło, co chłop miał; większość atoli starała się uzyskać od nowego dziedzica pozwolenie na wyszynk gorących napojów. W ten sposób, w ciągu niespełna roku, powstało szynków kilkanaście, rozrzuconych po wszystkich drogach i ścieżynkach. Niektóre z nich stały nawet daleko w polu, u samej granicy cudzych posiadłości. Były to wabiki na włościan obcych, kupujących u siebie wódkę droższą i nie taką mocną jak ta, którą sprzedawali arendarze pana Grzywy. Przy każdej karczmie stał krzyż, jakby obowiązkiem jego było odżegnywać złego ducha, który tu w zмовie z Żydem na złą drogę biednych ludzi sprowadzał i najczęściej gubił. Gdy ktoś panu Grzywie zrobił raz uwagę, iż nie godzi się w ten sposób świętości profanować, tenże odrzekł spokojnie:

— Skoro jestem właścicielem miejscowości cudami wstawionój, więc chyba niedowiarkiem nie będę...

W dniu, w którym pan Trocki przygotowywał w Wierzejowie obiadek, nie tyle dla gości, co dla siebie, pan Bartłomiej Grzywa w popielatym kubraku i w czapce stał po południu na drodze niedaleko dworu i, ćmiąc fajeczkę na krótkim cybuszku, przypatrywał się ludziom, ciągnącym z wszystkich stron, to pieszo, to wozami, na odpust jutrzejszy. Chłopów nie było między nimi tyle, co niewiast. Kobięty miały po większej części na głowach białe rańtuchy, bądź nakształt zawojów upięte, bądź po plecach i ramionach spuszczone; niektóre postroiły się także w granatowe bekiesze z czerwonymi klapami i ponsowe spódnice; góralki zaś z nad górnej Bystrzycy przywdziały serdaki baranie i fartuchy tak jaskrawemi niemi wyszywane, że zdaleka wyglądały niby kobierce wzorzyste. Te mają na szyjach paciorki różnobarwne, tamte na sposób wschodni monety srebrne, nawet złote. Na jednych wozach było cicho; na drugich toczyła się pogadanka, nie tyle wesoła, co krzykliwa; na niektórych pątnicy śpiewali pieśni nabożne.

Pan Grzywa wciąż stoi, ćmi dalej fajeczkę i oczkami malutkimi, które nakształt dwóch świderków wydostają się z jego policzków tłustych a obwisłych, spogląda na tłum pobożny; bystry zaś jego umysł zyski oblicza, jakie z przyjazdu tych ludzi wyciągnie. Nagle ujrzał coś takiego, co go bardziej niż wszystko uderzyło. Teraz głowę pochylił, aż fajeczka o piersi mu się oparła i zaczął bystro w jeden punkt się wpatrywać.

Pola dworskie były od drogi oddzielone rowem dość szerokim i głębokim, lecz że na drodze gliniastej było czasem bądź błoto wielkie, bądź, jak teraz, pył po kostki, przeto pieszo idący zwykle rów przeskakiwali i szli jego drugim brzegiem. W ten sposób na polu dworskiem zrobiła się wążka, mocno udeptana ścieżynka. Pana Grzywę wielce to irytowało, kazał więc po kilka razy do roku stawiać na obu końcach tej ścieżynki wysokie żerdzie z wiązkami słomy u szczytu, na znak, że przechód tamtędy był wzbroniony. Niewiele to jednak pomagało. Po kilku dniach żerdzie gdzieś przepadały, a wieśniacy, nie mogąc w sobie przewyciężyć starego nałogu, dalej ścieżką chodzili.

Właśnie teraz pan Grzywa zobaczył, że jakiś chłop, rów przeskoczywszy, puścił się drogą niedozwoloną prosto ku niemu. Wpatrywał się weń uporczywie, przestał ćmić fajeczkę i z wielkiej irytacji zębami— a miał jeszcze wszystkie zdrowe—jął gryźć rogową pipkę u cybuszka.

Ubiór wieśniaka wskazywał, że nie należał on do pątników, lecz pochodził z okolicy. Miał na głowie kapelusz słomiany, na sobie zwykłą płótniankę i także szarawary, po których opadała koszula rzemieniem przepasana. Był bosi. Zato pod pachą niósł parę butów nowiusieńkich, kupionych prawdopodobnie w najbliższém miasteczku, gdzie tego dnia jarmark się odbywał. Pan Grzywa, mimo że oko miał doskonałe, nie mógł go poznać. Widocznie nie pochodził on z żadnej

jego wioski, w tych bowiem znał wszystkich mieszkańców, tak dobrze po nazwisku, jak i po imieniu.

Gdy chłop do niego się zbliżył, wyjął z ust fajeczkę i zawołał:

— Hej! Gospodarzu! Wy z kąd?

Chłop stanął i zdjął kapelusz.

— Ze Świetlanki, proszę pana—odpowiedział.

— Wracacie z jarmarku?

— Z jarmarku.

— A dobry był jarmark?

— Ta zwyczajnie jak jarmark, proszę pana.

— To wy pewnie na jarmarku te buty kupili?...

Pokażcie mi je, gospodarzu! Zobaczę, czyście się nie oszukali.

Chłop rów przeskoczył i, do pana Grzywy się zbliżywszy, buty mu podał. Ten je wziął i uważnie wkoło obejrzał.

— Nieźle buciska, wcale nieźle — rzekł. — Pewnieś dał trzy papierki.

— Półczwarta, proszę pana.

— Półczwarta? To trochę drogo... ale mniejsza o to, właśnie takich potrzebuję dla mego Wasyla. No, bądź zdrow, mój kochany, i pamiętaj na drugi raz nie chodzić po dworskiem polu, bo to nie wolno. Wam się zdaje, że co pańskie, to i chłopskie. A czy to ja po twoim ogrodzie chodzę, he? Dziś za „sztraf” wezmę buty; a jakbyś jeszcze raz szedł tamtędy, gdzie nie wolno, musiałbym cię oddać do sądu.

To rzekłszy, wziął buty pod pachę, fajeczkę napowrót w zęby wetknął i krokiem wolnym ruszył ku dworowi. Chłop stał odurzony. Dziedzic strzałkowicki coś do niego mówił, bo przecie był żyw i nie spał, z tego jednak, co usłyszał, nic nie zrozumiał. Dopiero gdy pan Grzywa znajdował się już przy samej bramie, widok czerwonych podeszew u butów i świecących podkówek na obcasach ocucił go z odrętwienia. Rzucił się teraz za odchodzącym i jął błagać:



— Panie wielmożny, oddajcie mi butyl... Ja nie mam czasu na procesa! Ze Świetlanki cztery mile do sądu! Jaśnie panie, zlitujcie się! Oddajcie mi buty, bo to krzywdal!

Ten, do którego te słowa były skierowane, udawał, że nie słyszy. Szedł dalej krokiem miarowym; a gdy bramę minął, do pierwszego parobka, którego zobaczył, rzekł:

— Odpędź tego gamonia, co za mną idzie!

I, jakby się nic nie stało, szedł przez podwórze ku kancelaryi, znajdującej się w lewém skrzydle dworu.

Rezydencya pana Grzywy była nad wszelki wyraz zaniedbana. Na podwórzu leżała słoma, kawałki drzewa, złomki cegły, resztki gliny i wapna, które tu wyrzucano przy stawianiu nowych pieców we dworze, strzępki starych szmat i papiery podarte. W jesieni i na wiosnę, gdy deszcze lunęły, lub śniegi topniały, tonęło to wszystko szczęśliwie w błocie bezdenném; w zimie śnieg nakrywał podwórze—i wtedy wyglądało ono bardzo przyzwoicie; zato w lecie, podczas silnego wiatru, trzeba było oczy ręką przysłaniać, gdyż wszystko do nich leciało: słoma, plewa, kurz i wapno rozpylone.

Po drugiej stronie podwórza stały budynki gospodarskie z gnijącemi strzechami, pełne dziur i ze wszystkich stron drągami popodpiérane. Ilekroć który z nich burza zwała, a zdarzało się to kilka razy do roku, pan Grzywa odbudowywał go zawsze z dawnego materiału i po dawnemu podpiérał. Jeśli więc gdzie, to w Strzałkowicach feniksy odradzały się z własnych popiołów. Gdy kto pana Grzywę zapytał, czemu raz nie postawi budynków nowych i trwałych, spokojnie odpowiadał:

— Kto się buduje, ten się rujnuje; a kto podpiéra, ten zbiera.

Dla téj zasady praktycznej z takim był pietyzmem, że nawet swego dworu dotąd nie uporządkował. Objął

go po bankrucie, w stanie najgorszym, a że przez następnych kilka lat nic w nim nie robił, więc teraz chyba on jeden mógł w nim mieszkać.

Był to budynek murowany, parterowy, rozległy, ale jak wyglądał! Tynk był na nim wszędzie poodbijany, w wielu miejscach sypały się nawet cegły strupieszale—ponieważ przez dach gontowy, gęsto podziurawiony, ściekała na mury woda deszczowa, zostawiając po sobie ślady zielonawe. W oknach połowa szyb była wytłuczona. Tu zastąpiono je papierem, gdzieindziej deszczułkami; w oknie zaś, należącym do kancelaryi, tkwił spory kawał stariej kołdry, w którą przezorny ekonom włożył wiązkę słomy, by, cały otwór wypełniając, tém lepiej się w nim trzymała. Drzwi nie miały ani zamków, ani klamek; główne od sieni podpięramo na noc prózną beczułką; im przeciwległe, te, które na ogród wychodziły, umacniano maślnicą. Nawet trzy stopnie drewniane, po których wstępowało się od frontu, tak przegniły, że tylko z największą ostrożnością mógł gość dostać się po nich do drzwi wchodowych. Wogóle cały budynek robił wrażenie rudery, skazanej na zagładę, w której mogły z przyjemnością mieszkać jedynie sowy i nietoperze.

Wewnątrz ledwie dwa pokoiki, zajęte przez gospodarza domu, i trzeci, zwany gościnnym, w którym obecnie mieszkał jego synowiec, Antoś, wyglądały jako tako; te przynajmniej miały zamki, piece i podłogę nie całkiem zgniłą. Zato w innych znajdowały się po większej części bezwartościowe rupiecie gospodarskie; zaś w ostatnim, tuż przy kancelaryi, stało kilka beczulek z wódką, przeznaczoną dla robotników.

Ogród w tyle domów był całkiem opuszczony. Ponieważ płot, co go dawniej opasywał, był przerwany w kilku miejscach, przeto ze wsi ciągnęły tu gęsi, kaczki, niekiedy nawet wieprzki i, ciekawością wiedzione, zachodziły aż do samego dworu, by zblizka przypatrzeć się jego wspaniałym apartamentom. Pan Grzywa

wielce się tém irytował; nierogaciznę kazał zajmować, co atoli nie zawsze się udawało; wieprzki bowiem, widząc grożące im niebezpieczeństwo, uciekały, kwicząc przeraźliwie; ptactwo sam rozpędzał, nawet zabijał—jednakowoż gwałtowne te środki nie wiele pomagały i rzeczy biegły dawną koleją.

Zupełnie inaczej, niż dwór i budynki folwarczne, wyglądały gorzelnia z wołownią i browar, stojące nad stawem dużym a rybnym. Tam było wszystko nowe, porządne, wygodne. Tam i pan Grzywa najchętniej przebywał, bo, jak sam mawiał, tym bóstwom trzeba się najniżej kłaniać, z których się żyje.

W kancelaryi, do której teraz wszedł, zapełnionej najrozmaitszemi rzeczami, jak worki, sznury, kosy, łańcuchy, stare żelaztwo i tym podobne, siedział za stołem pisarz prowentowy, chłopak młody, gołowąsy, ale mający minę buńczuczną. Ten mierzył dumnie dwóch wieśniaków, przy drzwiach stojących, i dawał na ich prośby odpowiedzi krótkie a harde. Na widok wchodzącego dziedzica porwał się ze stołka. Pan Grzywa siadł na sofce drelichowej, która w rogu stała, czapkę na tył głowy nasunął, buty na kolana sobie położył i, na wieśniaków spojrzawszy, sucho zapytał:

— Czego oni chcą?

Chłopi zbliżyli się, i w rękę go pocałowawszy, do nóg mu się skłonili.

— Przyszli po całą „porcyą,” proszę wielmożnego pana dziedzica—pisarz odpowiedział.

— Po całą? Ho! ho! czego im się zachciéwał! Wam się zdaje, że piéniędz tak samo łatwo dać, jak wziąć. Dobrze się jeden z drugim wpiérw napocisz, nim zbierzesz piéćdziesiąt papierków. Dziś piéniędz drogi!

— Ta my odrobimy, proszę wielmożnego pana dziedzica—rzekł starszy i znów się obydwu skłonili.

— Każdy z was, gdy bierze, przyrzeka odrobić, a potem trzeba go łapać, grabić, za włosy na łan ciągnąć i jeszcze Bóg wie co wygaduje. Zresztą, na co

wam pieniędzy? Przecież teraz, po żniwach, chłop ma co sprzedać.

— Jabym chciał dług Markowi zapłacić — rzekł jeden.

— Ja targuję konie u Dmytra i akurat brakuje mi pięćdziesiąt papierków—dodał drugi.

Pan Grzywa nałożył fajeczkę, zapalił, chwilę podumał, potem zapytał:

— A wiecie wy, na jakich warunkach można u mnie dostać pieniędzy? Wyście u mnie jeszcze nie brali.

— Ta ktoby, proszę wielmożnego pana, nie wiedział. Przecie ze wszystkich wsi tu biorą.

— Komu daję całą porcyą, to jest pięćdziesiąt reńskich, ten co tydzień za procent dwa dni odrabia, a po roku odrabia kapitał; żebym zaś nie potrzebował się z żadnym procesować, więc, kto pieniądze bierze, musi mi w zastaw oddać swój grunt. Ale nie na tém koniec. Kto wtedy na robotę nie przyjdzie, gdy go wołam, jeno kiedyindziej, temu za każdy zły dzień odtrącam drugi dobry, jako „sztraf.”

— Ta my to wszystko wiemy, proszę wielmożnego pana dziedzica. Przecie tu tak zawsze.

— A przystajecie?

— Ta byśmy przystali, gdyby...

Tu chlōpi po sobie spojrzeli, ale żaden z nich nie dokończył.

— Gdyby co?—pan Grzywa sucho podchwycił.

— Gdyby nie procent... Nam się widzi, proszę wielmożnego pana, że on bardzo wysoki.

— Wysoki? Alboż wy go pieniędzmi płaciecie? Czy ty myślisz jedena z drugim, że twoja robota co warta? Przecie Pan Bóg dał ci ręce za darmo; a jak cię nie zawołam, to i tak będziesz w chałupie leżał do góry brzuchem. Ale kiedy mój procent wysoki, to idźcie gdzieindziej po pieniądze.

Po tych słowach wstał i, do stołu się zbliżywszy, zaczął na nim przerzucać, jakby w nich czego szukał. Chłopi spoglądali po sobie, skrobali się w głowę; ukradkiem zerkali na pisarza, który, stojąc za szérokiemi plecami pana Grzywy, dawał im ręką jakieś znaki; nakoniec, zebrawszy odwagę, przystąpili do dziedzica, by go znów w rękę pocałować i do kolan mu się skłonić.

— Ta niech już i tak będzie, prosimy łaski wielmożnego pana—starszy z nich przemówił.

— Jużście się namyślili?

— Ta już.

— Jabym was jednak prosił, byście się nad tém, co robicie, dobrze zastanowili, bo ja nikogo nie namawiam i nie chcę potem słuchać lamentów.

— My już, proszę wielmożnego pana, dobrze pomyśleli, bo nam bardzo potrzeba.

— Skoro tak, więc pokłońcie się panu pisarzowi, żeby jeszcze dziś zapisy wygotował, a potem pieniądze dostaniecie.

Chłopi pocałowali w rękę dziedzica, pisarzowi do stóp się skłonili, a z kancelaryi wychodząc, Bogu w duchu dziękowali, że tak gładko powiodło im się ubić tak korzystny interes.

Gdy drzwi za nimi się zamknęły, pan Grzywa podał buty pisarzowi i rzekł:

— Dasz te buty Wasylowi, bo właśnie pojutrze rok mu się kończy, a za to potrącisz mu z zasług sześć reńskich.

— Mnie się zdaje, proszę wielmożnego pana dziedzica, że Wasylowi, prócz pensyi i ordynaryi, należy się rocznie także jedna para butów.

— To źle, mój kochany, że ci się tylko zdaje, a dokładnie nie wiesz, jak jest. Wasyl w rzeczy samój dostaje parę butów, ale ponieważ za „sztrafy” z roku ubiegłego ma właśnie tyle zapłacić, ile buty kosztują, więc roczne buty całkiem już stracił, a te otrzyma w pieniądzech. Rozumiész?

— Rozumiem, proszę wielmożnego pana dziedzica—odpowiedział pisarz i, wzięwszy buty, zaczął je pilnie oglądać.—Doskonałe! Wielmożny pan dziedzic dał pewnie pięć papierków.

— Może dziesięć razy tyle! — odrzucił pan Grzywa.—Wziąłem je od tego gałgana, który mi rok w rok tratuje przy drodze to rzepak, to pszenicę, to żyto i w dodatku kradnie mi wszystkie żerdzie, które na ścieżce każę wbijać. Szczęście jednak wielkie, że go choć raz złapał. Niech mnie teraz procesuje... Zjé wpiérw dyabła rogatego, nim co wskóra; a choćby nawet wygrał, to tyle się nachodzi, tyle na proces straci, że setnego będzie ostrzegał, by po mojem polu nie chodził. Niech im się zdaje, że moja ziemia jest zapowietrzona!... A co tam z grochem słychać?

— Nie mogło wypaść lepiej, proszę wielmożnego pana dziedzica. Na każdym worku przybyło pięć kilogramów, więc na stu mamy pięć worków zarobionych.

— A Żyd nie pozna, że moczony?

— Prędzéj mu ślępie wylézą, niż pozna. Zresztą jam go nie moczył, jeno kropił, i to w nocy, a prócz Iwana nikogo przy tém nie było. Ten zaś nie powie, choćby go na rożnie piekli. Żyd będzie święcie wierzył, że groch był taki sam wtedy, gdy go kupował, i gotów sobie teraz z rozpaczony pejsy wyrwać.

— Niech sobie wyrywa, bylem ja miał pieniądze. Dość się oni chrześcian naoszukują, czas więc dobrać się i nam do ich skóry. A z wódką co?

— Z największój kadzi wytoczyłem ukradkiem całe wiadro, a z mniejszych zaś po pół wiadra i do wszystkich tyleż wody dolałem. Żyd pozna dopiéro na miejscu, że wódka słabsza, i będzie wierzył, że mu to chłopci w drodze urządzili. Wielmożny pan dziedzic może zawsze na mnie liczyć.

— Łebski z ciebie chłopak! — rzekł pan Grzywa i, sięgnąwszy do kieszeni, wyjął z niéj garść drobnój monety. W piérwszój chwili chciał wszystko dać pisa-

rzowi, prędko atoli hojność powściągnął i, pięćdziesiąt krajcarów odliczywszy, podał takowe Jaśkowi; resztę wsypał nazad do kieszeni.—Masz na tytuń, a jeśli będziesz nadal swemu panu wiernie służył, możesz się spodziewać lepszej pensyi. Ja chleba nikomu nie żałuję, ale trzeba, żeby ci, których karmię, nietylko o sobie pamiętali, lecz i o mnie trochę... Lisińskiego jakoś nie widać.

— Powinienby rychło przyjechać, bo, odjeżdżając, mówił, że wróci zaraz po południu — odpowiedział pisarz i za hojny dar dziedzica w rękę go pocałował.

— Miał on jeszcze jaki interes do miasta, prócz terminu?

— Nie wiem... ale pewnie, że musiał mieć, skoro tak długo siedział.

Pan Grzywa wpatrzył się w pisarza oczkami świ-drującemi, jakby pragnął zbadać, ażali ten przed nim czego nie ukrywa; nie dostrzegłszy wszakże na jego twarzy nic takiego, coby w nim mogło podejrzenie obudzić, rzekł poważnie:

— Idź teraz, mój Jaśku, do gorzelnii i pokręć się trochę między „finanserami.” Rozumiesz? Może zaczniecie grać; a jakbyś co przegrał, to ci zwrócę... nie graj tylko wysoko, bo dziś czasy ciężkie. Chociaż ja się tam o ciebie nie boję: ty z pewnością wygrasz i na wydatek mnie nie narazisz. No, idź, Jaśku, idź i zabaw się z nimi; jednakowoż równocześnie pamiętaj, co do ciebie należy.

Jasiek z radości aż podskoczył, raz jeszcze chlebo-dawcę w rękę pocałował, chwycił kapelusz i cwałem pobiegł do gorzelnii, gdzie kilku strażników skarbo-wych, mających nadzór tak nad nią, jak nad browarem, stale mieszkało.

Pan Grzywa usiadł potem przy stole, założył okulary i, wzięwszy kalendarz, zaczął w nim czegoś szukać. Nie trwało to długo. Wkrótce drzwi się rozchyliły,

i cichutko, na palcach, z nieodstępnym uśmiechem na twarzy pucułowatěj, wsunął się pan Lisiński.

— A! to ty! Jak się masz? — pan Grzywa zawołał.—Wszedłeś, nie przymierzając, jak złodziej.

— Myślałem, że pan dziedzic śpi... bałem się go zbudzić...

— Nie było dziś czasu na drzémkę, bo mam głowę jak trybunał lubelski. Co słysząc w mieście?

— Nic nowego... kazali się wszyscy kłaniać panu dziedzicowi — odpowiedział zapytany, do gospodarza krzesło sobie przysuwając.

Gdy usiadł, nachylił się półciałem ku niemu i, cały weń zapatrzony, zdawał się jakby łaknąć jego słów i spojrzeń.

— Niech ich tam dyabli porwą z ich ukłonami! W oczy się kłaniają, a poza oczy toby człowieka w łyżce wody utopili. Nie pytałem téż o ich ukłony; chciałem się jeno dowiedzieć, co było na terminie i czy niema dla nas czego ważnego.

— Termin wypadł nadspodziewanie dobrze. Hryć nie stanął, wniosłem tedy, by go zasądono *in contumaciam*, co téż niewątpliwie nastąpi. Co zaś do nowin, to chyba ta będzie najważniejsza, że pszenica i żyto podskoczyły o dwa guldeny na parze. Mówił mi Mendel, że nawet rząd zakupuje teraz zboże do magazynów wojskowych.

— Chwała Bogu! w takim razie cena jeszcze się podniesie!—zawołał pan Grzywa uradowany.—Jam wciąż powtarzał, że do tego musi przyjść i nie darmom trzymał wszystko zboże zeszłoroczne. Kto wie, czy jeszcze wojny nie będzie!

— A teraz pan dziedzic sprzeda? Mendel przyjedzie tu dziś lub jutro rano.

— Niech się daremnie nie fatyguje. Nie sprzedam mu ani ziarneczka.



— A jabym przeciwnie myślał, że dziedzic dobrodziej powinien właśnie teraz coś sprzedać. Choć trzy-sta par, jeśli nie więcej.

— Przyznaj się, Lisiński, obiecał ci Mendel co za to?

Pan Lisiński poruszył się niespokojnie; w jego oczach błysnęło coś nakształt gniewu. Pan Grzywa tego nie dostrzegł, gdyż gdzieindziej patrzył. Prędko jednak pan Lisiński zrobił się jeszcze słodszy i, ręce zaciągając, rzekł:

— Wolne żarty, dziedzicu dobrodziej, wolne żarty! Że ja się w takie rzeczy nie bawię, o tém pan dziedzic jest sam najlepiej przekonany... Moja propozycja jest bezinteresowna, bo ją dyktuje szczerą życzliwość i głęboka wdzięczność dla dziedzica dobrodziej... Co radzę, ma podstawę, nie jestem bowiem młodzikiem i szaleństw nie popełniam. Teraz cena zboża podskoczyła, bo rząd coś kupuje, a i młyny robią zapasy; lecz gdy one swoją potrzebę pokryją, gotowa cena znów spaść. Łatwo też być może, że pod Boże Narodzenie będzie zboże tańsze, niż jest dziś. Co do wojny, na tę się bynajmniej nie zanosi. Gdyby więc na mnie przyszło, sprzedałbym zaraz choć coś... Zresztą możnaby zrobić jeszcze jeden interesik... Pan dziedzic, wydając rok temu synowicę, zamiast obiecanych dwóch tysięcy w gotówce dał jej mężowi terminatkę na dwieście par; lecz że w naszej pszenicy zeszłorocznej jest trochę zrości, przeto panu Krzyckiemu nie ofiarowywali Żydzi ani dziesięciu reńskich za parę i on po dziś dzień terminatkę ma u siebie. Teraz możnaby ją za dwa tysiące od niego odkupić, a za dwa tysiące czterysta odprzedać.

Pan Grzywa w czoło się uderzył.

— Wiész co, Lisiński, z ciebie nie głupi chłop! — zawołał. — Na te ciężkie czasy dobre i czterysta reńskich, zwłaszcza że ani wiem, z kąd do tego przyszedłem, żem za Karolką obiecał dać dwa tysiące. Ale wszystkiemu Darski winien! Spoił mnie wtedy i na

obietnicę wyciągnął, bo ten Krzycki to jakiś jego krewniak. Doskonale! Jak tylko Mendel przyjedzie, zaraz się umówimy i być może, że mu jeszcze sto par dodam, bo to, coś o młynach powiedział, ma także sens. Do Krzyckiego poszlę jeszcze dziś Jaśka z pieniędzmi.

— Mojm zdaniem, dla dziedzica dobrodzieja nie wypada w ten sposób tą sprawą kierować. Jakby świat o tém się dowiedział, gotówby Bóg wieć co z tego zrobić, bo ludzie mają złe języki. Przeciwnie, jeśli ja się tego podejmę, załatwię to tak cichutko, że nikt o tém nie będzie wiedział. Sam Krzycki nie powinien się domyśleć, kto właściwie wykupił u niego terminatkę. Osobistość stojąca na widoku, jak dziedzic dobrodziój, nie może się narażać. Jeśli źle wypadnie, choć tego nie przewiduję, niech lepiej odium na mnie pada, niż na męża, którego czczę. Dziedzic dobrodziój ma jeszcze przed sobą wielką przyszłość.

Pan Grzywa, słów tych słuchając, robił się coraz poważniejszym. Ręce złożył na brzuszku okrągłym, oczy przymknął, usta wydał i, brodę na piersiach oparwszy, dumał. Pan Lisiński uważnie się w niego wpatrywał, a po chwili tak mówił dalej:

— Od Ochsendorfa dowiedziałem się przypadkiem, że prezydentowa ma w tym roku wielki kłopot z sianem, którego kilka wozów będzie jeszcze dla swoich krów potrzebowała; komisarz zaś straży skarbowej wprost mi powiedział, że musi sobie kupić czterdzieści worków owsa. Pytał mnie nawet, po czemu owies sprzedajemy; nie sposób go więc było nie zrozumieć.

— Mój Lisiński, jak tak wszystkich zaczniesz rozumieć, tom gotów niedługo zbankrutować—pan Grzywa przerwał, na mówiącego oczu nie podnosząc.

— Zrobi dziedzic dobrodziój, co uzna za stosowne; ale mnie się zdaje, że ręka rękę myje... Ochsendorfowi przyrzekłem też na chybił trafił, że pan dziedzic przyjmie mu na zimowlę trzy pary młodych wolików, bo

bez Ochsendorfa do prezydenta niktby nie trafił; a Tusowiczowi obiecałem dwadzieścia korcy ziemniaków.

— A mnie na co Tusowicza! Przecie podatki płacę regularnie.

— Prawda, lecz Tusowicz, jako inspektor podatkowy, od którego tysiące zależą, jest osobą wielce wpływową, nawet potężną, z którą trzeba się liczyć... Zresztą zdaje mi się, że obywatel, mający tak rozległe jak dziedzic dobrodziejstwa interesu, nie może pewnych ludzi lekceważyć... Choćby się nie chciało, trzeba się ich trzymać, bo nie wiadomo, co jutro przyniesie.

Pan Grzywa czas jakiś pomrukiwał, jakby z sobą samym wiódł naradę.

— A o wyborach co mówią?—nagle zapytał.

Lisiński łypnął oczkami, weselęj się uśmiechnął i prędko odrzekł:

— Do Rady powiatowej odbędą się za dwa miesiące... później do Sejmu i do Rady państwa.

— Mnie tam wybory polityczne nie wiele obchodzą, bom nie polityk; ciekawym jednak, jaką będziemy mieli radę i kto zostanie naszym marszałkiem. W powiecie nieporządek straszliwy, drogi pełne wybojów, mosty dziurawe jak przetaki; niedawno temu pod Dąbrową oba moje konie o mało sobie wszystkich nóg nie połamały; a równocześnie chłopstwo tak się rozszalało, że w biały dzień robi ci ścieżki po polach i pszenicę tratuje. Jeżeli nie dostaniemy marszałka energicznego, przyjdzie emigrować z powiatu.

— I jam tego zdania, dziedzicu dobrodzieju.

— Więc powinniśmy pomyśleć, kogo wybrać.

— Pewnie, że powinniśmy się tém gorliwie zająć...

— A jak ci się zdaje, Lisiński, kogo wybiorą?

— Alboż mogę to przewidzieć!... Co do mnie, sumiennie wyznaję, że w całym powiecie jest tylko jeden człowiek, godny piastować to ważne stanowisko; lecz czy ten będzie wybrany, to jeszcze pytanie; ten bowiem

nie agituje za sobą, a bez agitacyi musi dziś upaść sprawa najpiękniejsza.

— Kto to taki?

— Dziedzic dobrodziej.

— Kto? Ja?

— A tak... Jest to moje najgłębsze przekonanie.

W pokoju zrobiło się cichuteńko. Pan Grzywa nagle oczy przymknął i zdawał się nad tém zastanawiać, co właśnie usłyszał. A może propozycja przyjaciela poruszyła tylko stare pragnienia i nadzieje, które dotąd ukrywał troskliwie na dnie swojej duszy—więc teraz umyślnie na niego nie patrzy, by nie zdradzić się niepotrzebnie ze swoją radością... Pan Lisiński wlepił wzrok przenikliwy w jego twarz obrzękłą i stara się pochwycić każde jój drgnienie. Od tego zawisło jego dalsze postępowanie... Śnać nie dostrzegł w niej nic złego dla swoich planów, skoro po wązkich ustach przebiegł mu uśmiech, dający wiele do myślenia, przyczem palcami prawej ręki zaczął nerwowo przebieierać, co u niego było zawsze znakiem nieomylnym, że rwał się do działania.

Pan Grzywa długo tak przesiedział, nareszcie jakby od niechcienia bąknął:

— Nigdybym się o to nie kusił.

— Czemu, dziedzicu dobrodzieju, czemu?

— Bo szlachtaby mnie za to w łyżce wody utopiła. Ona umie majątek trwonić, ale pracować nie chce, i tymi, którzy w pocie czoła grosza się dorabiają, gardzi. Znam ja dobrze tych paniczów. Wolą oni furfantów, niż ludzi statecznych.

— Próżne obawy! Na wszystko są sposoby!—odpowiedział pan Lisiński, zaciągając ręce z zadowoleniem. — Wprawdzie nie da się zaprzeczyć, że szlachta koso na tych patrzy, którzy pracą i zapobiegliwością majątek robią, ale nie jest ona znów aż tak uparta, iżby jój nie można pogodzić... Byle się do niej wziąć zrećnie a energicznie, wszystko się uda. Przecież pan

dziedzic przyjąłby taki urząd jedynie dla dobra powiatu.

— Ma się rozumieć! Alboż ja dla siebie czego potrzebuję? Ale powiat jest straszliwie zaniedbany... Najpierw postawiłbym most pod miastem.

— Myśl genialna, dziedzicu dobrodzieju! Gdybyśmy mieli most, komunikacja byłaby niezmiernie ułatwiona.

— Potem zająłbym się budową szosy powiatowej.

— Bez takiej szosy prawie żyć nie można. Ileż to razy pan dziedzic jedynie dlatego sprzedaje o guldena taniej na parze, że transport zboża po naszych złych drogach i przez prom jest niezmiernie uciążliwy.

— Robiłbym i inne rzeczy, bo z pewnością nie byłbym marszałkiem malowanym. Ale ja tego kłopotu nie pragnę i pod żadnym warunkiem nie będę o tém myślał.

— To źle, panie dziedzicu, bardzo źle! Chociaż świat nie wiele wart, mimo to nie należy się do niego zrażać, bo gdyby wszyscy mężowie zdolni, pracowici i zasłużeni usuwali się od działania, władza dostawałaby się zawsze w ręce takich, którzyby jęj z pewnością na najgorsze używali... Prywata, ohydna prywata, wzięłaby wtedy górę!... Dla dobra powszechnego, *pro publico bono*, jak mawiali Rzymianie, trzeba się umieć zaprzecć wszystkiego, nawet wrodzonej skromności, która, acz jest cnotą, jednakowoż czasem, gdy kto w niej przesadza, staje się grzechem... Bo zechciemy się tylko temu, o czém wpiérw mówiłem, bliżej przypatrzeć. Kto w powiecie najbogatszy? Pan Bartłomiej Grzywa.

— Tylko nie przesadzaj, mój kochany. Goldeifer ma może dwa razy tyle, co ja.

— Już ja się o to nie lękam, dziedzicu dobrodzieju!—odparł pan Lisiński ze słodkim uśmiechem, klepiąc gospodarza po kolanie. — Chociaż go nie obliczałem, wiem, że nie ma tego, co pan dziedzic, majątku; ale gdyby miał nawet dwa razy tyle, toby i w tym razie

nie mógł się kusić o pierwsze stanowisko w powiecie. Przecież świat wie, kto go rodzi i z kąd pochodzi... Ale idźmy dalej. Kto w powiecie bardziej zasłużony, niż dziedzic dobrodziej? Choćbym nie wiedzieć jak szukał, nie znalazłbym ani jednego, któryby pod tym względem mógł iść z dziedzicem bodaj w porównanie... Kto się ziemi pozbywa, jest zbrodniarzem; przeciwnie, kto ją naszym wrogom wydzięra, ten jest mężem prawdziwie zasłużonym! A kto w całym powiecie bardziej niż dziedzic dobrodziej dba o ziemię?

— O! że o nią dbam, to każdy widzi. Zacząłem od niczego; gdym z domu ojca wyjeżdżał, miałem tylko dziesięć palców zdrowych, bywałem na wozie i pod wozem, ekonomowałem przez lat dziesięć, drugie tyle przesiedziałem w gorzelniach jako ich dozorca, rozmaitych dziedziców dosyć się po łapach nacałowałem, a jednak wszystko się przetrwało i dziś coś jest...

— Bo Pan Bóg uczciwiej pracy pobłogosławił — Lisiński dokończył. — Wiem ja nie od dziś, że dziedzic dobrodziej wiele przeszedł, i dlatego o przeszłości proszę więcej nie wspominać, zwłaszcza przy obcych; ludzie bowiem mają złe języki i rzecz najpiękniejszą gotowi każdej chwili przenieć... Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Dziś powinniśmy mieć uwagę zwróconą jedynie na terażniejszość... Męża pracowitego, niż dziedzic dobrodziej, także nie znajdzie.

— Że pracować umiem, to chyba dla nikogo nie jest tajemnicą. Pierwszy codzień wstaję, a ostatni spać się kładę. Gdyby nie praca, nie miałbym dziś kawałka chleba. Ale gdzie tam ludzie to uznają!... Oni wolą próżniaków, bo sami próżnują.

— Tak źle nie jest... Prawda i cnota, jakkolwiek długo muszą walczyć, w końcu jednak zawsze zwyciężają! — zawołał pan Lisiński patetycznie i zaraz dodał: — A rozumek, dzięki Bogu, mamy także niepośledni... Ileż to razy, w sprawach ważnych a zawiłych, w których, mimo wielkiego natężenia umysłu, nikt nie umiał się

zorientować, dziedzic dobrodziej odrazu w sedno trafił! Każdej chwili jestem gotów przysiąc, że, odkąd mam szczęście znać pana dziedzica, nie zdarzyło się ani jeden raz, żeby jego głęboki rozum wahał się i potrzebował innych prosić o pomoc. Zawsze decydował się sam, równie szybko jak trafnie. Ale ten wielki rozum jest równocześnie źródłem zgryzot dziedzica dobrodzieja. Świat jest już taki, że żadnej wyższości nie chce uznać, a ktokolwiek wzniesie się bodaj o jedną piędź ponad swoje otoczenie, ten powinien być na to przygotowany, że ludzie zawistni będą się starali zgnieść go i podeptać; a jeśli im się to nie uda, przynajmniej go spotwarzają...

— Niech ich dyabli biorą! Ja sobie nic z nich nie robię!—zawołał pan Grzywa i machnął ręką.

— Słowa pana dziedzica są uderzającym dowodem siły męskiej i szlachetnej determinacji; ale ponieważ w chwili obecnej ucierpiałyby na tém niezmiernie sprawa publiczna, pan Grzywa bowiem, usunąwszy się od działania, już przez to samo pozwoliłby nadal tym wicherzyć w powiecie, którzy dotąd myśleli nierównie więcej o prywacie niż o dobru powszechném, przeto tak dobrze honor jak sumienie nakazują mi nietylko radzić, lecz nawet błagać dziedzica dobrodzieja, by tym razem zrzucił pychę z serca i, przez wzgląd na powiat cały, postawił swoją kandydaturę na marszałka.

— Daj mi pokój, Lisiński! Jakby mnie sami wybrali, możebym przyjął ten ciężki obowiązek, choć wątpię; ale prosić o to nie myślę. Ja się nikomu nie kłaniam i kłaniać nie będę!

— A kto mówi o kłanianiu się? Jeżeliby tego zachodziła konieczna potrzeba, ja sam chętniebym się tego podjął, prawdziwy bowiem przyjaciel nigdy swoich usług nie odmawia... Przyjaciel powinien być nawet gotów do poświęcenia. Ale, dzięki Bogu, tego nikt od nas nie wymaga. Najzupełniej wystarczy, jeśli dziedzic dobrodziej niektórym osobistościom poczyni pewne grzeczności i przed wyborami urządzi u siebie

wieczorek, bo niedarmo mówi stare przysłowie, iż nie tylko czapką i solą, lecz także papką ludzie ludzi niewolą.

— Ale na tę papkę tybyś może chciał, żeby poszły Strzałkowice?

— Boże chroń! Na to, dziedzicu dobrodzieju, jam zamądry i zaucziwy... Papka nawet tyle nie będzie kosztowała, ile jutrzejszy odpust przyniesie. Zato po zwycięztwie jakie będzie zadowolenie, a jaki honor!.. A teraz niech dziedzic dobrodziej raczy chwilkę postuchać, gdyż chciałbym mój plan wyłożyć. Rada powiatowa składa się u nas z dwudziestu sześciu członków, z których dwunastu wybiera większa własność, czyli szlachta, dziesięciu gminy wiejskie, czterech zaś miasta. Na tych ostatnich możemy liczyć zupełnie, bo kto ma po swojej stronie Turbana, Darskiego i Tusowicza, ten może być pewny, że wszystkie głosy na niego padną. Czy dziedzic dobrodziej będzie się teraz na mnie gniewał, żem prezydentowej obiecał dziesięć wozów siana, a inspektorowi dwadzieścia korcy ziemniaków?

— Rozporządzasz się mojem mieniem hojniej, niż własnem—odrzekł sucho pan Grzywa i zaraz dodał:— Ale mów dalej.

— Na radnych z miast możemy więc liczyć jak na cztery tuzy. Z kolei trzeba zwrócić uwagę na chłopów. Tymi, jak dziedzic dobrodziej wie, kieruje ksiądz Tymoteusz Szczurkiewicz z Dodniestrzan, człowiek nie tyle rozumny, co chytry; lecz że oddawna wdycha on do naszej parafii w Podlesiu, bo ona jest o wiele lepsza, niż jego, więc, aby go sobie zjednać, możemy mu ją przyrzec.

— Przenigdy!—żywo zaprotestował pan Grzywa.— Szczurkiewiczowi nie dałbym u siebie parafii pod żadnym warunkiem. Onby mi wszystkich chłopów zdemoralizował i przeciw dworowi zbuntował. Człowiek to podstępny, w środkach nieprzebiérający.

Pan Lisiński uśmiechnął się z politowaniem.



— Ależ obiecać, a dać, to nie jedno — rzekł sło-  
dziutko. — Zresztą nasz paroch z Podlesia dotąd żyje,  
może nawet wyzdrowieje; ale choćby i umarł, to jeszcze  
i w tym wypadku możnaby znaleźć stosowny pretekst,  
żeby się wycofać. Już ja to wezmę na siebie... W osta-  
teczności będzie mógł dziedzic dobrodziej wszystko na  
mnie zwalić. Tak więc przez Szczurkiewicza pozyska-  
my sobie chłopów; lecz że na niego nie można liczyć  
bezwarunkowo, przeto trzeba równocześnie i między  
obywatelstwem przyjaciół szukać. Goldeifera mam  
w kieszeni, ten bez Trockiego nic nie uczyni, a z Tro-  
ckim jestem za pan brat; Czapińskiego pozyskamy przez  
radczynię Darską i jej męża; Zaliwskiemu musimy dać  
bez pieniędzy tego byczka srokatego, za którego w ze-  
szłym tygodniu ofiarowywał sto guldenów, lecz po nie-  
go nie przysłał, bo prawdopodobnie nie miał monety;  
po wyborach wydrzemy z niego tę setkę, choćby pękł;  
hrabia Tęczyński to wielki pan, na posiedzenie Rady  
z pewnością nie przyjedzie; ale choćby się nawet poka-  
zał, ręczę, że dla samej przyzwoitości nie będzie opo-  
nował; Górczyńskiemu trzeba koniecznie pożyczyć owe  
tysiąc guldenów, o które od tak dawna napróżno sztur-  
muje; wprawdzie jego hipoteka straszliwie zasmarowa-  
na, wszelako tysiączek będzie można na nią pomieścić;  
innych pozyskamy w inny sposób, w tém już moja  
głowa; żeby zaś agitacją tém pomyślniej rozpocząć,  
damy w Strzałkowicach bal i wszystkich na niego za-  
prosimy.

— Czyś oszalał, Lisiński, ja mam bal dawać?

— A cóż w tém tak straszego, dziedzicu dobro-  
dzieju? Czyż na marne kilkaset guldenów można  
tam zważać, gdzie przy ich pomocy da się zdobyć sta-  
nowisko wybitne, za czém także pójdzie zwiększenie  
dochodów? Most i szosa sprowadzą do Strzałkowic  
tysiące nowych pielgrzymów, i już ci jedni, w ciągu  
pierwszego zaraz roku, nasz bal zapłacą. Kapitalik za-  
tém w bal włożony będzie się lepiej procentował, niż

którykolwiek inny... Zresztą moja w tém głowa, by wydatki nie były wielkie. Przecie domu nie będziemy odnawiali, zwłaszcza że i pora już spóźniona... W sali ułożę naprędce podłogę z tych tarcic, które się od browaru zostały, dwa pokoje przyległe uporządkuję jako tako; a byle było co jeść i pić, i żeby muzyka zagrała, a zlecą się sąsiedzi z wszystkich stron, jak kruki, bo jeść i pić lubi każdy mężczyzna, a tańcować każda niewiasta.

— I tobie się zdaje Lisiński, że do mnie kobiety przyjadą, choć z nich żadnej nie mam w domu ani na lekarstwo?

— Czemuby nie miały przyjechać? Za granicą jest zwyczaj, że nawet młodzi kawalerowie dają niekiedy bale w hotelach i najpiérwsze damy na nich bywają. Tém więc chętniej tu przyjadą, bo przecie wiedzą, że dziedzic Strzałkowic to mąż stateczny. Zresztą, jeśli idzie o decorum, potrafiemy i temu brakowi zaradzić. Bratowa dziedzica dobrodzieja, a matka pana Antoniego, chętnie tu przyjedzie i obejmie obowiązki gospodyni domu.

— Tój nie chcę widzieć na oczy! — pan Grzywa zawołał.—Jakby ta się zjawiała, wydarłaby mi z pewnością kilkaset reńskich, bo jeszcze ztąd nigdy z próżnymi rękami nie odjechała, a ja mam dosyć zgryzoty z jój synalkiem. Licho wie, na com go sobie wziął na głowę!...

— Jeśli pan dziedzic nie chce jój prosić, to inaczéj zrobimy. Radczyni Darska będzie z największą rozkoszą naszą gospodynią, a do pomocy da jój Trocki swoją siostrzenicę. Pani Julia jest osobą wielkiego świata, więc będzie umiała krokami radczyni należycie kierować. Czy tak, czy owak, bal się uda wyśmienicie; a gdy już pan dziedzic będzie naszym marszałkiem, ręczę, że mnie za to uściska.

W miarę, jak pan Lisiński mówił, twarz słuchającego, z początku obojętna i prędzéj chmurna, niż wesoła, stopniowo się zmieniała. W połowie rozmowy

ukazało się na niej zaciekawienie, przy końcu prawie radość.

— A co chcesz na tém zarobić, mój Lisiński, że mnie tak gorliwie do kandydowania zachęcasz?—zapytał pan Grzywa z uśmiechem.

— Czyż za wszystko, co czynimy, musimy być wynagradzani? Alboż o bezinteresowność tak trudno na świecie? Bogiem się świadczę, że nie poluję na pieniądze dziedzica dobrodzieja.

— Że na moje pieniądze nie polujesz, o tém jestem głęboko przekonany, bo wiesz, że byłaby to praca daremna... Umiałem trochę pieniędzy zebrać, umiem ich także pilnować... W razie jednak, gdybym marszałkiem został, czy nie chciałbyś, mój Lisiński, objąć przypadkiem budowy tak mostu, jak szosy?

— A gdyby? Miałby inny zarobić, mógłbym i ja; a że radbym tego dopiąć przy pomocy dziedzica dobrodzieja, to rzecz całkiem naturalna. Przy możliwych żyją biedni: tak było od początku świata, tak do jego końca zostanie, bo i słońce pan Bóg na to stworzył, by mniejsze ciała niebieskie otrzymywały od niego światło i ciepło.

— Podoba mi się twoja otwartość, Lisiński, bardzo mi się podoba! Widzę, żeś nie obłudnik.

— U mnie co w sercu, to i na języku — Lisiński słodko odpowiedział.

Pan Grzywa miał w sobie dużo praktyczności, nawet i tego sporo, co się nazywa chłopskim rozumem, lecz, jak każdy człowiek niewykształcony a bogaty; był zarozumiały, tém bardziej, że fortuny dorobił się własną pracą i wrodzonym przemysłem, za czém poszło, że lubił także pochlebstwa. Pan Lisiński, odkrywszy w nim tę słabostkę, począł na niej wygrywać najrozmaitsze melodye, i dziedzic Strzałkowic ani spostrzegł, kiedy się stał powolnym narzędziem w jego rękach. Ale pan Lisiński nietylko tém jednym opanował Krezusa powiatowego. Schlebiał on mu jeszcze bardziej tém, że

mimo iż go przewyższał tak urodzeniem, jak wychowaniem i wykształceniem, robił się wobec niego zawsze małym; za cierpkie słowa, których pan Grzywa nieraz używał, nigdy się nie rozgniewał, i podczas gdy sam pokornie „dziedzicem” go nazywał, nie miał nic przeciw temu, że dziedzic nawzajem traktował go jak swego sługę. Była jeszcze rzecz jedna, dla której pan Grzywa chętnie widział u swego boku pana Lisińskiego. Acz nie był orłem, rozumiał on doskonale, że w stosunkach towarzyskich potrzebował mentora, gdyż co krok mógł błąd popełnić. Lisiński spełniał ten obowiązek z całą sumiennością człowieka mu oddanego i tém zaskarbił sobie jego względy.

Dziedzic chwilę myślał. Potém zwrócił się do swego mentora i niespodziwanie zapytał:

— Powiedz mi, Lisiński, za coś ty mi życzliwy i dlaczego właściwie mi służysz? Pensi ni bierzesz, jész niewiele, zresztą wymysłów u mnie niema, a z tego, co ci czasem spadnie z kontraktów, utyc nie można. Powiedz mi raz otwarcie, co cię przy mnie trzyma?

— Nie ja się trzymam, dziedzicu dobrodzieju, ale wyższa wola mnie tu trzyma... Ja spełniam tylko jej rozkazy... Wspomniałem już raz, że mniejsze gwiazdy dlatego dokoła słońca krążą, że im tak Stwórca czynić kazał... Życ trzeba, biednemu zaś emigrantowi bez przyjaciół żyć trudno...

— Więc tyś doprawdy emigrant? Już nieraz mi to mówiłeś, lecz ja, gdy na ciebie patrzę, jakoś nie mogę temu dać wiary... Ej! przyznaj się Lisiński, za coś ty właściwie emigrował, czy nie za szwarcunek?

To powiedziawszy, pan Grzywa zaczął śmiać się tak wesoło, tak serdecznie, jak to u niego nie było w zwyczaju. Widocznie uszczęśliwił go własny dowcip. Lisiński przygryzł dolną wargę do krwi, rękę ścisnął ruchem kurczowym, z oczu strzeliła mu iskra gniewu. Trwało to jednak ledwie jedno oka mgnienie. Prędko odzyskał krew zimną i, nim pan Grzywa mógł się do-

myśleć, co się w jego duszy działo, znów mówił ze słodkim uśmiechem.

— Wolne żarty, dziedzicu dobrodzieju, wolne żarty! Gdybym nie był przekonany, że pan dziedzic ma złote serce i często gęsto inaczej mówi, niż myśli, musiałbym się nieraz obrazić; ale ja wiem, jak należy brać słowa, nie w złej myśli wypowiedziane... Na dowód zaś, że moich uczuć dla dziedzica nic zmienić nie potrafi, podam natychmiast doskonały projekcik, który, zręcznie wykonany, przyniesie trochę monety. O ile mi się zdaje, jutro będzie skwar ogromny, prawdopodobnie ostatni w tym roku, barometr bowiem od rana idzie w górę. W samo południe, podczas solennego nabożeństwa, gdy jedni ludzie będą w cerkwi, drudzy dokoła niej, radziłbym wiadro od studni dworskiej, téj, która obok cerkwi stoi, przypadkiem odczepić i do wody wpuścić, by chłopstwo nie miało gdzie pragnienia ugasić... Wtedy, chcąc nie chcąc, będą musieli pić piwo; trzeba tylko o to się postarać, żeby Żyd był nie daleko w jakim szalasie i miał kilka beczek pod ręką.

— Wiész, Lisiński, to myśl znakomita! Z największą radością na nią przystaję; i gdybyś mi chciał oddać jeszcze jedną usługę, byłbym ci za nią do śmierci wdzięczny. Jeśli, jak mówisz, jutro w rzeczy saméj będzie gorąco, doprawdy nie wiem, jak całą godzinę w cerkwi krzyżem wyleżę... Człowiek przecie nie ułamek. Możebyś ty mnie w tém zastąpił, co?

— Uczyniłbym to z największą radością, dziedzicu dobrodzieju, lecz boję się, by moje zastępstwo, miasto pomódz, nie zaszkodziło... Dziedzic zwykł dla dobrego przykładu leżeć każdego odpustu całą godzinę przed cudownym obrazem, a lud to uważa i ceni. Kiedyż jednak tego przykładu bardziej potrzeba, niż właśnie dziś? Czyż nie przygotowujemy się do wielkiego dzieła? Mojem tedy zdaniem, zastępstwo byłoby tym razem niebezpiecznym... Zresztą kto będzie przy wiadrze, jeśli ja pójdę do cerkwi? W sprawie tak delikatnej

nie można się spuścić ani na ekonoma, ani nawet na Jaśka.

— Dobrze mówisz, muszę pójść sam!—odrzekł pan Grzywa i westchnął głęboko.

Znów czas jakiś myślał, potem zapytał:

— Nie masz do mnie jakiego interesu?

— Żadnego.

— Żadnego? A o wołach zapomniałeś?

Panu Lisińskiemu zamigotała radość w oczach.

— Wspominałem o nich przed tygodniem, ale ponieważ pan dziedzic wtedy mnie zakrzyczał, więc przestałem o nich myśleć—szepnął cicho a skromnie.

— Prawdopodobnie nie musiałem cię wtedy dobrze zrozumieć, a ty wiesz, że ja się do tego nie wezmę, czego nie rozumiem. Ale opowiedz mi teraz jasno, jaki to jest właściwie interes.

Pan Lisiński przysunął się i rzekł słodziutko:

— W Zarudziu, w którym rola jest już oddawna wyjąłowiona, chce właściciel na zimę puścić gorzelnię, lecz że nie ma pieniędzy na woły, więc odda brahę prawie za darmo, za samą mierzwę, której gwałtem potrzebuje. Gdybym tak mógł kupić dwieście wołów, zarobiłbym niewątpliwie kilka tysięcy.

— Skoro to taki interes, więc może się da zrobić. Ty wiesz, mój Lisiński, że ja własnych pieniędzy nikomu nie pożyczam, jest to zasada, od której nie odstąpiłbym dla rodzonego ojca, gdyby wstał z grobu; ale mogę ci dać podpis do banku. Dla wszelkiego jednak bezpieczeństwa, boć powinniśmy się kochać jak bracia, a rachować jak Żydzi, obejmuję woły na własność, po ich sprzedaży bank zaspokoję, a co się zostanie, ty weźmiesz. Powiedz mi jednak, czy masz choć coś na siano, bo przecież samą brahą woły żyć nie będą...

— Ja sam nie mam grosza przy duszy, lecz nie wątpię, że jeden z mych przyjaciół, za kordonem mieszkających, gdy od niego zażądam, pożycz mi kilka tysięcy.

— Skoro tak, więc pisz zaraz po pieniądze, bo dopóki ich u ciebie nie zobaczę, nie dam przekazu do banku... Trzeba potem, mój kochany, wołów dobrze doglądać, bo wiiesz, że pańskie oko konia tuczy.

— Ależ, panie dziedzicu, ja doprawdy nie wiem, jak za tyle łaski podziękować! — zawołał pan Lisiński i już się pochylił, by swego dziedzica w rękę pocałować, lecz przeciw temu zbuntowały się resztki jeszcze tkwiącej w nim ambycyi. Zamiast tedy w rękę, pocałował go tylko w ramię i dodał:—Jakiegokolwiek zabezpieczenia pan dziedzic zażąda, na każde przystanę, bo przecie nieuczciwie nie chcę robić majątku...

— No, no, jakoś to będzie — odrzekł pan Grzywa, pełen łaskawości.

Dalszą rozmowę przerwało zjawienie się Antosia. Na jego widok pan Lisiński powstał i na palcach wyniósł się z kancelaryi.

Do twarzy było Antosiewi w błękitnym uniformie ułańskim—i każda dziewczyna musiałaby teraz powiedzieć, że wyglądał jak malowany. W czarnym fraku i białym krawacie—a w takim stroju widzieliśmy go pierwszy raz na wieczorku u radczyni Darskiej—był młodzieńcem przystojnym; natomiast w mundurze porucznika od ułanów był śliczny. Jakim ogniem pałało jego oko harde, ale nie zuchwał! Jaki blask bił od czoła szerokiego, nad którym wdzięcznie, prawie zalotnie, układały się ciemne włosy! Z jakim zadowoleniem rozchyłały mu się usta pełne krwi i życia, z których uśmiech swobodny nie zszedł nawet teraz, gdy okiem jak stał przenikliwem i jak ona zimnem stryjaszek go mierzył! Musiał wiedzieć, jak pięknym był w tym stroju i prawdopodobnie lubił, gdy dziewczęta tęskne ku niemu wysyłały spojrzenia, skoro często ubierał się po wojskowemu, mimo iż, jako porucznik rezerwowy, nie był do tego obowiązany.

— Gdzie się znów wybierasz? — zapytał go stryj głosem suchym.

— Muszę się trochę przejechać, bo zapomnę, jak się na koń siada, a mój *Flaubert* zginie z nudów w stajni.

— Bo też lichy wie, na co on próżnuje. Jakbym go zaprzął do pługa i kazał mu cały dzień orać, pewnie się nie nudził i byłby zdrowszy.

— Stryj daruje, lecz mój *Flaubert* należy do tych istot szlachetnych, które pługa nie ciągną.

— Łatwo ci to mówić, skorom za niego wysypał pięćset papierków i teraz daję mu dziennie po trzy garnce owsa, prócz siana, wszelako ciekawym, czybyś go tak samo pieścił, gdybyś go kupił za własne, ciężko zapracowane pieniądze, a teraz musiał go utrzymywać? Taki koń to martwy kapitał, który się topi; gorzej, to ruina!

— Przykro mi, kochany stryju, że tak jest, lecz chyba temu nie winien. Widząc, że służba w konnicy drogo kosztuje, chciałem wstąpić do piechoty, stryj jednak sam był za ułanami.

— Pewnie, bom chciał, żebyś się znalazł między ludźmi porządnymi, a nie pośród chłystków. Ale dyabli tam wiedzieli, ile ta parada będzie kosztowała. Dziś żałuję i setnego będę przestrzegał; lecz stało się... I najrozumniejszy może czasem głupstwo palnąć, powinien wszakże o niém pamiętać i więcej go nie powtarzać. Więc gdzie jedziesz?

— Skoczę na chwilę do Lipińca, do moich kolegów, którzy tam kolęj budują.

— Tylko z nimi w karty nie graj, bo inżynierowie kolejowi ponoś bardzo lubią tę zabawkę, a ja na nią nie mam pieniędzy.

Młody człowiek spłonił się jak wiśnia.

— Przecie stryjaszek wie, że kart do rąk nie biorę.

— Wiem, czy nie wiem, wszystko to jedno; przez wzgląd jednak na twoje dobro, jako twój najbliższy krewny i opiekun, muszę cię ostrzegać przed grożącym ci niebezpieczeństwem; bo gdyby się ono raz stało, nie



byłoby już czasu na nauki... Nie pij z nimi także wi-  
na, bo potem zechcą, byś nawzajem ich zapraszał, a ty  
nie masz na to pieniędzy.

Antoś nic już nie odpowiedział. Przystąpił szybko  
do stryja, by go w rękę pocałować i odejść. On atoli  
temu przeszkodził, mówiąc:

— Niepotrzebnie się tak śpieszysz; do Lipińca nie-  
daleko, a twoja szkapa ma dobre nogi, bo niedarmo  
żre mój owies. Powiedz mi jeszcze: byłeś w browarze  
i w gorzelni?

— Wszędzie byłem i wszystko znalazłem w naj-  
większym porządku.

— Jeśliś tak prędko wszystko obejrzał, jakieś to  
teraz powiedział, to niewielki będzie z tego przeglądu  
pożytek. W gospodarstwie, mój kochany, trzeba okiem  
dobrze doglądać; ale, jak widzę, ty do niego nie masz  
najmniejszego zamiłowania.

— Przeciwnie, stryju, ja gospodarstwo wolę niż  
każdy inny zawód.

— A mnie się zdaje, że z tego wszystkiego tobyś  
najlepiej wolał być panem.

— W każdym razie zawód to równie piękny jak  
przyjemny—młodzieniec odrzekł z uśmiechem.

— O! wierzę ci, wierzę; lecz kto biédakiem się  
urodził, a koniecznie chce być panem, ten musi długo  
a wytrwale pracować i na nikogo się nie spuszczać,  
bo nadzieje prawie zawsze zawodzą. Ty, naprzykład,  
liczysz na sukcesyą po mnie; a jak mnie Pan Bóg da  
jeszcze pięćdziesiąt lat życia, boć wszystko jest możli-  
we, co wtedy będzie? Zresztą mogę cię także wydzie-  
dziczyć, jeśli nie będziesz się poddawał mojej woli.

— Ja na spadek po stryju wcale nie czekam i z ca-  
łej duszy pragnę, aby mój stryj jeszcze sto lat żył.

— Daj Boże! Ale skoro na spadek nie czekasz,  
więc powiedz, co właściwie myślisz robić i co z ciebie  
będzie?

Antoś pobladł. Chociaż nie należał do natur porywczych, widoczném było, że tłumił gniew w sobie. Wezwawszy na pomoc całą siłę woli, zdołał się jednak pohamować, poczem odpowiedział z wymuszonym spokojem:

— Co ze mnie będzie? zaiste, sam jeszcze nie wiem; ilekroć zaś postawię sobie w duchu to pytanie, zawsze czuję, że, choć na mnie nikt nie patrzy, rumie niec wstydu mnie obléwa. Wszak mam już lat dwadzieścia sześć, a jeszcze niczém nie jestem.

— Prawdę powiedziałaś! — stryj potwierdził. — Te złote gwiazdki na kołnierzu chleba ci nie dadzą.

— Wiem o tém, stryju dobrodzieju, dlatego przyszłość moja coraz bardziej mnie niepokoi. Niema też dnia, bym o niej nie myślał.

— Wielka jednak szkoda, żeś się tak późno opamiętał.

Młody człowiek znów pobladł.

— Stryj dobrodziej daruje, jeśli powiem, że chyba nie jam tu zawinił—odparł głosem lekko drżącym.—Po śmierci nieboszczyka ojca matka oddała mnie do szkół realnych, gdyż do nauk matematycznych miałem od dzieciństwa najwięcej zamiłowania.

— A jam za ciebie w szkołach płacił, bo matka nie miała grosza przy duszy — pan Grzywa przerwał szorstko.

— Wiem o tém, matka bynajmniej tego przede mną nie tajiła i za to wielkie dobrodziejstwo będę stryjowi całe życie wdzięczny. Ukończywszy politechnikę, musiałem najpierw uczynić zadość obowiązkowi służby wojskowej i na wyraźny rozkaz stryja wstąpiłem do ułanów, poczem na jego życzenie złożyłem egzamin oficerski.

— A mozem ci źle radził? Czyż to nie piękniej, żeś dziś porucznikiem, niż gdybyś był prostym żołnierzem?

— Stokroć lepiej, chętnie to przyznaję; wszakże równocześnie niech mi będzie wolno upewnić kochanego stryja, że nawet bez jego żądania byłbym złożył ten egzamin. Po ukończeniu służby wojskowej chciałem natychmiast rozpocząć pracę zawodową. Jedni radzili mi wstąpić do kolei, drudzy zachęcali do wyjazdu za granicę, zwłaszcza do Królestwa, gdzie w pierwszej lepszej fabryce mogłem znaleźć stosowne pomieszczenie. Gdym się z memi planami zwierzył przed kochanym stryjem, usłyszałem te słowa: „Idź do szkoły rolniczej i naucz się gospodarstwa, bo Galicya fabryk nie posiada, a zato ma dużo ziemi, którą trzeba umieć uprawiać.” Ponieważ stryj był moim opiekunem i dobrodziejem, przeto jego życzenie poczytywałem za rozkaz i niezwłocznie wstąpiłem do szkoły rolniczej, którą też ukończyłem ku zadowoleniu wszystkich moich profesorów.

— Czy żałujesz, że cię do tego nakłonił? Przecie im więcój młody człowiek umie, tém dla niego lepiej.

— I jam tego zdania, stryju kochany. Po ukończeniu szkoły rolniczej należało znów o zawodowej pracy pomyśleć, i albo pójść do fabryki, bądź też jako agronom starać się o administracją większego majątku. Wtedy stryj mi powiedział: „Ciekawym, czemubys się miał obcym wysługiwać, skoro u mnie jest dosyć ziemi i aż pięć zakładów przemysłowych: cztery gorzelnie, a jeden browar. Przyjeźdź do Strzałkowic, a więcój się pod mojem okiem nauczysz, niż gdziekolwiek indziej.” Tak więc tu przybyłem, lecz, jak widzę, źle się stało.

— Doprawdy? A cóżem ci złego zrobił? Czym cię może z majątku ograbił?

— Źle się stało, bom bezpotrzebnie kilka lat zmarnował i dziś słusznie stryj pyta, co ze mną będzie.

— Pewnie, że pytam; jednak nie przez wzgląd na siebie, tylko na ciebie. Mężczyzna w twoim wieku po-

winien już mieć stanowisko. Inni w twoich latach zenią się, bo to wiek najpiękniejszy, i grube biorą posagi, a z ciebie ciągle smyk! Ale, ale—dodał, jakby sobie nagle coś przypomniał,—czy ty do Lipińca nie jedziesz przypadkiem dla téj mizdrzygałki, którą raz widziałem w naszej cerkwi?

— Dla jakiej?

— No, dla młodziej córki Tęczyńskiego... lichy ją tam wie, jak się nazywa; zdaje mi się, że Zofia... Wprawdzie to gołe, bo interesa tam najgorsze, lecz możebym nie był temu przeciwnym. Jakbym ich wziął w kuratelę, zrobiłbym jeszcze z Lipińca wcale niezły majątek, a wtedy i tobie cośby tam kapło.

— Stryj dobrodziej bardzo łaskaw — rzekł Antoś, ironicznie się uśmiechając,—mogę atoli stryja upewnić, że ani ja o czémś podobnym nie myślę, ani hrabianka Tęczyńska nie przystałaby na podobny zaszczyt.

— Czemu?

— Bo Tęczyńska nie dla Grzywy.

— Czy ty, dudku, myślisz, że Grzywa byle kto? Jak zechcę, będziesz jutro miał milion, jeżeli nie więcej, a ich Żydzi zlicytują i puszcza z torbami! Kto się cenić nie umie, tego świat nie będzie także cenik. Zresztą wiedz, że wszyscy nasi ojcowie byli Grzywami, a u nich zaś, zwyczajnie jak u wielkich panów, może rozmaicie bywało... Prawda, że dziś Grzywa jeszcze niewiele znaczy, lecz zobaczymy, co jutro będzie... O! patrzcie go, jaki filozof! zamiast iść wyżej, on odrazu uszy stula po sobie i mówi, że jemu do niej daleko. Fel wstydzilibyś się coś podobnego mówić. Zejdź mi z oczu, do licha, bom taki zły, żeś gotów jeszcze coś oberwać!

Pan Grzywa był w rzeczy samej bardzo zirytowany, o czém świadczyły dosadne wyrażenia, któremi rozmowę z bratankiem zakończył. Antoś, wiedząc, że dłuższy jego pobyt w tém miejscu, miasto stryja uspokoić, mógłby go tylko bardziej jeszcze wzburzyć, skło-

nił mu się grzecznie, zdaleka i czémprędzej wybiegł z kancelaryi.

Za chwilę widziano, jak na *Flaubercie* galopował drogą, prowadzącą ze Strzałkowic do Lipińca.

---

## VI.

### Pośrednicy.

**M**knął coraz szybciej, wiatr koniowi grzywę rozwiewał, tumany kurzu wznosiły się za jego plecami, drzewa przydrożne uciekały przed nim strwożone. Gdy mijał Zarudzie, znajdujące się w połowie drogi, chłopci, wybiegłszy przed chaty, dziwili się szalonemu jeźdźcowi; dziewczęta zaś śledziły pięknego ułana okiem niespokojnym, bo choć nieraz go widziały w swojej wsi, jeszcze nigdy tak nie pędził. Dawniej chętnie się do nich uśmiechał, często coś przemówił, niekiedy nawet zażartował, a one tak żarty lubią; przeciwnie teraz—na żadną nie spojrzy, tylko mknie coraz dalej z twarzą zasępioną, jakby go stado wilków goniło. A temi wilkami były jego własne myśli.

Położenie Antosia w domu stryja było nieznośne. Pochodzili z jednej rodziny, ta sama krew w ich żyłach płynęła, to samo słońce świeciło nad ich głowami, a jednak jak odmienne były ich potrzeby, zamiłowania, charaktery! Stryj myślał o zwiększeniu majątku; dodatkowo w głębi duszy marzył on także o zaszczytach, które powinny były spaść na niego już za to samo, że

był bogaty; przeciwnie synowiec pragnął walczyć na świecie szerokim, choćby li dla przyjemności, jaką walka sprawia; pragnął kochać i być kochanym, poświęcać się dla ludzkości i zaskarbiać sobie szacunek powszechny. Wychowany troskliwie przez matkę, która, acz biedna, miała dobry smak i uczucia delikatne, starał się później przez wykształcenie i ogładę towarzyską wyróżniać wśród reszty młodzieży; i lubo wyszedł z ludu (dziadek jego był prostym wieśniakiem), mimo to między synami piérwszych rodzin niktby po nim nie poznał, z jakiej sfery pochodził. Młodzieńca z tym co on poglądem na życie i jego wymagania jak straszliwie musiała boleć, nawet upokarzać rubaszność stryja. Nie dziw téż, że po każdój scenie zrywał się i bezzwłocznie chciał z jego domu wyjechać, by doń więcéj nie wrócić. Wszelako miłość dla matki, którą ubóstwiał, a która go w każdym liście zaklinała, by ze stryjem nie zrywał; wdzięczność dla człowieka, który go w szkołach utrzymywał i jego matkę wspierał,—wreszcie dla brata nieboszczyka ojca, którego pamięć czczył, dotąd mu nie pozwalały tego planu wykonać. Jak galernik, łańcuchami skowany, włókł i on w Strzałkowicach tarczkę swojej egzystencyi, pełną upokorzeń i wstydu; czuł atoli, że prędzej czy później musi nadejść chwila, w którój zapomni o wszystkiém i zerwie ze stryjem. To, że stryj po każdój scenie okazywał mu trochę serca, jakby go tém za obrazę chciał przebłagać i dla siebie pozyskać, nie mogło zrównoważyć przykrości, jakie mu sprawiał.

Czy pan Grzywa wiedział, co się działo w duszy jego synowca? Śmiało można przypuścić, że się tego nie domyślał. Wszak z Antosiem postępował jak z wszystkimi innymi—nie był dlań ani gorszym, ani lepszym; zresztą, choćby nawet chciał, nie potrafiłby się wobec niego jednego odmiennie zachować,—gdyż taką miał naturę; a że mu dawał więcéj rad i nauk, niż ludziom obcym, czyż można się temu dziwić? Wszak

jako jego stryj i opiekun był do tego obowiązany. Prócz tego pragnął on gorąco, by jego jedyny spadkobierca miał wciąż na uwadze, iż całe życie trzeba pracować i oszczędzać, ponieważ majątek łatwiej zrobić, niż go utrzymać.

— Jeżeli o tém nie będziesz pamiętał, wstając i legając—nieraz mu powtarzał,—to, gdy ja oczy zamknę, zaczniesz hulać; często bowiem się zdarza, że spadkobiercami ludzi oszczędnych bywają lekkomyślnicy; a wierz mi, Antoni, gdybyś to roztrwonił, com ja w ciągu czterdziestu lat zapracowałem, w grobiebym się z rozpaczny przewrócił...

Pan Bartłomiej Grzywa myślał więc bez przerwy o majątku i był przekonany, że bratanek li dla pieniędzy go się trzyma; tymczasem ze wszystkich nici, wiążących go z osobą stryja, nic materyalna była najslabszą... Antos był zamłody i zamało samolubny, by do pieniędzy mógł już teraz wielką wagę przywiązywać; jak każdy młodzieniec, ufający własnym siłom, pragnął i on całą przyszłość jedynie sobie zawdzięczać; zresztą miał czucie zbyt delikatne i wzrok na tyle bystry, by dostrzedz, że stryj podczas robienia fortuny, nie zawsze chadzał temi drogami, które on za czyste i honorowe poczytywał. Kilka razy pozwolił sobie nawet z tego powodu uwag delikatnych; lecz gdy się przekonał, że jego wystąpienie, zamiast pomódz, zawsze zaszkodziło—stryj bowiem potraktował go każdym razem jak młokosa, który do tego, na czém się nie zna, nie powinien się mieszać,—dał pokój wszystkiemu i odtąd starał się nic nie wiedzieć. Fortuna, która go czekała, nie budziła w nim tedy żadnych pragnień, żadnych radości.

Pędził dalej; lecz gdy się znalazł na pagórku, z którego było już widać pałac Tęczyńskich, ściągnął konia, a po chwili stanął. Na lewo wznosiła się rezydencya dziedziców Lipińca, na prawo ciągnęły się wzgórza, na których zieleniły się żyta bartłomiejskie, przed pałacem roztaczały się łąki, przerzniete nasypem kole-



jowym, do którego dążył. Zdjął czapkę, obtarł pot z czoła, raz i drugi odetchnął głęboko, *Flauberta* pokilkakroć uderzył dłonią po szyi wygiętą, potem znów spojrzął na pałac.

— Jak ja to zrobię, jak ja to zrobię? — rzekł do siebie półgłosem.—Ha! zrobić trzeba; a jak to się stanie, Bóg wie jeden!

Z temi słowy spuścił się z pagórka i wolnym kłusem ku łąkom podążył.

W tym samym czasie panna Zofia Tęczyńska, rozstawszy się z siostrą, która w pokoju klucznicy była zajęta wysyłką masła na pocztę, wybiegła na podwórze i, rękawiczki zapinając, zaczęła się pilnie wokoło rozglądać, jakby kogo szukała. Kapelusz na głowie i parasolka w ręku wskazywały, że się gdzieś wybięrała. Na podwórzu nie było nikogo. Bystre ję oko dostrzegło jednak Paszutę, przechodzącego z jednych oficyn do drugich.

— Panie Paszuta!—zawołała srebrnym głosikiem—panie Paszuta!

I nie czekając, aż stary sługa do nię przyjdzie, lekko a chyżo jak sarenka pobiegła na jego spotkanie.

— Niech się pan Paszuta nie gniewa, zem go zatrzymała, ale mam pilny interes—rzekła, do niego przystępując.

Starzec wyprostował się jak struna, zdjął czapkę i, jękając się, odpowiedział:

— Niech panna hrabianka rozkazuje... Paszuta zawsze posłucha, bo przecie on wasz sługa.

— Ach! sługą pan Paszuta już nie jest, tylko naszym przyjacielem—odparła, drobną rączką po twarzy go gładząc.

Starcowi w oczach łzy się zakręciły, chwycił ję rękę i zaczął ją całować.

— Sługą jestem waszym, wiernym sługą, i takim daj mi Boże umrzeć! — szepnął głosem wzruszonym. —

Niech panna hrabianka rozkaże, co mam robić, a pójdę choćby w ogień,

— Tak źle nie będzie, panie Paszuta. Na chwilkę muszę zajrzeć do sklepiku, potem skoczę do naszej gar-kuchni, by z ekonomową o czémś ważném pomówić; a że wszyscy teraz bardzo zajęci i nie ma mi kto towarzyszyć, więc chcę o tę przysługę prosić pana Paszuty. Ja pójdę powoli i pan Paszuta pewnie się nie zmęczy.

— Co téż najlepszego panna hrabianka powiedzia-ła! jabym się miał zmęczyć? Ależ, dzięki Bogu, ja mam dotąd nogi mocne, stalowe i dlatego chodzę prosto i tak się nie kołyszę, jak nie przymierzając ten włóczyki, Dyo-nizy. Lecz to pewnie on mnie obmówił. Ja wiem, że ten ptaszek zdolny do wszystkiego, nawet do oszczer-stwa, Pan Bóg da mi jednak doczekać jego upokorze-nia... Zaraz, panno hrabianko, zaraz, pójdę jeno po la-skę, bo we wsi dużo złych psów, gotów się jeszcze któ-ry rzucić.

To powiedziawszy, wcale szybko, acz nogi w ko-lanach dobrze się zginały, pośpieszył do oficyn, z kąd za chwilę wyszedł z laską trcinową, u góry zakrzywioną, u dołu zaś mocno okutą, z której sam hrabia zrobił mu przed kilku laty prezent w dzień jego imienin.

Zosia chciała, żeby Paszuta szedł obok niej i tak z nią rozmawiał; on atoli, pomnąc, kim był u Tęczyń-skich przez lat z górą sześćdziesiąt, nieco przystanął i ruszył dopiero wtedy, gdy kilka kroków przestrzeni dzieliło go od panienki. Mimo takiego oddalenia mógł odpowiadać na jój pytania, sam zaś nietylko z dawněj roli nie wychodził, lecz jeszcze tę korzyść odnosił, że wspierał się na swěj lasce, co w dalszėj przechadzce było dlań konieczném.

Wstąpili do sklepiku, a gdy tu Zosia wydała po-lecenia, z którymi przyszła, udali się przez wieś do gar-kuchni.

Znajdowała się ona w starym budynku nad łąka-mi, poniżej gaju dębowego, który w tém miejscu łączył

się z ogrodem pałacowym. Przez park była do niej droga krótsza, przez wieś znacznie dłuższa—ta bowiem prowadziła najpierw ku dębinie, rosnącej na wzgórzu za pałacem, czas jakiś biegła potem wzdłuż lasu i na koniec po dość stromiej pochyłości w dół spadała.

Zosia, zapomniawszy, ile Paszuta miał lat i jakie nogi, obrała drogę dłuższą, gdyż była piękna, romantyczna, zwłaszcza na szczycie wzgórza, z kąd szeroki widok na dolinę się roztaczał.

— I cóż pan Paszuta na to, że my się oddajemy różnym przedsiębiorstwom?—zapytała.

Starzec westchnął, lecz nic nie odpowiedział.

— Cóż, usłyszę zdanie pana Paszuty?

— Musi to być mądre, skoro młody pan zarządził, a pan hrabia na to pozwolił; wszelako u nas nikt takich rzeczy dawniej nie robił, a przecie na niczem nam nie zbywało. Panowie nie powinni nigdy zapominać, że są panami. Ale nasz młody pan widać ma inne zdanie. Na wszystko, co stare, patrzy on koso i chciałby samych nowości. Dałby jednak Pan Bóg, żeby mu to na dobre wyszło.

— Mylicie się, panie Paszuta, to nie młody pan tak zarządził. To my same wpadłyśmy na te pomysły i dziś widzimy, że nam z tém dobrze. Czasy teraz inne; pańszczyzny niéma; kto chce uczciwie żyć, musi ciężko pracować; praca zaś nikogo nie krzywdzi. Niech pan Paszuta powie, czy nie lepiej walczyć i majątku się trzymać, niż próżnować i ziemię oddać Żydowi?

— Niech panna hrabianka nawet o tém nie wspomina, bo mi z wielkiej boleści serce pęknie! Niechbym lepiej wpiérw sto razy oczy zamknął, niż miałbym na coś podobnego choćby tylko jeden raz popatrzeć!.. Lipiniec miałby nie być nasz? Nie, panno hrabianko, o tém nie godzi się nawet mówić. Lepiej pracować i ziemię się trzymać, sto razy lepiej! Ja to sobie już dawno myślę i dlatego okrutnie mnie serce boli, że młody pan przyjął niepotrzebnie tego włóczykija i dro-

go go płaci, skoro on do niczego... Nawet prosto chodzić nie umie... Alboż to Paszuta nie mógłby wystarczyć? Ja, proszę panny hrabianki, nie chcę ani szeląga złamanego, jabym teraz nawet żadnej pensyi nie przyjął, i będę najszczęśliwszym, jeśli państwo pozwoli sobie nadal służyć... niech panna hrabianka pomówi o tém z młodym panem; kogo jak kogo, a panny hrabianki on pewnie posłucha, bo Paszutę chleb łaskawy okrutnie dławi i boi się, żeby go nie udusił. Uf! a to gorąco!

Zosia szybko się obróciła. Paszuta także stanął. Twarz miał bardzo czerwoną, grube krople potu po niej mu spływały. Mimo że na lasce się wspierał, był niższy, niż zwykle—tak nogi ugięły się pod ciężarem jego ciała.

Znajdowali się na samym szczycie wzgórza, tuż pod gajem dębowym, zkąd drożyna stromo spadała. Dla człowieka, jak Paszuta, starego zstępowanie na dół było rzeczą trudną, nawet niebezpieczną.

— Niech pan Paszuta tu zostanie i na mnie poczeka—przemówiła Zosia.—Proszę usiąść tu pod dębem i chwilę wypocząć. Ja wkrótce wrócę.

— Panna hrabianka miałaby iść sama? To być nie może, ja na to nie pozwolę!

— Ależ niech się pan Paszuta o mnie nie boi... Przecież tędy nikt nie chodzi... zbiegnę prędko na dół, pomówię z ekonomową i zaraz będę z powrotem.

— Nie, panno hrabianko, Paszuta musi pójść, bo nasze panienki nigdy same nie chodziły.

— Ależ, Paszutuńciu, na co się macie trudzić!— błagała pieśczośliwie, po twarzy go głaszcząc.—Przecież dzieckiem nie jestem i na niebezpieczeństwo, gdyby mi jakie mogło grozić, pewniebym się nie narażała. Jeśli pan Paszuta mnie usłucha i pod dębem usiądzie, przyrzekam jeszcze dziś z młodym panem pomówić.

— Aby mnie wziął napowrót do pałacu?

— Tak, tak, Paszutuńciu!

Temu zakłęciu nie miał siły się oprzeć. Chwycił obie jej ręce i zaczął je całować.

— Dobrze, już dobrze, niech panna hrabianka sama idzie, ja tu będę czekał... Ale jakby broń Boże co wypadło, proszę krzyknąć, ja zaraz przybiegnę... Może panna hrabianka weźmie laskę? kto wie, czy się na co nie przyda...

— Dziękuję!—zawołała i w téjże chwili jak kula w dół się potoczyła.

Paszuta usiadł pod dębem i, wzrokiem panienkę odprowadzając, mówił do siebie półgłosem:

— Jakie to zwinne, jakie piękne, a jakie dobre!... Mnie się coś zdaje, że ze wszystkich ta najlepsza. Dałby jeno Bóg, żeby się jakiemu wielkiemu a dobremu panu dostała; zarazbym do niéj poszedł na służbę. Jak ona pędził! Żeby choć nie upadła, bo droga stroma... Aż lęk zbiera patrzeć!

Ta, której poruszenia pilnie śledził, zbiegła tymczasem na dół i za drzewami zniknęła. Paszuta postanowił nie spuszczać wzroku ze ścieżynki i czekać, pókiaby jej znów nie zobaczył. Niestety, nie obliczył się z siłami. Idąc tu, bardzo się utrudził, nogi go bolały i głowa mu ciężyła; a że od kilku lat miał do drzémki wielką skłonność, więc mimowoli zwiesił teraz głowę na piersi i ani wiedział, kiedy usnął cicho, jak dziecko.

Tuż nad łąkami stał duży dom murowany, powierzchności wcale okazańej, w którym przed laty kilkudziesięciu, gdy miasto łąk były tu jeszcze olbrzymie stawy, mieszkał stawniczy ze swymi pomocnikami. W nim od niejakiego czasu znajdowała się garkuchnia. Do prawego skrzydła domu przytykał szalas z desek zbity, w którym stały stoły podłużne. Tu jadali robotnicy w dnie pogodne; ilekroć zaś dęszcz padał, pani ekonomowa Szlifirska przyjmowała ich wewnątrz domostwa, gdzie prócz kilku mniejszych pokoików znajdowała się sala przestrona i wysoka, w której niegdyś wieszano zimą sieci i włoki.

Ekonomowa, we drzwiach stojąc, dziewczętom swoim właśnie rozkazy wydawała, gdy niespodziiewanie Zosia się zjawiła.

— Jak się kochana pani Szlifirska ma?

— Całuję rączki panny hrabianeczki; dzięki Bogu, nieźle; jakoś się jeszcze trzymam, choć z temi darmożjadami tyle mam przykrości od rana do ciemnej nocy, że już dawno powinnabym ziemię gryźć. Mów do nich, proś, zaklinaj, wszystko na nic... jakbyś groch rzucał na ścianę. Byleś się odwróciła, zaraz coś zwojują; a nie śledź ich, to pewnie ręce założą i nic robić nie będą... Ale do chłopów umieją zęby szczerzyć. Prawdziwie boskie skaranie z taką naturą paskudną.

Pani Szlifirska była kobięcina podsadkowata, tłusta, ogorzała. Lubiła wiele mówić, a zawsze głośno; zato daleko i szeroko słynęła tak z pracowitości jak z energii. Trzasnąc dziewczkę w kark, nawet chłopą w twarz lunąć, było u niej drobnostką. Że w gniewie musiała często w ten sposób do opornych przemawiać, świadczyła o tém najlepiej ta okoliczność, że ilekroć z mężem się sprzeczała, ten przez cały czas szermierki językowej z jej prawej ręki oka nie spuszczał.

— Niech się pani Szlifirska nie irytuje, bo zdrowia szkoda—Zosia jej perswadowała.—Przybiegłam zapytać, czego pani będzie z miasta potrzebowała. Do dnia powiezie Franek masło na pocztę, więc dam przez niego list do sklepu.

— Mam wszystko wynotowane, zaraz panience dam karteczkę. Najwięcej potrzeba kiełbas i słoniny paprykowanej, bo za tém porządni robotnicy przepadają. Dziś w południe było tu kilku inżynierów, jedli mój paprykasz i bardzo im smakował. Bo też ja go robię, że po nim jeno palce oblizywać.

— A na kolacyą co będzie?

— Zrazy zawijane z kaszą hręczaną; dla tych zaś, co wieczór mięsa nie jedzą, kluski z sereń. Ręczę, że

inżynierowie na kolacyą także przyjdą, bo, jak pani Szlifirska co przyrządzi, to proszę siadać...

— I z apetytem zjadać—Zosia, śmiejąc się, dokończyła.

— Panna hrabianeczka ślicznie to powiedziała... Piwa i wódki, dzięki Bogu, dosyć wychodzi, lecz upić się nikomu nie pozwolę; u mnie przecie nie karczma, jeno traktyernia; wczoraj chciał jakiś drapichrust koniecznie się ududlać, ale jakem go wzięta za kark, ani się spostrzegł, kiedy się znalazł na dworze, brzuchem do ziemi... Inżynierowie pytali o wino, a jam odpowiedziała, że jeśli będzie potrzeba, to się znajdzie.

— Dobrze pani Szlifirska zrobiła. Tymczasem weźmiemy kilkanaście butelek z naszej własnej piwnicy, potem z miasta sprowadzimy. A dużo pani dziś zebrała?

— Utargowałam już, niech Panu Bogu będą dzięki niewymowne, trzydzieści siedm reńskich i pięćdziesiąt krajcarów; ale to nie wszystko, kilku jadło na „borg.” Są to jednak moi stali goście, którym można zawierzyć. Dziś wieczór dostaną pieniądze i zapłacą. Panna hrabianeczka weźmie może kasę?

— Nie, kochana pani. Tygodniowy obrachunek zrobimy dopiero jutro, o ósmej rano, gdyż w tym czasie chcę także sklep obliczyć. Teraz wezmę tylko notatkę i zobaczę, co tu się dzieje.

To rzekłszy, weszła do domu, przebiegła salę i przyległe pokoiki, a znalazłszy w nich porządek wzorowy, zajrzała jeszcze do kuchni. Tu jedna dziewczka siekała mięso na zrazy, druga wyrabiała ciasto na kluski. Na kuchni stało kilka sporych garnków, nakrytych czystymi pokrywami, pod nią zaczynało się dopiero palić. Szlifirska postępowwała krok w krok za pannią i bez przerwy chwaliła swą pracę.

Zosia nie wyszła z kuchni na podwórze, lecz jeszcze na chwilę do sali wróciła, z kąd przez okno otwarte widać było nasyp kolejowy, na nim mrowisko ludzi.

— A to kto? — nagle zawołała, widząc na koniu jakąś postać w stroju błękitnym, pędzącą wzdłuż nasypu ku barakom, które przedsiębiorcy kolejowi dla robotników wystawili.

Od baraków nie było daleko do gaju dębowego, popod którym Zosia szła niedawno.

— To mój bławatek, śliczna hrabianeczko, mój cudowny bławatek! — Szlifirska zawołała, i czerwone jój oblicze, dotąd poważne, prawie chmurne, nagle się rozweseliło. — Powiadam hrabiance, że piękniejszego chłopca, jak żyję, nie widziałam. Był tu wczoraj, oglądnął nasz zakład, wypił szklanekę piwa, ogromnie wszystko chwalił, pokręcił się trochę i odjechał. Gdybym tak miała lat ośmnaście, jak mi Bóg miły, nie chciałabym być niczyją żoną, tylko ułana. To mi dopiero chłopcy!

Podczas gdy ekonomowa mówiła, Zosia, lekko brwi ściągnąwszy, wpatrywała się w postać błękitną, która była już niedaleko baraków.

— Lecz kto to taki?—drugi raz zapytała.

— Młody pan Grzywa... Śliczny porucznik od ułanów!

— To ten — odrzekła obojętnie i zaraz dodała:— Domyślałam się tego.

— Panna hrabianka go zna?

— Z widzenia... My w Strzałkowicach nie bywamy.

— To wielka szkoda. Chłopiec jak malowany. A widać także, że rozumny i musi być poczciwy, bo mu dobrze z oczu patrzy. Tacy nie rodzą się na kamieniu.

Zosia nic na to nie powiedziała. Przystąpiwszy do okna, odetchnęła pełną piersią, mówiąc: „Jakie powietrze cudowne!”—poczém usiadła na krześle, które przy niém stało, gdyż szczęśliwie sobie przypomniała, że z panią Szlifirską potrzebowała się jeszcze w kilku ważnych rzeczach naradzić. Ale chociaż interesami



była bardzo zajęta, mimo to jój spojrzenie wybiegało mimowolnie za okno i zatrzymywało się dopiero przy barakach. Tyle miała dziś na głowie, o tyle szczegółów potrzebowała ekonomowę zapytać, że na śmierć zapomniała o pocziwym Paszucie, czekającym na nią pod dębem w słodkich objęciach Morfeusza.

Nareszcie spojrzała na zegarek.

— Już po piątój! Boże! jak czas leci.

Szybko powstała, raz jeszcze wyjrzała przez okno i, zwracając się do ekonomowój, rzekła:

— Niechże pani Szlifirska pamięta, że jutro, o ósmój, zrobimy obrachunek tygodniowy. Do miłego widzenia, kochana pani.

Ekonomowa w rękę ją pocałowała, mówiąc:

— Może dam którą dziewczynę, żeby pannę hrabiankę odprowadziła?

— Dziękuję pani, niech się od roboty nie odrywają. Na górze pocziwy Paszuta na mnie czeka.

To powiedziawszy, na dwór wybiegła.

Ścieżka prowadziła ztąd najpierw przez zarośla, a dalej popod las. Zarośla całkiem ją zakrywały— i tych, co się na ścieżce znajdowali, z dołu nie można było widzieć.

Gdy Zosia zarośla mijała, zdawało jój się, że brzegiem lasu, który w tém miejscu nie był podszyty, ktoś biegł prędko, jakby jój chciał drogę zastąpić. Chociaż tylko jeden raz w tamtą stronę spojrzała, była prawie pewna, że idący miał na sobie ubiór błękitny. Serce gwałtownie jój uderzyło i cała drżąca rzuciła się na ścieżkę, by coprędzej na górę się dostać. Mogło to być zresztą czyste przywidzenie; jeśli zaś nie, to kto wie, czy ten człowiek nie szedł do garkuchni, tamtędy bowiem nadchodzili zwykle robotnicy z baraków, między którymi byli i tacy, co mieli bluzy niebieskie. Tak się pocieszała, a mimo to chciała ptakiem na wzgórze wlecieć; lecz wszystko się przeciw niej sprzysięgło: zmieszanie, prawie przestrach, stromość wzgórza, wre-

szkie obuwie cieniutkie, w którym niesposób było pośpieszyć po drodze, w tém miejscu krzemienistój. Mimo to szła, jak mogła najprędzej. Gdy z przestrachu trochę ochłonęła, chciała się obejrzyć—w tym celu nawet przystanąła, w ostatniej jednak chwili odwaga ją opuściła, ponieważ jój się zdawało, że słyszy za sobą kroki i jakby dźwięk ostróg.

Serce zaczęło się w niej trząść; w oczach jój pociemniało; była chwila, iż myślała, że upadnie. Cud był prawdziwy, że się jakoś na nogach trzymała; bał odtąd nawet biegła szybciej, niż przedtém. Tymczasem odgłos kroków za jój plecami robił się coraz wyraźniejszy, coraz bliższy—nawet słyszała, że ktoś cicho wołał:

— Panno Zofiol... Przez litość boską, proszę się zatrzymać!

Nie chciała o tém nic wiedzieć i biegła dalej przestraszona. Ten zaś, co ją ścigał, był już tak blisko, że mógł ją prawie ująć za ramię. Dobyła reszty sił, przyskoczyła do najbliższego drzewa, a chwyciwszy się kurczowo jego gałęzi, obróciła się do swego prześladowcy i jęknęła:

— Czego pan chcesz?... Czemu mnie pan ścigasza?... Bożel...

Śmiertelnie była blada, drżała jak liść, oczy miała zamknięte.

— Panno Zofiol błagam cię, uspokój się!.. Mnie tu sprowadzają święte obowiązki przyjaźni i mój honor!.. Nie lękaj się niczego, panno Zofio, zaklinam cię, przez miłość dla Stasia!..

W jego głosie tyle było rzewności, każde jego słowo tak brzmiało sympatycznie, że wreszcie odważyła się oczy otworzyć.

Przed nią stał młody porucznik od ułanów z głową odkrytą, nieśmiały, zmieszany.

— Jeszcze raz błagam cię, pani, racz się uspokoić!—dalej prosił. — Mam delikatną misyą do spełnienia, nic więcęj... Gdyby nie potrzeba zachowania ścisłej taje-

mnicy, nie byłbym się ośmielił ścigać pani w sposób równie natrętny jak niehonorowy. Już od trzech dni na panią tu czatuję... Przyznaję się do tej zbrodni, bom ją musiał spełnić. Mam ważny list od Stasia.

Podczas gdy on tak mówił, Zosia odzyskiwała przytomność, a z nią odwagę. Gdy zaś usłyszała imię swego brata, żywo zawołała:

— Od Stasia?... Pan ma list od Stasia?... Proszę mi go dać, tylko prędko, bo ja ztąd muszę odejść!

To rzekłszy, spojrzała uważnie dokoła, jakby się chciała upewnić, że ich nikt nie widział.

— Mam list bardzo ważny; wszelako nim go pani wręczę, muszę wpiérw otrzymać od niej słowo, że prócz pani jednéj nikt więcéj o nim nie będzie wiedział.

— Dlaczego to żądanie?

— Staś mi to za warunek postawił, a ja muszę skrupulatnie zastosować się do jego życzenia.

— Skoro tak, więc dobrze.

— Przyrzeka pani?

— Przyrzekam.

— Proszę mi więc dać na to rękę. Jam żołnierz a wojskowi inaczej słowa ani dają, ani przyjmują.

Wahała się czas jakiś, w końcu atoli rękę mu podała. Ujął ją w obie dłonie i, w oczy jéj patrząc, mówił daléj z uśmiechem:

— Sprawa zatém w połowie skończona... teraz następuje drugi warunek.

— Ach! panie! jak widzę, są to przykre żarty! — zawołała, rękę cofając. — Miasto mi dać list, pan wciąż nowe warunki stawia.

— Czynię jedynie to, co mi nakazano; a że z dam nigdy nie żartuję, to poświadczy ta broń, którą u boku noszę.

— Więc mów pan prędko, bo inaczej odejdę.

— Staś stanowczo żąda, o czém niewątpliwie w swoim liście także pisze, by odpowiedź pani doszła do niego za mojm pośrednictwem. W ten sposób

spodziéwa się on najłatwiej wszystko w tajemnicy utrzymać.

— Ależ dobrze, dobrze! Proszę mi tylko dać jego list!...

— Natychmiast, panno Zofio. Wpiérw jeszcze muszę zapytać, kiedy mi pani raczy dać odpowiedź?

— Jak tylko list napiszę... Może jutro, pojutrze najpóźniej...

— A w jaki sposób ją otrzymam?

— Przyślę ją panu do Strzałkowic. Od nas prawie codzién jeżdżą posłańcy do miasta, na Strzałkowice najbliżej.

— To niemożliwe, panno Zofio! Posłańcy są zazwyczaj niedyskretni. Gdyby się istotnej prawdy domyślili, byłoby źle; to bowiem, co ma w tajemnicy zostać, stałoby się wtedy głośném; w razie zaś, gdyby przypuszczali co innego, mogłoby być nierównie gorzej...

Chociaż nie odgadła myśli, ukrytej w ostatnich jego słowach, czuła jednak, że jego obawy były uzasadnione.

— Odpowiedź mogłabym panu przysłać przez człowieka zaufanego — rzekła; — wszelako jeśli panu się zdaje, że to niedobrze, więc zostawię ją gdziekolwiek, naprzykład pod tym tu kamieniem... Pan przyjedzie i ją weźmie.

— Skoro mam przyjechać, to czyż nie będzie stokroć lepiej, gdy mi ją pani wręczy osobiście? Ja się tu będę codzién zgłaszał o téj samej co dziś godzinie i z upragnieniem będę czekał na odpowiedź... Jako wierny przyjaciel Stasia, chcę jego polecenia sumiennie wypełnić; pewności zaś nie mam żadnej, że list nie zginie, jeśli go z rąk pani nie otrzymam.

— Możebym to uczyniła, lecz doprawdy nie wiem, jak to urządzić...

Znów trwożliwie dokoła spojrziała. Na szczęście nikt nie nadchodził.

— Przy dobrej woli wszystko da się zrobić—rzekł młody człowiek.

Nieopodał, pod dębem, dał się słyszeć cichy kaszel. Zosia drgnęła.

— Niech więc i tak będzie! Ale, na litość boską, daj pan już raz ten list, bo muszę odejść!

— A więc słowo, panno Zofio?

— Słowo.

— W takim razie proszę mi rączkę podać.

— O! co to, to nie! Pan już tak długo przedtém ją trzymał..

— Niech się pani zdaje, że nie ja o to proszę, ale Staś, bo to dla niego.

— Ach! jaki pan uparty!.. A więc dobrze, ma pan—dodała, rękę mu podając;—proszę jednak o list, bo już idę!

— Więc kiedy mam się zgłosić?—zapytał, list z bocznej kieszeni wyjmując. Podczas gdy prawą ręką to czynił, lewą silnie jęj rączkę przytrzymał. Ona wprawdzie ją cofała, lecz tak jęj to szło niezręcznie, iż żadną miarą wyrwać jęj nie mogła.—Jeśli pani pozwoli—mówił dalej, — przyjdę po odpowiedź jutro, o tęj samej co dziś godzinie. Zgoda?

— To zaprędko... przyjdź pan lepiej pojutrze... Albo nie, niech pan jutro tu będzie; już ja się jakoś z panem skomunikuję; wszakże gdybym jeszcze nie miała odpowiedzi gotowój, bo kto wie, czego Staś ode mnie żąda, w takim razie zgłosi się pan pojutrze.

— Dzięki ci, panno Zofio, stokrotne dzięki! A na pożegnanie wolno tę śliczną rączkę pocałować?

— Przepraszam pana! — zawołała oburzona i, rękę wyrwawszy, puściła się ścieżką pod górę.

Chciał za nią pobiegnać, paść na kolana, przeprosić, lecz w tęj samej chwili zjawiała się osoba trzecia, najmniej między nimi potrzebna. Był to stary Paszuta. Ten, zbudziwszy się szczęśliwie, zerwał się, jak mógł najprędzej, w pobliżu bowiem słyszał wyraźnie jakies

głosy—i teraz, resztek sił dobywając, zstępował na dół krokiem przyspieszonym.

— Idę, panno hrabianko, idę! — wołał zdaleka.— Niech się panna hrabianka nie boi, Paszuta jest tu!.. Dam ja temu chłystkowi! Ciekawym, czego on tu chce?

— Cicho, Paszutuńciu! Przez miłosierdzie boże, cicho!—szepnęła, przed nim się zatrzymując.

— Ale on pannę hrabiankę napastował, za rękę chwycił, widziałem to na własne oczy. Poznałem go odrazu... to młody Grzywa, człek lichój kondycyil

— Cicho, Paszutuńciu, bo jak usłyszy, gotów się śmiertelnie obrazić... Przecie to porucznik, człowiek honorowy.

— Tacy najgorsi, panno hrabianko, najgorsil! Czego on tędy łązi? czy on tu co zgubił? A może radby co takiego znaleźć, co nigdy nie było i nie powinno być jego własnością? Widzi panna hrabianka, jak źle się stało, żem ją samą puścił. Gdyby Paszuta był przy niej, nie byłby się odważył przystąpić.

— Przeciwnie, bardzo dobrze się stało, otrzymałam bowiem od niego pomyślne wiadomości, obchodzące blisko naszą rodzinę, a w szczególności mego brata, Stasia.

— Więc on wspominał co o młodym panu hrabi?... Prawda, że to oni razem w wojsku służyli..

— Ma o nim bardzo dobre wiadomości; gdy atoli są to rzeczy, które muszą zostać w tajemnicy, przeto zaklinam cię na wszystko, panie Paszuta, żebyś nikomu nie wspominał, iżeś mnie tu z nim widział.

— A czy to ja baba, panno hrabianko, żebym się plotkami trudnił?—odrzekł starzec z indygnacją.—Taki włóczykij, Dyonizy, byłby może zdolny do czegoś podobnego, ale nie Paszuta. Przez lat sześćdziesiąt niejedno się widziało i słyszało, a przecie nigdy z siebie pary nie puściłem. O! Paszuta umie trzymać język za zębami i jego państwo pewnie się na niego nigdy nie poskarżą.

— Dziękuję ci, kochany panie Paszuta, serdecznie ci dziękuję! a com przyrzekła, święcie dotrzymam. Jeszcze dziś pomówię z młodym panem.

— Bóg zapłać, panno hrabianko, Bóg zapłać!

Podczas gdy oni tak rozmawiali, do dworu idąc, Antoś w zamyśleniu na dół zstępował. Widział on Paszutę i w pierwszej chwili jego widokiem bardzo się zmartwił—lękał się bowiem, by panna Zofia nie miała jakich nieprzyjemności. Rozum atoli prędko go uspokoił, szepcząc mu, że w takich wypadkach kobiety, nawet najmłodsze, są przytomniejsze od mężczyzn, więc i ona będzie wiedziała, jak zmylić starego sługę, gdyby się w nim obudziła najmniejsza podejrzliwość. Liczył także na wrodzoną każdemu mężczyźnie rycerskość, która im nie pozwala sprawiać przykrości kobiecie, zwłaszcza gdy ta jest młoda i piękna.

Ale mimo że się uspakajał, był wciąż zamyślony; gdy zaś na dół zszedł, stanął i w górę oczy podniósł, jakby jeszcze chciał wzrokiem objąć to miejsce, gdzie pierwszy raz w życiu z nią rozmawiał i za rękę ją trzymał..

Równocześnie Zosia, wyszedłszy na szczyt pagórka, przez wzgląd nie tyle na siebie, co na Paszutę, który dobrze się już zasapał, także stanęła i, by nacieszyć się widokiem, który tak lubiła, spojrzała na dolinę..

Tam, pod dębem, stał ułan w stroju błękitnym; a chociaż jego twarzy nie mogła dojrzec, zdawało się jej, że był smutny... Posmutniała i ona, sama nie wiedząc czemu; przez całą drogę do dworu ust więcej nie otworzyła i dopiero przy drzwiach rzekła cicho:

— Dziękuję panu Paszucie!

Stary sługa zdjął czapkę, w rękę ją pocałował i odszedł do oficyn z niebem w duszy, by noc całą cudowne roić obrazy.

Zosia wbiegła do siostry na jedno mgnienie oka, pokreśliła się po pokojach,—a czyniąc to, nuciała głośno jakąś aryą włoską, by wszyscy wiedzieli, że jest w do-

mu; przesunęła się poprzód oczy pani Zielińskiej; zaszczebiała przelotnie do Konrada, wychodzącego ze swój kancelaryi—i dopiero gdy się upewniła, że jej ponowne wydalenie się z domu w nikim podejrzenia nie obudzi, wybiegła ukradkiem do ogrodu. Tu ukryła się w bocznej altanie, do której rzadko kto zaglądał, i ostrożnie wyjęła list z kieszeni. Nim jednak kopertę rozerwała, spojrzała jeszcze uważnie przez liście winogrodu, ażali jej kto nie widzi. Serduszko trzęsło jej się w piersiach, jak ptaszę w samotrzask złowione, boć pierwsza to była w jej życiu tajemnica, z którą miała kryć się przed wszystkimi. Jak ją to cieszyło, a jak podnosiło w jej własnej opinii!..

Nareszcie, cicho kopertę rozdarłszy, wzrok ciekawy acz niespokojny na list rzuciła.

Brat pisał:

„Moja Zosiu najdroższa! Opuszczając Europę, powiedziałem sobie, że póty do was się nie zgłoszę, póki wszystkich błędów w sobie nie wykorzenię i tyle nie zbiorę, ilem lekkomyślnie roztrwonik. Postanowienie moje było niezłomne, i możesz mi wierzyć, moja siostrzyczko najukochańsza, że umiałbym w niem wytrwać, gdyby nie to, że dziś jasno widzę, iż zetknięcie się z tobą nietylko mi nie zaszkodzi, przeciwnie—zachęci mnie ono jeszcze bardziej do walki, którą toczę, i wesprze moją wolę. Jak kwiat, nim żywemi barwami zapłonie, potrzebuje wpiérw opieki troskliwej i ręki kochającej, tak i biedna dusza moja ogląda się za tymi, których kocha i do których tęskni—bo tylko oni mogą ją wesprzeć i uszlachetnić, tylko oni mogą jej dopomódz do zwycięstwa! Ręką moją, gdy te słowa piszę, nie kieruje więc dawna słabość charakteru, która ongi nad kraj przepaści mnie przywiodła, ale sumienne obliczenie się z siłami ducha, który chce zmeźnić!

„Za powiernicę moją wybrałem ciebie, Zosiu najdroższa! bo, jako najmłodsza, prawdopodobnie mniéj odczuwasz krzywdę, przeze mnie wam wyrządzoną; zresztą



jesteś sama, nie masz męża, łatwiej więc potrafisz ukryć naszą korespondencją, niż Alisia, która, jako żona kochająca, musiałaby ze wszystkiemi zwierzyć się przed mężem. Ja zaś pragnę téj tajemnicy głównie przez wzgląd na ojca i Konrada; ci bowiem, jako mężczyźni, gotowiby poczytywać samo już moje zgłoszenie się do was za nowy objaw słabości charakteru, a tego boję się najbardziej.

„Mój pobyt w Rio Janeiro mógłbym śmiało nazwać przyjemnym i korzystnym, gdybym go, niestety! nie musiał uważać za wygnanie, które, acz dobrowolne, jest już dla tego samego nad wszelki wyraz przykre, że ani mogę przewidzieć, kiedy się skończy i kiedy tych uściskam, których kocham nad życie, a których miłość radbym sobie nawzajem zaskarbić... Natura tu bujna, bogata, niebo wiecznie uśmiechnięte, rzadko kiedy huczą tu pioruny, chociaż, gdy to się zdarzy, są one stokroć groźniejsze niż nasze; ale cóż mi z téj natury wspaniałej, z tego nieba, siejącego same łaski na ziemię, skoro ono nie moje! O! jak niewymownie tęsknię do téj mgły szarej, unoszącej się wieczorami w téj porze roku nad łąką w Lipińcu! z jakąż lubością przypominam sobie nasze niebo smutne i często zapłakane! jak gorąco wzdycham do chwili, gdy obaczę nasze pola, lasy, chaty i gdy was uściskam! Lecz kiedy to nastąpi, kiedy? O! gorzkiem jest życie wyгнаńca!..

„Dzięki opiece kilku wpływowych rodaków, których tu poznałem, a głównie protekcji naszego ambasadora, któremu przedstawiłem się niezwłocznie po przyjeździe do Rio Janeiro, otrzymałem bardzo korzystną posadę w Banku państwowym i dziś mam takie dochody, że nietylko mogę żyć przyzwoicie, lecz także coś odłożyć. W ten sposób zebrał się już kapitalik kilkutyśięczny, który będę stale powiększał, póki tyle nie zbiore, ile wam jestem dłużny... Lecz jak daleko do tego! Powiesz, żem szalony... Być może, dziś atoli chcę szaleć w dobrem, jak niegdyś szalałem w złem

Jeśli, mimo największego woli wysiłku, nie dopnę celu zamierzonego, powiem sobie, że przynajmniej tyle spełniłem, ile było w mojej mocy; a wtedy i boleść moja będzie mniejsza, zwłaszcza że czuję, iż wtedy i wy mi łatwiej przebaczycie... Mam wprawdzie możliwość zdobycia wielkiego majątku i na innej drodze, wszelako na coś podobnego nie mogę się odważyć... Oto proponują mi tu małżeństwo z córką pewnego milionera, mającego na Amazonce siedm parowych okrętów i olbrzymie plantacje bawełny; ale ponieważ donny Inez nie kocham, więc czy mogę się z nią żenić? Poradź mi, najdroższa Zosiunciu, com czynić powinien, a pewno cię usłucham...

„Mieszkam sam, bywam tylko tam, gdzie muszę, nadzwyczajnych wydatków wcale nie mam, nawet cygar nie palę, przesiaduję najchętniej w domu, każdego wieczora zaś, gdy do łóżka się kładę, robię sumienny obrachunek z całodziennych swoich czynności. W ten sposób poznaję najlepiej moje błędy i każdym razem zasypiam z postanowieniem wystrzegania się ich nazajutrz. Jednakowoż nie zawsze mi się to udaje. Stare narowy nie łatwo wykorzenić... Często gęsto wracają one na nowo; ale ponieważ znam je już dobrze, przeto z dniem każdym słabnie ich siła zaczepna, wzrasta zaś we mnie odporna—i tak powoli jeden po drugim ustępuje... Wierz mi, Zosiu najukochańsza, brat twój dzisiejszy jest o wiele lepszym od dawniejszego, a zawdzięcza on to jedynie pracy nad sobą, lub właściwie codziennemu obrachunkowi swego sumienia.

„Co wy tam porabiacie? Ojciec i Konrad pewnie są gorliwie zajęci tak gospodarstwem, jak smutnymi interesami, Alisia dziećmi, ty fortepianem, śpiewem, książkami, a może i czém więcej, o czém ja tu nic nie wiem. Zosiu moja droga! Wszak tyś już panna skończona!... Poczciwy Antoś Grzywa, z którym stale koresponduję, informuje mnie jak może, lecz że w Lipińcu nie bywa, więc téż jego wiadomości nie mogą być do-

kładne. Jeśli jednak, moja droga Zosiu, serce twoje pragnie już czegoś więcej, niż muzyki, śpiewu i książek, a dotąd jeszcze nie jest zajęte, to zaklinam cię na wszystko, unikaj charakterów niezdecydowanych, natur miękkich, połowicznych, bo takie kobiécie szczęścia nigdy nie zapewnią. Kobiéta to powój słaby; mężczyzna powinien być zatém owym dębem niewzruszonym, dookoła którego powój oplata się z całym zaufaniem i żyje przy nim bezpiecznie.

„Co porabia nieśmiertelna ciocia Zielińska, czy jeszcze zawsze uszczęśliwia was kazaniami? Co robi stary Paszuta, co stangret Marcin, jakiego macie teraz rządcę i czy po nieszczęściu, w które was pogrążyłem, ojciec nie był zmuszony puścić folwarków w dzierżawę? Napisz mi, droga siostró, wszystko szczegółowo,—bo wszystko, co się u was dzieje, żywo mnie obchodzi. Uczuję téż pewną ulgę na obczyźnie, jeśli wraz z wami będę płakał...

„Nie słyszałaś co o księciu de Montpellier i jego rodzinie? Cokolwiek wiesz o niej, niezwłocznie napisz mi, moja Zosiuńciu najdroższa, a nieskończenie będę ci za to wdzięcznym—ludzie ci bowiem bardzo, ach! bardzo mnie obchodzą; po tém zaś, co się stało, nie wypada mi się do nich zgłaszać! Mój wstyd jest równie wielki jak moje przewinienie.

„O naszych sąsiadów nie pytam. O tych pocziwy Antoś obszérnie mi donosi, zresztą oni tacy nieciekawi!

„Radbym pisać długo, bardzo długo, wszakże czasu już nie staje. Za pół godziny poczta odjedzie do Europy, a ja chcę koniecznie mój list dziś wysłać, inaczéj musiałbym czekać cały tydzień, nim nowy okręt do starego świata odplynie. Chociaż list do ciebie wysyłam na ręce Antosia, mam nadzieję, że go tak otrzymasz, jak tego pragnę, to jest w tajemnicy, Antoś bowiem nad swój wiek jest młodzieńcem roztropnym i statecznym. Daleko twemu bratu do niego, daleko! Jaka szkoda, że m się nie powodował radami, które mi

dawał, gdyśmy razem w wojsku służyli. Wtedy go słuchałem,—wszelako, ledwiem go z oczu stracił, popadłem w dawne błędy i dziś trzeba za to ciężko pokutować.

„Kończę, bo muszę. Gdy po przeczytaniu listu mojego całować będziesz, moja Zosiu droga, swoich najbliższych, pomyśl, że to czynisz w mojem zastępstwie... Potem niezwłocznie mi odpisz, bo ja tu będę umierał z niecierpliwości, nim od ciebie odpowiedź nadejdzie; teraz zaś uściskaj choć w myślach twego biednego i nad życie kochającego cię brata—Stanisława.

„*Postscriptum.* A nie zapomnij, na litość boską, o ks. Montpellier i jego rodzinie!”

Właśnie gdy przeczytała, wszedł ktoś do ogrodu. Najpierw było słycać skrzywienie furtki, potem chód przyśpieszony. Bojąc się, by jój tu kto nie zobaczył i czego nie podejrzewał, schowała czémprędzej list do kieszeni i równie szybko, jak tu przybiegła, do domu wróciła.

Wieczorem była to roztargniona, to zamyślona; kilka razy nie słyszała, gdy ktoś do niej mówił, na co sam ojciec zwracał jój uwagę; z niecierpliwością wyglądała godziny, o której rozchodziło się towarzystwo; a gdy wreszcie dziesiąta wybiła, każdy udał się do swego apartamentu, zamknęła drzwi w swoim pokoiku na klucz; przez zbytek przezorności, mimo iż to było na piętrze, spuściła nawet story; chwilę przy drzwiach postąa, by się upewnić, czy sługa nie podsłuchuje; nakoniec usiadła przy stoliku i, list brata pokilkakroć ucałowawszy, drugi raz zaczęła go czytać od początku do końca. Gdy skończyła, wyjęła kilka kartek białego papieru z dużym monogramem—i piórkiem, jak włos cieniutkiem, tak pisać zaczęła:

„Stasiu mój biedny, dobry i najukochańszy! Ani-byś uwierzył, mój bracie najdroższy, jak mnie twój list uszczęśliwił i zmartwił równocześnie. Cieszę się niewymownie, żeś się przecież do nas zgłosił, a boleję

jeszcze bardziej, żeś od nas tak daleko, że tęsknisz do rodziny, a jednak się do niej nie wybierasz. Czy pięknie to, Stasiu, czy tak uczy religia? Gdyby to ode mnie zależało, wierz mi, jutro byłbyś w Lipińcu i twoja młodsza siostra zamknęłaby ci usta pocałunkami, byś się więcéj nie skarżył. To, żeś mnie wybrał za swoją powiernicę, nie tyle mi pochlebia, ile mnie cieszy; nie wątpię bowiem, że cokolwiek zechcesz, osiągniemy, gdyż na mnie z pewnością się nie zawiedziesz... Ja, mój Stasiu kochany, jestem osobą bardzo, ach! bardzo dyskretną, mnie téż można największą tajemnicę powierzyć i z pewnością utonie ona na dnie mojej duszy, jak w głębi morskiej otchłani... Ja nie lubię ani wiele mówić, ani się przed nikim zwierzać, bo wiem, że to najgorsze. Prócz mnie i Boga z pewnością nikt nie będzie wiedział, że do siebie pisujemy. Wpłyn tylko na swego przyjaciela, by i on był równie dyskretny. Wy, mężczyźni, dając nam nauki, zwykliście utrzymywać, że z nas żadna nie umie dochować tajemnicy; mybyśmy mogły wam dać przykład wstrzemięźliwości! O! ci mężczyźni, jacy oni niesprawiedliwi! Ja położonego we mnie zaufania z pewnością nie zawiodę; ale co do twego przyjaciela, to za tego wcale nie ręczę... Wielki Boże! czy może być mężczyzna mniej od niego ostrożny! Wyobraź sobie, co on uczynił. Gdym dziś po południu szła przypadkiem sama popod las, od stromy łąk do domu wracając, biegł tuż za mną, by mi twój list oddać. Chociaż tylko to czynił, co powinien, jam się jednak bała okropnie, gdyż ani się domyślałam, kto mnie ścigał... Cud prawdziwy, żeś nie narobiła krzyku,—na co się zanosilo, bo z pewnością byliby się ludzie zbiegli i byłaby cała historia... Aż póty wszystko jeszcze dobrze, lecz wyobraź sobie, co ten twój przyjaciel zrobił najlepszego! Oto przyjechał do Lipińca, aby mnie gdzie zobaczyć i niepostrzeżenie list oddać, w nowiusieńkiej ulance i ma się rozumieć przy pałaszu. Zapewne w tym celu to uczynił, żeby na ty-

siąc kroków mógł go każdy ujrzeć i poznać. Zawiódł się wszakże, ponieważ prócz mnie jednej nikt go więcej nie widział. Doprawdy, to lekkomyślność nie do darowania. Cobyście powiedzieli, wy, roztropni mężczyźni, gdyby kobieta coś podobnego zrobiła? Ręczę, że rzucilibyście kamieniem; wam zaś wszystko wolno, nawet błądzić, boście panami świata!... Ale ja się domyślam, czemu on się tak ubrał. Wié, że mu w ulance do twarzy... Ach! mężczyźni! mężczyźni! jacyście wy próżni! Mówicie o nas, że lubimy się stroić, by się podobać, tymczasem wy macie w sobie tę wadę w stopniu nierównie wyższym rozwiniętą; ale gdyby ją wam kto wytknął, ręczę, żeby was to śmiertelnie obraziło. W każdym razie, bracie mój najdroższy, napisz natychmiast do niego, żeby na przyszłość był przezorniejszym, bo mnie nie wypada mu tego mówić... Mam atoli nadzieję, że wspominając o tém swemu przyjacielowi, użyjesz słów najgrzeczniejszych i zwrotów prawdziwie dyplomatycznych, aby, broń Boże, nie domyślił się, że m to ja ciebie o to prosiła. Przecież ja się na niego nie gniewam... Był bardzo uprzejmy, delikatny, prędzej mówił zamało, niż zawiele, lecz chciałabym go ostrzedz... Nie zapomnij, Stasiu, o co cię proszę!

„Gdy te słowa piszę, łzy cisną mi się do oczu,— widzę bowiem, jak ci smutno na obcej ziemi, jak bardzo jesteś nieszczęśliwym. Ale po coś ty tam właściwie pojechał do téj Brazylii, czemuś z tatkiem do domu nie wrócił? Ty może myślisz, że tatko dotąd się na ciebie gniewa, a on ci już dawno przebaczył. Co do nas, myśmy nawet przebaczać nie potrzebowali, bo się z nas żadne nigdy na ciebie nie gniewało. Jak cię kocham, Stasiu, z ust Konrada nie słyszałam po dziś dzień ani jednego słowa skargi lub wymówki... Nie, nigdy! niesprawiedliwie nas więc posądzasz, bardzo niesprawiedliwie—a to mnie boli. Że pracujesz, cieszy nas to niewymownie; my tu także nie próżnujemy

i praca nas uszczęśliwia. Jak przyjedziesz, zobaczysz... Zresztą może w przyszłym liście opiszę ci szczegółowo terazniejsze nasze zajęcia, dziś atoli nie mogę tego uczynić, bo już jedenasta dochodzi, lampa mi się ciemno pali, a ja mam jeszcze tyle ważnych rzeczy do powiedzenia, ach! tyle! Ale ty, Stasiu, nie masz dla mnie serca braterskiego. Twój list taki krótki, lakoniczny, całą jedną stronicę zostawiłeś mi próżną. Czy godziło się być tak skąpym ze mną? Skoro poczta odchodziła, należało więc list wcześniej zacząć, bo przecież tyś się z nim kryć nie potrzebował... Ach! gdybym ja miała tyle swobody! Nie myśl tylko, bym jeszcze z kim korespondowała, ach! niech Matka Boska uchroni! List niniejszy jest piérwszy, o którym w domu nikt nie wie, ale i to li dlatego, że tak sobie życzysz. Jeśli ci w rzeczy samój tęskno do Lipińca, przyjeżdżaj jaknajprędzej, a przekonasz się, jak cię tu wszyscy kochają. Biédny tatko był z początku bardzo zmartwiony, ó! bardzo; uspokoił się wszakże trochę, gdy ten pan, co o tobie donosił, napisał, żeś zdrów i dobrze ci się powodzi. Podziękuj teraz temu zacnemu panu w imieniu nas wszystkich, że był taki grzeczny i, do nas pisując, otarł nam niejedną łzę gorzką... Zaiste! gdy sobie przypomnę, co się wtedy u nas działo, sama nie pojmuję, jak to się stać mogło, żeśmy nie pomarli z niepokoju i trwogil

„Pytasz o ciocię Zielińską? Zdrowa jest wciąż jak rybka, czujna jak ptaszek, a gorliwa w nauczaniu jak zawsze. Ale, mocny Boże! jaka ona zimna! Wierz mi, nawet wtedy, gdy na dworze mamy kanikułę, na sam jój widok dreszczów dostają. Lecz co ona temu winna, że taką na świat przyszła? Sądzę, że musi jój z tém być bardzo dobrze, jest bowiem wiecznie jednakowa: ani się nigdy nie martwi, ani niczém nie raduje—wielka radość ponoś także szkodzi,—apetyt ma wyśmienity, śpi lepiej niż my wszyscy i chyba to jedno jój dokuca, że nie może się dość szybko poruszać. Sądzę, że

gdyby pod tym względem Pan Bóg ją jeszcze pobłogosławił, nauczałaby prócz nas także czeladź folwarczną, nawet chłopców we wsi... Z tém wszystkiém, choć ona taka szczęśliwa, nie życzyłabym nikomu, a już najmniej sobie, być jak ona. Czemu, tego dokładnie nie powiem. Sądzę jednak, że nawet taki człowiek miéwa czasem błyski jaśniejsze, a gdy w nich zrozumie, że nie jest ani dla świata użytecznym, ani przez ludzi kochanym, choćby nie chciał, musi cierpieć...

„Pocziwy Paszuta został już gracyalistą. Starowina bardzo się tém gryzie i dziś właśnie wymógł na mnie przyrzeczenie, że się za nim wstawię do Konrada, by go napowrót wziął do służby. Przy herbacie mówiłam o tém z Konradem, lecz niewiele wskórałam. I słusznie. Paszuta jest już tak stary, że ledwie na nogach się trzyma, więc tak nas jak i siebie narażał ostatnimi czasy na liczne nieprzyjemności. Mimo to Konrad przyrzekł mi używać go niekiedy do posług pomniejszych, aby staruszek nie potrzebował się tém gryźć, że ję chléb daremnie. Gdy mu jutro to powiem, boję się, żeby starowina nie umarł ze zbytnej radości.

„Marcin jest dotąd stangretem, ale jedynie to go ocaliło i u nas zatrzymało, że przed księdzem w kościele złożył uroczyste przyrzeczenie, iż do końca życia wódki pić nie będzie. Gdyby nie to, byłby go Konrad z pewnością oddalił, w ostatnich bowiem czasach tak zaczął pić, że każdej godziny można się z nim było obawiać wielkiego nieszczęścia. Rządcy nie mamy teraz żadnego. Z wyjątkiem Lipińca, inne folwarki są w dzierżawie, w Lipińcu zaś Konrad daje sobie radę z ekonomem. A jaki u niego ład! Jak go wszyscy słuchają, mimo że nie jest surowy, a jak go kochają!

„Konrad i Alisia zdrowi; dzieci, dzięki Bogu, pięknie podrastają, a ja... Boże! jakie nieszczęście! Już kilka razy podkręcałam knot u lampy, nie wiedząc, czemu się tak ciemno paliła; tymczasem teraz przeko-



nałam się, że w niej niema ani kropli nafty. Bożel jaka ja roztrzepanal Czy téż ze mnie co będzie? Wiedziałam, że mam do północy pisać, a nie kazałam lampy dolać. Teraz wszyscy śpią, sługi budzić nie mogę, boby Bóg wié co pomyślała; zresztą Konrad stanowczo zabronił przy świetle naftę wyjmować. Tak więc dziś listu nie dokończę. Boże! jakie nieszczęście!.. Jutro miałam go oddać, a tu lampa..."

Nie dokończyła słowa ostatniego, gdyż w tém miejscu lampa rzeczywiście zgasała.

Zafrasowana rozebrała się pociemku i spać się położyła. Długo jednak nie mogła usnąć. Wrażenia dnia tego zbyt były gwałtowne i jeszcze nadto świeże, by je była w stanie zapomnieć; prócz tego rzeczy najważniejsze, o których chciała pisać, zostawiała do drugiej połowy listu. Snuły się więc one teraz po jój główce; zastanawiała się nad tém, co powiedzieć, a co przemilcząć; nawet w duchu się pytała, ażali to nie będzie z jój strony wielką niedyskrecyą, jeżeli bratu swemu coś takiego doniesie, czego sama dotąd ledwie się domyślała...

Ale jój sumienie było dość spokojne...

Nareszcie sen ją pokonał.

I oto spotyka Stasia w dużém mieście, o płaskich dachach a szerokich ulicach, wśród ludzi całkiem jój obcych, którzy go namawiają, by się żenił z bogatą Brazylianką, chociaż jój babka była jeszcze napół dziwką kobiętą; widzi, że on się waha i czeka, co ona mu poradzi; patrzy na ból ojca, na łzy siostry, na niepokój Konrada i, wielce tém strwożona, sama płakać zaczyna... Na jój szczęście przykry obraz rozplynął się niby mgła poranna i ona jest teraz zupełnie gdzieindziej: nad brzegiem tego morza południowego, którego wspomnienie z lat dziecięcych żywe po dziś' dzień w jój pamięci zostało... Stoi sama jedna i patrzy. Nad nią, na niebie błękitném, jasne słońce płonie — przed nią roztacza morze zwierciadło lazurowe, na którém fala,

lekkim powiewem wiatru ku brzegom niesiona, srebrzyste grzywki zwija — w powietrzu woniejącem słycać śpiew słowika — rozkosznie w naturze, a słodko w jej duszy... Kiedy tak stoi, w bezbrzezną przestrzeń zapatrzona, spostrzega na dalekim widnokregu małą łódkę z podniesionym w górę żaglem jak skrzydło białego motyla. Łódź kołysze się na fali, to skryje się w głąb na chwilę, to znów w górę wypłynie, a wiatr niesie ją coraz bliżej, prosto ku brzegowi. Płynie łódź jak rybitwa, jej kształty robią się coraz wyraźniejsze; wtém daje się słyszeć śpiew donośny, męzki, pełny, jak dzwon spiżowy, a słodszy od słowiczego. Łódź się zbliża, śpiew robi się coraz wyraźniejszy. Zosia się z zachwytem wpatruje i oto pod żaglem widzi postać wysmukłą, w stroju jak niebo błękitnym. Młodzian to cudnej urody, na wiatr rozpuścił kędziory, lewą ręką masztu się trzyma, w prawej podniósł kapelusz wysoko i, płynąc prosto do niej, nuci wesołą pieśń żeglarza, witającego zdaleka przystań upragnioną...

Serce zaczyna jej bić niespokojnie, radość z trwożą zmieszana duszę jej wypełnia, chce uciekać, a pragnie cudownej pieśni dalej słuchać; z upragnieniem wygląda chwili, gdy piękny żeglarz do brzegu przybije, a boi się go zobaczyć...

— Panienko, już siódma! — dał się słyszeć głos Marysi i silne do drzwi pukanie.

Drgnęła i oczy otworzyła.

Siedziała wśród bieluchnej pościeli, na swoim łóżeczku, w pokoju napół ciemnym, gdyż story u okien dotąd nie były podniesione. Wszystko, o czém śniła, gdzieś pierzchło, spłoszone niedyskretnym głosem dziewczyny... W pamięci została tylko cudna postać żeglarza, w duszy brzmiał jego śpiew melodyjny.

— Panienko, już siódma! — pokojowa powtórzyła, silniej pukając.

— Zaraz, Marysiu, zaraz! — Zosia odpowiedziała jej, z łóżeczka wyskoczywszy, najpierw list wczoraj za-

częty do szuflady schowała, potem pobiegła drzwi otworzyć.

— Panienska się zamknęła, jakby się, uchowaj Boże, złodziejów bała — rzekła dziewczyna z uśmiechem, do pokoju wchodząc.

— Doprawdy, sama nie wiem, czemum to uczyniła... ale ponieważ zadługo dziś spałam, więc teraz trzeba ubrać się w jedném mgnieniu oka. Marysiu! nie traćmy czasu!

Tak mówiąc, zaczęła się szybko ubierać; o pół do ósmój, jak zwykle, znajdowała się już w sali jadalnej przy śniadaniu z resztą towarzystwa.

O ósmój, stosownie do polecenia wczoraj wydanego, przyszła ekonomowa, razem z panią Zakrzewiecką, pod której zarządem wiejski sklepik zostawał, i Zosia przeszło dwie godziny robiła z niemi rachunki. Ale chociaż cyfry pilnie badała, jój myśli odrywały się tak daleko, gdzieś nad morze, że w końcu nie mogło tego nie dostrzedz nie tyle bystre, co doświadczone oko pani Szlifirskiej.

— Pannę hrabianeczkę musi główka boleć — rzekła ze współczuciem, — może więc odłożymy rachunki na popołudnie...

— Istotnie, boli mnie trochę... spuściłam niepotrzebnie na noc story i zatwardo spałam. Ale to nic, przejdzie... Obrachunek jednak musimy zaraz skończyć, bo przecież sama pani Szlifirska mawia, że tylko sér odkładany jest dobry.

— Prawda, lecz gdyby pannie hrabiance miało to szkodzić...

— Bynajmniej! Jestem pewna, że za chwilę będzie dobrze.

I, aby okazać, że jest, jak mówi, skupiła teraz całą uwagę i wkrótce rachunki ukończyła.

Przed obiadem usiłowała kilka razy skryć się do swego pokoiku, by dalej pisać, lecz to jój się nie udało.

To siostra miała z nią o czémś ważném pomówić, to ojciec prosił, żeby mu chwilę zagrała i zaśpiewała, to nareszcie ciocia Zielińska, za rękę ją przytrzymawszy, nie mogła na sobie przenieść, żeby jój nie udzielić kilku rad, nie tyle krótkich, co zbawiennych, a niedroгих. Biędne dziecko niecierpliwiło się bardzo, serdu-szko wciąż mu się tłukło, w duchu zaś raz po raz pytało:

— Boże! Boże! jak ja mu dam znać, że list jeszcze nie gotów?

Wprawdzie tę samą możliwość już wczoraj przewidywała; lecz czy mogła wtedy przypuścić, że tak trudno jój dziś będzie z nim się zobaczyć? W ciągu tój jednéj doby jak wielka zmiana w niej się dokonała! Czego ten sen nie narobił!... Boże! Boże! za co ona tak cierpi?

A lubo skarżyła się, że cierpi, jakoś nawet przez myśl jój nie przeszło uwiadomić przyjaciela brata przez kogo innego, naprzykład przez dyskretnego Paszutę, by dopiero nazajutrz po list się zgłosił. Przeciwnie, wciąż przemyśliwała nad sposobami, jak wyjść z domu i z nim się zobaczyć. Im bliżej była piąta, tém bardziej wzmagał się w niej niepokój, zato gdy godzina stanowcza już uderzyła, była prawie całkiem spokojna i, nucąc wesołą piosenkę, zbiegła bez kapelusza a tylko pod parasolikiem do ogrodu. Minęła go lotem błyskawicy; lecz gdy się na jego końcu znalazła, zkąd potrzeba jeszcze było ujść spory kawałek drobnemi zaroślami, nimby się dostała do tego miejsca, gdzie wczoraj młody ułan z nią rozmawiał, nie odważyła się pójść dalej. Zatrzymała się tedy pod lipą rozłożystą i znów coś wesołego zanuciła.

Czy ją usłyszy? Czy się domyśli? Czy przyjdzie?

Ledwie kilka tonów w powietrzu rozbrzmiało, a już od strony dąbrowy dały się słyszeć kroki biegnącego człowieka. Przelekła się bardzo i chciała uciekać; nim atoli miała czas zamiar swój wykonać, ujrzała wśród

zarośli pana Antoniego. Niespodziankę sprawił jój wielką, dziś bowiem, jakby jój myśli odgadując, zjawił się w ubraniu cywilném. To ją jeszcze lepiej dla niego usposobiło.

— Przepraszam pana, że listu nie przyniosłam — przemówiła dość nieśmiało; — nie miałam jednak czasu go dokończyć. Zato jutro z pewnością będzie gotów.

— Ja zaś temu spóźnieniu błogosławię — odparł młody człowiek, nisko się kłaniając.

— Istotnie?

— Bo nietylko dziś, ale i jutro będę miał szczęście widzieć panią.

Poruszyła się niespokojnie i odrzekła:

— Przepraszam pana bardzo, że już muszę odejść. W domu na mnie czekają.

— Chwilkę, panno Zofio! Jedną chwilkę!

Odwróciła twarzyczkę zapłonioną.

— Nie, nie mogę.

— Skoro już taki wyrok zapadł, więc pozwól się choć pani na pożegnanie dotknąć swojej rączki.

Zamiast na to odpowiedzieć, bardziej się zmieszala i, szybko się obróciwszy, zaczęła prawie uciekać. On jednak, nie namyślając się długo, puścił się za nią, chwycił ją za rękę, raz i drugi gorąco pocałował, poczem szepnął:

— Przebacz mi, panno Zofio, przebacz!

— O! tego nie przebaczę nigdy, nigdy! To zuchwłość bez granic! To okropne!

— Jeszcze raz błagam cię, pani, o przebaczenie, bo oszaleję!

Spojrzała na niego. Błady był, zmieszany, a jak na nią spoglądał! W jego wzroku tyle było, ach! tyle, a najwięcej prośby o litość i współczucie.

— Przebaczysz pani? Ujrzę cię tu jeszcze?

— Chyba pod tym warunkiem, że pan będziesz grzeczniejszym. Jeśli mi pan na to nie dasz słowa, przyszlę list przez Paszutę, tego, co tu był wczoraj.

To sługa bardzo dyskretny i z pewnością nas nie zdradzi... Sama się więcęj nie pokażę.

— Ależ przyrzekam, że będę najgrzeczniejszy!— Antoś z uniesieniem zawołał, i znów za rękę ją chwyciwszy, zaczął gorąco całować.

— Więc to taka poprawa?... Ach! jak to brzydko z pańskiej strony!...

— Wszakże jam jutro przyrzekł być innym, nie dziś...

Rozśmieszyła ją ta odpowiedź, więc choć się na to siliła, nie mogła być dłużej srogą. Cofnęła tylko rękę i rzekła:

— Zobaczymy, jak wojskowi słowa dotrzymują. Żegnam pana.

To powiedziawszy, puściła się w głąb alei.

Nie trwało długo, a znów było słyhać jój głosik srébrzysty. Antoś stał na dawném miejscu i wzrokiem ją odprowadzał. Obróci się, czy téż odejdzie i więcęj na niego nie spojrzy! Biegła szybko, nigdzie się nie zatrzymując, dopiéro przy samym końcu alei stanęła i jedno przelotne spojrzenie rzuciła za siebie.

O! z jakąż radością w sercu Antoś dnia tego wracał do Strzałkowie!

Późnym wieczorem Zosia dalej pisała:

„Prawdę mówi przysłowie, że każde złe musi wyjść na dobre. Gdyby nie lampa wczorajsza, która mnie tak zmartwiła, byłabym już list oddała, a wtedy tybyś nie wiedział, że twemu przyjacielowi nie mam już zgoła nic do zarzucenia, dziś bowiem zjawił się on po odpowiedź w ubraniu cywilném. Wierzę teraz, że jego strój wczorajszy był przypadkowym, to téż pisząc do niego, wcale o tém nie wspominaj... Bardzo mi było przykro, że mu jeszcze nie mogła wręczyć odpowiedzi, skutkiem czego będzie się musiał po nią znów jutro trudzić; z drugiej wszakże strony przynajmniej to mnie pociesza, że narażając na przykrość choć jednego mężczyznę, tém samém mszczę się na całym rodzaju

mężkim, któremu biedne kobiety mają słusznie tyle do zarzucenia! Zaiste, nawet sobie wyobrazić nie mogę, coby z was było, gdybyśmy was krótko nie trzymały. Wtedy wykoleiłby się z pewnością cały świat. Ach! ile wy nam zgryzoty sprawiaciel..

„Teraz wracam do twego listu, bo mam jeszcze odpowiedzieć na kilka ważnych pytań, któreś w nim postawił. Jak widzę, Stasiu mój najdroższy, w troskliwości swojej chciałbyś się koniecznie dowiedzieć, czy serce moje jest już czém zajęte. Alboż kochać ojca i rodzeństwo to mało? Zresztą ja kocham wszystkich, ludzkość całą; równocześnie jednak prócz was, którzyście mi krwią najbliżsi, ani serce, ani myśli moje nikim się wyłącznie nie zajmują, bo wiem, że to nie warto... Czyż nie pamiętam, co poeta powiedział: „Słowicze dźwięki w męzczyzny głosie, a w sercu lisie zamiary!” I tyżbyś mógł chcieć, mój bracie najukochańszy, żeby twoja siostra była nieszczęśliwa? O! nie, nie, ja w to nigdy nie uwierzę. Pozwól, Stasiu, bym przed tobą wyjawiała moją największą tajemnicę.

„Ja oddawna czuję, że dusza moja nie jest z tego świata. Ziemskie radości wcale mnie nie cieszą, bo nie lubię tego, co znikome. Ja mogę jedynie to ukochać, co jest niezłomne, wieczne! Dlatego w skrytości mego serca wciąż marzę o klasztorze i najszczęśliwszą będę, gdy się już znajdę w jego murach. O! tak, Stasiu, ja niewymownie tęsknię do życia klasztornego, bo wiem, że tam znajdę słodki spoczynek po walce życia i ukojenie dla ran, przez świat mi zadanych... Wybiorę zaś regułę najtwardszą, wstąpię do panien Wizytek, by wszyscy wiedzieli, że zostałam zakonnica z prawdziwego powołania, nie dla kaprysu. Lecz na co ja o tém piszę? Na co się samemu rozdrażniać, skoro i bez tego życie jest tak smutne? Czuję, że mi się łyzy do oczu cisną... Zresztą powiedz sam, mogłażbym się dziś do kogo przywiązać, skoro wiem, że kawaler z naszej sfery mnie nie weźmie, bom biedna; ciocia Zielińska co-

dzień mi to powtarza; za innego zaś, choćby to był człowiek nie wiem jak rozumny i zacny, nawet bogaty, tatko pewnieby mi wyjść nie pozwolił. Kto wie, czy i ty sam nie byłbyś takiemu związkowi przeciwny. I jak tu nie myśleć o klasztorze, jak tu się nie skarżyć na świat, skoro on taki zimny, niewyrozumiały, pełen przesądów. On woli ofiary, niż wykroczenie przeciw temu, co według jego mniemania jest stosowném. Ach! to okropne!

„Dość jednak tych narzekań. Czas najwyższy przystąpić do tego, co mi najbardziej cięży na sercu, a co prawdopodobnie i ciebie zajmie, może nawet ucieszy.

„Pytasz, drogi Stasiu, o księcia de Montpellier i jego rodzinę. Ach! jakiś ty brzydki! Więc dopiero teraz o nich się dowiadujesz i o szczegóły do mnie się zgłaszasz? Czyż nie było raczej twoim świętym obowiązkiem oddawna się z nimi porozumić i zawiązać z księciem korespondencyą bezpośrednią? Wszak oni ciebie kochają jak syna własnego, a ty im tak za ich miłość odpłacasz? Tatko, z Nicei wróciwszy, nie mógł się nam dość naopowiadać o zacności samego księcia, który po twoim nagłym wyjeździe razem z nim płakał. Widzisz, jakiego w nim masz przyjaciela, a mimo to nie zgłosiłeś się dotąd do niego i teraz pytasz, gdzie on przebywa. Jest-że to pięknie? O ile wiem, książę bawi obecnie w Montreux, zkąd pod zimę, jak według zwyczaju, do Nicei przyjedzie. Z naszym tatkiem pozostaje on w korespondencyi bardzo ożywionej. Niedawno temu przyszedł znów list od niego, a że używa właściwych sobie kopert i pieczęci olbrzymich, więc ledwie Dyonizy wszedł z nim na werendę, zaraz się domyśliłam, od kogo pochodził. Tatko, przeczytawszy go, bardzo posmutniał. Uderzyło to nas wszystkich, zwłaszcza mnie; zaczęliśmy go tedy pytać, jakieby od księcia miał wiadomości. „Niewesołe—odrzekł:—córka mu ciężko zachorowała.” I na tém skończył. Tego



samego dnia nad wieczorem wbiegłam po coś do gabinetu tatka, lecz go nie zastałam. Na sekretarzu leżał otwarty list księcia (charakter jego pisma można poznać zdaleka, bo jest duży, wyraźny), na nim okulary. Wierz, Stasiu, że nie jestem ciekawa, o! ja téj wady, u kobiet, niestety, dość rozpowszechnionój, wcale w sobie nie mam, ja się ciekawością nawet brzydzę, — lecz ponieważ znajdowałam się tak blisko tego, co przed kilku godzinami tatkę zasmuciło, więc chciałam się dowiedzieć, jakieby tam właściwie były wiadomości... Znając tatkę dobrze, przypuszczałam, że nam wszystkiego nie powiedziały. Jednakowoż nie przez marną ciekawość pragnęłam to zbadać, Boże chroń! ale jedynie w tym celu, by dowiedziawszy się o prawdzie, zapobiedz złemu, jeśliby to było w mojej mocy... Prawda, Stasiu, że zamiary moje były dobre? Wzięłam tedy list—jak mi przytém serce biło, łatwo sobie wyobrazisz—i jednym tchem odczytałam go od początku do końca. I cóżem się z niego dowiedziała? Oto, że księżę jest bardzo, o! bardzo nieszczęśliwy, ponieważ jego córka, jego jedynaczka najdroższa, ciężko zachorowała, a stało się to li dlatego, że nad życie kocha, wiész kogo? Ciebie! Ach! Stasiu! Stasiu! jakiś ty okrutny... Myślałam, że choć mój brat będzie inny, tymczasem widzę, niestety, żeście wszyscy jednacy. O! mężczyźni! I wierz potém z nich któremu, idź na lep jego pięknych słówek... Rozkocha cię jedynie na to, żeby porzucić... O! setną będę przestrzegała, żeby wam nie wierzyła. Wprawdzie księżę nie powiedział otwarcie, że jego córka za tobą szaleje, jam atoli wszystkiego się domyśliła, bo już taki mam talent, że umiem czytać między wierszami... Bo i jak tu było smutnej prawdy nie odgadnąć? Księżę co kilka wierszy wracał do swojej córki, potém zaraz wspominał o tobie i pokilkakroć prosił tatki, by mu twój adres przysłał. I cóż ty na to, Stasiu mój najdroższy?! Czy myślisz dalej trwać w oporze i siedzieć w téj Brazylii nieznośnej, o której

ledwie coś wiemy z geografii,—chociaż my nad tém bolejem, a biedna księżniczka przez to umiera? O! tyś musiał wiedzieć, żeś jój serce zranił, o! wy, mężczyźni, zawsze zaprędko wiecie, gdy się nam który z was podoba, a mimo to odważyłeś się pytać mnie w swoim liście, czy radzę ci żenić się z bogatą Brazylianką. Ależ, Stasiu mój najukochańszy! jabym z rozpaczy umarła, gdybyś to uczynił! Jabym jój za bratową nigdy nie uznała, jabym całe życie do niój ust nie otworzyła! Śpiesz raczěj do téj, którą rozmarzyłeś, o! tyś jój pewnie mówił same grzeczności, bo panienka bez starań z waszěj strony nigdyby się nie rozkochała; upadnij jój do nóg i jak prawdziwy pokutnik proś o przebaczenie. Wyobrażam sobie, że musi to być istota jak anioł śliczna i jak anioł dobra! I ty, okrutniku, mogłeś do tego doprowadzić, żeby stworzenie niewinne dziś z miłości dla ciebie usychało? A teraz, Stasiu najdroższy, pozwolisz, że ci zadam jedno pytanie. Powiedz szczerze, ażalibym mogła, mając tak odstrasżające przykłady waszěj niestałości, oddać komukolwiek moje serce, by potém jak ta biedna księżniczka z miłości umierać? Ach! nie, przenigdy! Stokroć lepszy klasztor spokojny, niż takie życie, pełne burz i zawodów.

„Z tém wszystkiém jednak wspominasz o księciu i jego rodzinie aż dwa razy w swoim liście i zawsze z naciskiem. Przypomniałeś go sobie nawet w *post-scriptum*. Czyżby to znaczyło, że i wtedy, gdyś do mnie pisał, więcej niż o kimkolwiek innym, o nim myślałeś? Ach! jeśli tak jest, natenczas bardzo mnie to cieszy (widzisz, że nie jestem zazdrosną) i raz jeszcze błagam cię na wszystko, byś pośpieszył do tych, którzy cię kochają,—bo kto serce zrani, a nie stara się go pocieszyć, ten spełnia czyn niepiękny, nawet niechrześcijański.

„Dobiegłam nareszcie do kresu. Kończy się ósma stronica. Com miała ważnego, wszystkim ci napisała; teraz zaklinam cię, Stasiu, posłuchaj mojej rady i wra-

caj. Nim atoli to nastąpi, napisz mi jeszcze, co myślisz uczynić, a napisz szczegółowo, obszérnie, bo ja długie listy lubię pasyami czytać. Żebyś zaś nie potrzebował śpieszyć się, jak pierwszym razem, zacznij go wcześniej i pisz drobniutko,—ja mam jeszcze dobre oczy, więc go przeczytam.

„Jakoś sobie tego życzył, ucałowałam wszystkich w twojém imieniu. Teraz ciebie ściskam miliony razy, a ty choć w myślach ucałuj także do grobu cię kochającą siostrę, Zosię.

„P. S. A proszę cię jeszcze raz, abyś swemu przyjacielowi o niefortunnej ulance nic nie wspominał.”

Skończywszy list, słodko usnęła i cały dzień następny była bardzo swobodna. Niepokoj, który ją przedtém trawił, szczęśliwie się pozbyła. Ponieważ powiernika brata powiodło jój się drugi raz zobaczyć, przeto bez obawy postanowiła ten sam sposób powtórzyć. Przed piątą zbiegła znów do ogrodu i znaną aleją udała się na koniec parku. Po drodze spotkała Paszutę, wracającego z sukniami Konrada, które mu tenże kazał w tym dniu oglądnać i wyczyścić.

Stary sługa był nad wyraz uszczęśliwiony; idąc, uśmiechał się do siebie i coś mruzczał. Ujrawszy pannienkę, stanął i póty się nie ustąpił, póki mu nie podała obu rąk do pocałowania, sam bowiem, suknie trzymając, nie mógł ich wziąć. Uczyniła to chętnie i prędko, byle go się pozbyć.

Jeszcze nie dobiegła do końca alei grabowej, gdy spostrzegła Antosia, stojącego pod tą samą lipą, pod którą się ona wczoraj zatrzymała. Jaki on roztropny!... Dzięki temu nie potrzebowała dziś śpiewać. Serduszko biło jój bardzo, ol bardzo, gdy się do niego zbliżała... Jak się on zachowa? Czy dotrzyma przyrzeczenia i będzie grzeczny?

— Oto list—rzekła, ujrawszy go nadchodzącego.

— Stokrotne dzięki składam w imieniu Stasia!

— Tylko w jego w imieniu?—zapytała zdziwiona.

— Alboż za to, co mnie odtąd pozbawia widzenia pani, mógłbym dziękować? Niestety, że mnie człowiek na tyle słaby i samolubny, że ani nie umiem całować ręki, która mnie chłoscze, ani szczęścia drugich nie chce okupywać własną niedolą.

Śliczny był, gdy to mówił. Szczególnie oczy miał tęskne, rozmarzone.

— Przecież Staś znów napisze—szepnęła po niejakiem wahaniu.

— A wtedy, aby jego list wręczyć, będę panią mógł znów ujrzeć—dokończył.—Prawda, lecz czyś pomyślała, panno Zofio, kiedy to nastąpi? Nim ten list dostanie się do Rio Janeiro i odpowiedź na niego ztamtąd przyjdzie, upłynie sześć tygodni, może nawet dwa miesiące. Słyszysz pani? dwa miesiące! A wtedy będzie już zima, drzewa resztę liścia utracą, po ogrodzie nie będzie można chodzić, ani ja nie będę mógł więcej odwiedzać moich kolegów, gdyż roboty przy kolei będą wstrzymane. Wtedy trzeba będzie chyba cudu, żeby panią zobaczyć. Czy nie tak?

Stała z główką schyloną, w białą stokrotkę zapatrzona, którą w rękę trzymała. Antosiovi zdawało się, że cicho westchnęła. Po namyśle rzekła:

— Panowie jesteście na tyle roztropni, że z największych trudności umiecie zwycięzko wychodzić.

— Nie zawsze, panno Zofio, nie zawsze! Są przeszkody, których największy rozum nie pokona—odpowiedział młody człowiek i zaraz dodał:—Nie uważa pani, żem dziś bardzo grzeczny?

— To mi się podoba — odrzekła, oczu nań nie podnosząc.

Stał przed nią o dwa kroki, wpatrywał się w nią z uniesieniem, pragnął odgadnąć, o czémby myślała, lecz nie dostrzegł nic, krom smutku na jej twarzy. A czemu była smutna? Któż to mógł wiedzieć!

Koło pałacu dały się słyszeć głosy. To ją zbudziło z zamyślenia. Dopiero teraz głowę podniosła.

Stał na dawném miejscu i wzroku z niój nie spuszczał.

— Zdaje mi się—rzekła po niejakiem wahaniu,—że przy dobrej woli mógłby pan pod jakimkolwiek pozorem Konrada odwiedzić... Przecież się panowie znacie...

— A pani na to pozwoli?

— Czyżbym mogła zabronić?

— Ja jednak chcę wyraźnego pozwolenia.

— Ależ i owszem... Przecież pan jesteś przyjacielem Stasia, a więc cokolwiek uczynisz w tym kierunku, będzie to dla niego...

— Będę się więc starał to zrobić, panno Zofio; chociaż wyznać muszę, że mi to łatwo nie przyjdzie, mam bowiem moją ambycją i nie lubię tam się wciskać, gdziebym mógł być poczytywany za intruza.

Koło pałacu pewnie stangret mocno z bata strześlił, skoro taki łoskot wiatr aż tu nadniósł.

— Ktoś przyjechał... muszę wracać. Teraz żegnam pana i za trud mu dziękuję!

— Czyż na pożegnanie nic więcej nie otrzymam? Ani jednego uśmiechu, ani jednego spojrzenia, może choć tę stokrotkę, którą pani ma w rękę? Panno Zofio, czyż grzecznych tak się nagradza?

Znów na niego popatrzyła i uśmiechnęła się, ale nie wesoło, raczej żałośnie... Potem główkę odwróciwszy, rękę ze stokrotką nieznacznie wyciągnęła. Domyślił się, ujął ją za rękę, już ją niósł do ust, wszelako umiał się powściągnąć, i lubo ona jój nie cofała, wziął tylko stokrotkę, a rękę zaś puścił.

Teraz Zosia, nie spojrzawszy nań więcej, jak spłoszona sarenka puściła się w głąb alei i wkrótce z oczu mu znikła. Antoś patrzył, czekał, lecz tym razem już się nie obróciła.

Ona tymczasem przez nikogo niepostrzeżona dobiegła do téj samej altany, w której przed dwoma dniami list Stasia czytała, i tu na ławeczkę upadłszy, oczy chustką zasłoniła i cicho się rozplakała.

Na jej szczęście nikt z obcych nie przyjechał. To Konrad młode konie sam przed domem ujeżdżał i tak z bata strzelał. Została tedy w altanie tak długo, póki się całkiem nie uspokoiła.

Pani Alicya zbyt dobrze знаła swoją siostrę, żeby się nie domyślić, iż ta niedawno płakała. Poznała ona to zaraz po jej oczach zaczerwienionych; a że już od dwóch dni dostrzegła w niej zmianę uderzającą, więc jaknajprędzej postanowiła wziąć ją na spowiedź. Na dobrą sposobność nie trzeba było długo czekać. Gdy po herbacie wszyscy się rozeszli, zaprosiła Zosię do swego pokoju i tu wpiérw serdecznie ją ucałowawszy, następnie w te słowa przemówiła:

— Nie bierz mi za złe, Zosieńko, że chcę z tobą otwarcie o czémś ważném pomówić. Ty masz jakieś zmartwienie, prawda?

— Zmartwienie? Ależ bynajmnień, Alisiu! Ja zmartwienia nie mam żadnego.

— W takim razie musisz się czémś niepokoić... może masz jaką tajemnicę?

— I to nie, Alisiu, nie!

— Mówisz ty prawdę, dziecię?—siostra słodko zapytała, jej śliczną twarzyczkę w swoje dłonie biorąc i czule w oczy jej patrząc. — Czy sądzisz, Zosiu, że cię nie znam, że niezwykły wyraz twojej twarzy i zmianę w całym usposobieniu wezmę za rzecz naturalną? Ależ, moje dziecię, jam prawie o dziesięć lat od ciebie starsza, wychowałam się pod mojem okiem, byłam ci drugą matką... i jażbym ciebie miała nie znać? Ach! Zosiu, ty coś masz, z czém się kryjesz przed twoją starszą siostrą. Powiedz mi jednak, czém przeciw tobie zawińiłam, że mnie tak karzesz swoją nieufnością?

Zosia rzuciła się siostrze na szyję i jej twarz zaczęła pocałunkami okrywać.

— Ja ciebie, Alisiu, Kocham bardzo, nad życie!—przez łzy zawołała.

— Jeżeli to prawda, to złóż tego dowód i powiedz, co masz na sercu.

— Wszystko uczynię, byle nie to jedno.. Nie badaj mnie więc, Alisiu, bo umrę z rozpaczy!

— Czyżby to było coś takiego, czegoś przede mną nie mogła wyznać? O taką tajemnicę, Zosiu, ja cię nie posądzam... Wyjaw więc bez wahania całą prawdę, a znajdziesz we mnie więcej niż siostrę, bo przyjaciółkę prawdziwą a wyrozumiałą, która ci najlepiej poradzi, coś powinna uczynić.

— Kiedy ja ci tego nie mogę powiedzieć, Alisiu, to wielka tajemnica!

Uśmiechnęła się na to starsza siostra.

— Istotnie, aż taką masz tajemnicę? Ach! rozumiałabym cię, moja droga, gdybyś się z nią kryła przed innymi, ale przede mną, przed twoją siostrą! Któż lepiej ode mnie podzieli twą radość, a smutek odczuje? Kogóż bardziej, niż mnie, mogłoby twoje szczęście ucieszyć, a twój ból przerazić? Śmiało więc, Zosiu, śmiało! Nigdy nie uwierzę, żebyś z własnej woli chciała cokolwiek przede mną ukrywać. Widocznie ktoś cię do tego namówił.

— Mylisz się, Alisiu, mnie nikt nie namawiał.. Mnie tylko gorąco proszono, bym świętej tajemnicy przed nikim nie wyjawiała, a gdybyś wiedziała, kto mnie o to prosił, nietylkobyś się biednej siostrze nie dziwiła, przeciwnie, samabyś ją za to uściskała, że była dyskretna.

— Intrygujesz mnie coraz bardziej, Zosiu! Któż cię więc o to prosił?

— Staś!

— Nasz brat?

— On!

Pani Alicya spojrzała na siostrę z najwyższym zdziwieniem. Jakim cudem mogła ona, z rodziny najmłodsza, porozumiewać się z bratem oddalonym, skoro dotąd nikt z nich od niego listu nie otrzymał? Chociaż

jeszcze się nigdy nie zdarzyło, by Zosia z prawdą się rozminęła, mimo to pani Alicya niedowierzająco głową pokręciła i rzekła:

— Nie żartujesz ty, Zosiu, ze swój starszej siostry?

— Jak możesz, Alisiu, coś podobnego nawet przypuścić! Staś żądał sekretu, nikt inny, i jabym ci wszystko powiedziała, gdyby nie obawa, że mnie zdradzisz przed Konradem lub tatkiem.

— Bądź spokojna, Zosiul! Twoja siostra nie narażaby ani ciebie, ani nikogo z blizkich na najmniejszą przykrość.

— Nic im nie powiesz?

— Ani mi to w głowie.

— Skoro mam twoje słowo, więc posłuchaj!

To rzekłszy, łyzy, których w oczach miała jeszcze pełno, szybko otarła i jak mogła najtreściwiej opowiedziała swoje przygody z dwóch dni ostatnich. Z prawdą nigdzie się nie rozminęła, mimo iż zły duch w kilku miejscach do tego ją zachęcał. Ze szczególnym oporem szeptał on jój raz po raz, żeby powiedziała, iż list otrzymała przez posłańca i tą samą drogą odpowiedź odesłała. Zosia nie poszła atoli za jego radą; zato przemilczała kilka szczegółów, o których w dobrej wierze sądziła, że dla zrozumienia całości nie były niezbędne. I tak nie dowiedziała się pani Alicya, że powiernik jój brata w ułance prześlicznie wyglądał, że Zosię bez pozwolenia po rękach całował, że sama radziła, by do nich kiedy przyjechał, że na pożegnanie dała mu stokrotkę i nareszcie, że w altanie, sama nie wiedząc czemu, gorzko płakała.

Skończywszy opowieść, wyjęła list brata i, siostrze go wręczając, znów jój się na piersi rzuciła.

— Powiedziałam ci wszystko, Alisiu, ach! wszystko, ~~tez~~ gdybyś ty mnie zdradziła, umarłabym z rozpaczy!

— Bądź spokojna, Zosiu. Prawdziwe twoje tajemnice zostaną także mojemi.



Zosia tak była z tego uszczęśliwiona, iż nareszcie ulżyła swemu sercu,—prawdę bowiem powiedziawszy, dochowywanie tajemnicy nie mało ją już kosztowało,— że nad znaczeniem ostatnich słów siostry nie miała ani czasu, ani chęci się zastanawiać.

Pani Alicya przeczytała list uważnie, przytknęła chusteczkę do oczu, chwilę w milczeniu przesiedziała, potem, głowę podniósłszy, spokojnie w te słowa przemówiła:

— Dobrześ zrobiła, moje dziecko, żeś się przede mną zwierzyła... Zgłoszenie się Stasia jest wypadkiem zbyt ważnym, iżbym o nim mogła nie wiedzieć. Zresztą są rzeczy, o których ty sama jeszcze nie słyszała, a o których musimy mu napisać, by go skłonić do rychlejszego powrotu.

— Zapewne myślisz o księżniczce de Montpellier— przerwała Zosia.

— A tobie kto to powiedział?

— Może nikt nie mówił.. jam się sama domyśliła.

I tu opowiedziała historią z listem w gabinecie ojca. Pani Alicya potrząsała głową.

— Mój Boże! to, co tatko w zaufaniu mi powiedział, ona już przedtém zbadła — rzekła jakby do siebie. — Sprytna z ciebie panienka, moja Zosiu, bardzo sprytna; lecz właśnie dlatego, że masz dowcip i rozumek, musisz teraz spokojnie tego wysłuchać, co ja ci powiem. To, żeś na list Stasia w sekrecie odpowiedziała, jest rzeczą naturalną.. prawdopodobnie, znalazłszy się na twojem miejscu, nie postąpiłabym inaczej... Czego atoli żadną miarą nie mogę pochwalić, to sposobu, w jaki się pośrednictwo odbyło. Nieznajomy młody człowiek spotyka cię na drodze, ty stajesz, bierzesz list od niego i chwilę z nim rozmawiasz. Nazajutrz wracasz na to samo miejsce, tym razem nawet bez Paszuty, by mu oznajmić, że odpowiedź jeszcze nie gotowa; trzeciego zaś dnia przychodzisz znów sama, tym razem przynajmniej z listem. Wyobraź sobie, dziecko,

że nasza mama żyje. Czy zwierzyłabyś się z tego przed nią tak otwarcie, jak przede mną? A tatkowi, choć on ciebie tak kocha, czy wyjawiałabyś całą prawdę? O, Zosiu! mnie się, niestety, zdaje, że tybyś ją zataiła nawet przed Stasiem. A jak sądzisz, z kąd to pochodzi? Jedynie ztąd, że samo sumienie ci mówi, iż wszystko, co w tych dwóch dniach zaszło, nie powinno było nastąpić... Wyobraź sobie, coby świat na to powiedział, gdyby usłyszał, że młoda panienka, niemająca matki, a tylko siostrę, która nie może wciąż na nią patrzeć, że ta panienka urządza sobie schadzki z młodym człowiekiem, gdzieś za ogrodem, pod lasem? Coby dalej ludzie powiedzieli, gdyby przypadkiem ujrzeli, że ci młodzi listy sobie podawali? Jak ci się zdaje, Zosiu, dobrzeż to było?

— Alisiu! nas nikt nie widział!

— Chcę temu wierzyć, chociaż to błędu wcale nie naprawia. Zresztą z tego, że coś się raz nie stało, jeszcze nie wypływa, iż to nigdy nie nastąpi... Niebezpieczeństwo groziło ci zatém wielkie, i wierz mi, Zosiu, w tym wypadku usprawiedliwia cię tylko wiek i brak doświadczenia. Nierównie więcej miałabym jemu do zarzucenia, on jednak zapewne nie wie, jakie są w naszym świecie zwyczaje... Idźmy teraz dalej, moje dziecię. Czy pomyślałaś, Zosiu, do jakich kolizyj mogłyby w przyszłości podobne schadzki doprowadzić? Tyś młoda, on także, obojeście przystojni, łatwo więc mogłoby się podobać jedno drugiemu, wszak rzeczy tego rodzaju codzień się przydarzają, a panu Grzywie bardzoby pochlebiało, gdyby panna Tęczyńska przyrzekła mu swoją rękę.

— Alisiu! przez miłosierdzie boskie, co ty mówisz? Przecież ani on mi się nie oświadczał, ani jam mu nie robiła żadnej nadziei.

— Boście jeszcze czasu na to nie mieli. Mówiłam ci jednak, dziecię, że co się dotąd nie stało, z czasem staćby się mogło. O miłość gorącą między ludźmi młodymi wcale nie trudno; zważ atoli, Zosiu, jakiby to był

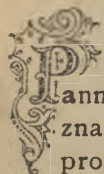
straszliwy grom dla naszego ojca! Chociaż czasy już inne, niż przed stu laty, i wiele się dziś mówi o równości między ludźmi, przecież nie da się zaprzeczyć, że jedynie ci mogą się łączyć z jaką taką nadzieją szczęśliwego pożycia, którzy są sobie równi nie tylko wiekiem i wykształceniem, lecz także urodzeniem i zamiłowaniem, a te są zawsze wynikiem wychowania. Oto, dziecię najdroższe, powody, dla których zaklinam cię na pamięć matki, byś na przyszłość bez zasięgnięcia rady swojej siostry nic takiego nie czyniła, co byś przed światem potrzebowała ukrywać. Proszę cię zaś o to nie jako starsza siostra, nie jako ta, która ci dziś matkę zastępuje, lecz jako twoja wierna przyjaciółka, która pragnie jedynie twego dobra i szczęścia. I cóż, Zosieńko, przyrzekasz mi to, o co cię proszę?

— Przyrzekam, Alisiu! przyrzekam! — zawołała Zosia, wybuchając głośnym płaczem. — Ja widzę, że ze mnie nic nie będzie, dla mnie niema jak klasztor! Byle Staś do kraju wrócił, przekonasz się, że zaraz wstąpię do klasztoru!

— Uspokój się, dziecię, uspokój! — siostra ją prosiła, i wzięwszy jej główkę w swoje dłonie, do kochającego serca ją przycisnęła.

## VII.

Tego się nikt nie spodziewał.



Anna Kunegunda, którą mieliśmy przyjemność poznać na wieczorku u radczyni Darskiej, mimo że prowadziła gospodarstwo swemu bratu, nie mogła się nigdy na brak czasu skarżyć. Zwłaszcza przed południem miała głowę wolną. Codziennie chodziła na mszę ranną, a po śniadaniu, wydawszy kucharce na obiad, wybiegała do miasta na wizytki. Dawniej trudniła się sama kuchnią; wszakże odkąd jej brat został kanonikiem tytularnym, osądziła, że nie byłoby ładnie, gdyby jego siostrę rodzoną kto kiedy w kuchni zastał. Wprawdzie brat uspakajał ją co do tego, mówiąc, że toby jego godności wcale nie uwłaczało, ona atoli zakrzyczała go temi słowy:

— Mój kochany, już ja wiem lepiej, jak być powinno. Ty, kościołowi oddany, ani się domyślasz, co się na świecie dzieje; lecz ja, z ludźmi żyjąc, wiem dobrze, co oni mówią; niedawno temu aptekarzowa śmiała się przed swoją kucharką, że chodzę w starym kapeluszu; pięknie to dla ciebie, że mi skąpisz, prawda? szczęście jeszcze moje, że taka lafirynda nic mnie nie obcho-

dzi, a mimo to zdaje ci się, że świat nie wzięłyby nas na języki, gdybym robiła jak prosta dziewczka... Zresztą jużem się dosyć napracowała za darmo, czas teraz odpocząć.

— Prawda, panno siostró, prawda—westchnął kanonik.—Czas nie stoi, pięćdziesiątka dawno minęła.

Skoczyła, jakby ją tarantula w sam nos ucięła.

— To może u ciebie minęła, ja, dzięki Bogu, jeszcze nic o tém nie wiem. Ja tylko tyle pamiętam, że na Matkę Boską Zielną skończyłam dopiero trzydzieści sześć...

— Co też panna siostra mówi najlepszego?

— Książd niech brewiarza pilnuje, nie moich lat!

— Panna siostra ma rację, wszelako w tym wypadku muszę pannę siostrę z błędu wyprowadzić, bo to mój obowiązek... Ja mam już pięćdziesiąt dziewięć, a panna siostra tylko o cztery lata ode mnie młodsza.

Gdy brat to mówił, panna Kunegunda z gorączkowym pośpiechem ubierała kapelusz. Nosiła ona zawsze kapelusze otwarte—wiązanych bała się jak ognia,— w lecie „berżerki,” w zimie „rembrandty,” lub im podobne, bo jój tylko w takich było wygodnie, do twarzy i przyzwoicie.

Trzęsącemi się z gniewu rękami upięła nareszcie kapelusz na głowie i, rzuciwszy bratu jedno z tych spojrzeń, które on znał wybornie, otworzyła drzwi z łoskotem, na progu jeszcze stanęła i, powiedziawszy mu w same oczy: „Prostak!” szczęśliwie w sieni zniknęła.

Ponieważ już było po mszy i po śniadaniu, przeto mogła spokojnie zacząć codzienne swoje wizytki. Piękne to zajęcie lubiła ona niewymownie i, aby je sobie ułatwić, podzieliła w tym celu miasto na kilka części, które kolejno zwiędzała. Poniedziałki były przeznaczone dla ulicy Pańskiej i jój dopływów; wtorki dla Kolejowej z przyległemi; w każdą środę widywano ją na Sądowej i do niej przytykających — a później zaś gdzieindziej. Szło tak do soboty, w którym to dniu

ciężką pracę kończyła. Niedziele spędzała u siebie, siódmy bowiem dzień kazał Pan Bóg święcić i w nim odpoczywać, zresztą w tym dniu sama gości przyjmowała.

Wizytki panny Kunegundy były bardzo krótkie. Zazwyczaj wpadała tylko na chwileczkę, z góry zapowiadając, że nie ma czasu; często gęsto nawet nie usiadła, kapelusza nigdy nie zdejmowała; tu coś powiedziała, tam coś nowego usłyszała i dalej w świat. Nie naprzykrzyła się nikomu, pretensyi nie miała, by ją czemkolwiek przyjmowano, a że w podróży swoim węzełku miała zawsze obfity zapas najświeższych wiadomości, przeto była pożądanym zjawiskiem w bardzo wielu domach. Była to prawdziwa gazetka małopolska, podająca codzien świeże a ciekawe szczegóły z życia zakulisowego. Głównie te panie, które z tych lub z owych powodów nie mogły do miasta wychodzić, przyjmowały ją zawsze rozwartemi ramionami.

Wybiegłszy dziś z domu po nową scenie z bratem, przystanęła w furcie ogrodowej, aby sobie przypomnieć, jaki to był dzień, gdyż wśród irytacyi całkiem o tém zapomniała.

— Aha, piątek!—w duchu sobie powiedziała—więc na Podzamczel

Znalazłszy w ten sposób kierunek, którym łódź jej żywota miała w tym dniu popłynąć, puściła się przez rynek prosto ku tej stronie, gdzie w dawnych wiekach stał zamek starościński. Jednakowoż ani piątek, ani Podzamcze nie sprawiało pannie Kunegundzie istotnej przyjemności. Piątek był dniem postnym, a ona tylko mięso lubiła; całe Podzamcze było także chude pod względem wizyt, a ona tylko wtedy czuła się szczęśliwą, gdy ich w jednym dniu mogła zrobić kilkanaście i wszystkie z powodzeniem. Panna Kunegunda złączyła atoli umyślnie te dwie rzeczy, aby w tym dniu jej umartwienie było zupełne.

Na ulicy Podzamczój, w najbliższej jój okolicy, mieszkało najwięcej drobnych mieszczan, których matadory nie odwiedzały, i gdyby nie żona inspektora podatkowego, której domek stał za mostkiem w ogrodzie, siostra księdza kanonika nie wiedziałaby, co w tamtych stronach robić. Na jój szczęście jednak sama pani Tusowiczowa mogła stanąć za dziesięć innych. Jako żona inspektora podatkowego, mówiła więcej wiadomości, niż każda inna, przytém była to osoba na świecie obyta i obdarzona, jak sama o sobie chętnie utrzymywała, wielkimi „resursami” (piękne to wyrażenie zdobyła w salonie pani aptekarzowej), — nie dziw więc, że panna Kundzia nigdy nie wyszła od niój z uszczuplonym węzełkiem, przeciwnie, często gęsto po sam wierzch go jeszcze napełniała.

Dziś biegła do inspektorowój z większym niż kiedykolwiek pośpiechem, ponieważ przez kilka dni z rzędu deszcze lały strumieniami, skutkiem czego musiała poprzestać na najbliższém sąsiedztwie i dalszych wycieczek wcale nie robiła. Inspektorowa ze swój strony wyglądała także z upragnieniem jakiej duszy litościwój, dla nieznośnego bowiem bólu zęba od tygodnia z domu nie wychodziła.

Panna Kundzia weszła do niój, według zwyczaju, leciutko, na paluszkach; a gdy pani Tusowiczowa wybiegła do salonu na jój spotkanie, objęła ją w pól i serdecznie w oba policzki ucałowała.

— Jak widzę, kochana pani, dzięki Bogu, zdrowa już jak rybka — przemówiła tonem pełnym troskliwości. — Dopiero wczoraj dowiedziałam się przypadkiem, że kochaną panią zęby bołą. Jest to rzecz okropna, przerażająca! Ja tylko raz na to cierpiałam i mam tego dosyć na całe życie. Szczęście jeszcze prawdziwe, że wszystkie zęby mam mocne, zdrowe, no i własne. Jabym, kochana pani, sztucznego zęba do ust nie wzięła, choćbym miała wyglądać jak stara baba. A dziś tak to rozpowszechnione!

— Darska mogłaby coś o tém powiedzieć — dokończyła inspektorowa.

Panna Kundzia zaczęła śmiać się cichuteńko, przy czém gospodynię domu za rękę ścisnęła.

— Ale ja tu mam doskonałe lekarstwo od bólu zębów — rzekła po chwili, małą flaszeczkę z kieszeni wyjmując. — Komu nie pomoże modlitwa do św. Apolonii, ten niech weźmie z niego jedną kroplę na watę i ząb zatka, a ból ustanie, jakby go kto ręką odjął.

— Dziękuję pannie Kundzi, serdecznie dziękuję, ale mnie już, dzięki Bogu, zęby całkiem boleć przestały. Zresztą to była fluksya, a na tę kroplę nie pomogą... Proszę, niech pani siada... Może panna Kundzia pozwoli, żebym jój zdjęła kapelusik?

— Dziękuję... ja się bardzo śpieszę, mało mam czasu. Wpadłam tylko na chwileczkę, żeby się dowiedzieć, jak się kochana pani ma, i idę dalej. Mam kilka pilnych interesów.

— Ot, mam się jak groch przy drodze — inspektorowa odpowiedziała i ręką machnęła. — Mąż idzie na cały dzień do kancelaryi, a ja siedzę w domu jak Łazarz. Teraz wybiera się znów na bal i z pewnością dwa dni od Grzywy nie wyjedzie.

— To pan inspektor będzie na balu, a kochana pani nie? — panna Kunegunda żywo zapytała, z widocznym odcieniem nie tyle ciekawości, co ironii w głosie. Ja zawsze mówiłam, że ten to skończony prostak. Mężów zaprasza, a żony pomija.

— On i mnie prosił, lecz przez męża, w kancelaryi, w domu bowiem dla bólu zębów przyjąć go nie mogłam; ale mimo to nie wybieram się do niego — inspektorowa odpowiedziała, usta sznurując. — Gdyby miał żonę, przytém osobę przyzwoitą, z edukacją, to możebym się zdecydowała do niego pojechać; ale teraz chyba się tamte powloką, co wstydu nie mają. Ja tam plotek nie lubię, lecz niech kochana panna Kundzia



sama powie, jaki to ma sens to całe zaproszenie Darskiej na gospodynię domu? Czy to ona jego siostra, czy choćby jaka krewna?

— I Darska przyjęła?

— Z największą radością! Kazała sobie nawet na ten cel robić na gwałt we Lwowie nową suknię aksamitną. Mówiła mi to wczoraj komisarzowa, która na chwilę przyszła mnie tu odwiedzić. Pocziwa kobięcina!

Panna Kunegunda podniosła wzrok do góry.

— Taż to skandal skończony!—szepnęła.

— Pewnie, że skandal. Ja tam plotek nie lubię, ale gdybym nie znała tych ludzi, musiałabym chyba przypuścić, że ona jest jego kochanką.

— Taka stara!—panna Kunegunda przerwała, ramionami wzruszając.

— Prawda, że stara, lecz i w starym piecu dyabeł pali. A panna Kundzia jedzie do Strzałkowic?

— Ja? Za kogoż mnie to kochana pani ma?

— Więc panny Kundzi Grzywa nie prosił? — inspektorowa podchwyciła i w siwych jej oczach radość błysnęła.

— Owszem, nietylko sam prosił kanonika, jeszcze i Lisiński przyjeżdżał, byśmy koniecznie razem byli... Bardzo być może, że brat pojedzie, aby jego nieobecność nie wyglądała na złośliwą manifestacją; co do mnie jednak, Grzywa może być pewny, że się w jego domu nie pokażę.

Po wązkich ustach pani inspektorowej przebiegł śmiech ironiczny.

— Pewnie, bo proszę tylko zważyć, kochana pani, czy mogę ja tam znaleźć stosowne towarzystwo? Teżczyńscy nie będą; wiem z dobrego źródła, że z nich u Grzywy nikt nie bywa. Inni z obywatelstwa także się nie pokażą; a jeżeli się zjawią jacy, to z pewnością bez żon. Goldeifer jest kawalerem, zresztą co to za obywatel! Prawda, zapomniałam o Trockim... Ten nie-

wątpliwie pojawi się z tą wymalowaną panną Julią, która ma być *niby* jego siostrzenicą.

— Jakto *niby*?—inspektorowa podchwyciła.

— Więc kochana pani nic o tém nie wie?—zapytała panna Kunegunda z taką miną, jakby chciała powiedzieć: Jakże cię żałuję! Potém dodała:—Wszystkie wróble świszczą o tém na dachach.

— Ja, panno Kundziu, plotek nie lubię, lecz do prawdy to pyszna historia! Wprawdzie mój mąż, który wie, coś mi tam o tém raz wspominał; wszelako wtedy nie chciałam dać temu wiary, gdyż mi się to zbyt potworném wydawało. Więc istotnie ta rzecz tak się ma?

— Najistotniéj w świecie. Jój rodziców w Wierzejowie nikt nigdy nie widział, a to, że go wujem nazywa, wcale nic nie znaczy. Jam już nieraz spotykała takie jójmościanki, które szły od jednego starego kawalera do drugiego, a zawsze jako ich siostrzenice.. Trocki to człowiek bez zasad, stary liberyn!

Z temi słowy nachyliła się do ucha pani inspektorowój i zaczęła jój coś szeptać. Trwało to dość długo. Podczas tego tłusta twarz małżonki pana Tusowicza robiła się coraz weselszą, a gdy panna Kunegunda opowieść skończyła, ujęła ją za obie ręce i, westchnąwszy, rzekła:

— Strach! co się dziś na świecie dzieje... To prawdziwa Sodoma i Gomora!

— O! tak, tak, pani kochana... I jażbym się miała znajdować w towarzystwie do tego stopnia niemoralném? Przenigdy! Moją cześć panięńską stawiam wyżéj nad chwilową przyjemność. Zresztą, co mi to będzie za bal, skoro Grzywa żałuje piéniędzy na muzykę wojskową i zgodził tylko Olskiego z córką, by ci brzdąkali całą noc na fortepianie. Przy takiéj muzyce ja tańcować nie umiem, a bez tańca dla mnie niéma zabawy. Dla prezydentowój, radczyni i aptekarzowój

może to honór być w takim domu i w takim towarzystwie, lecz nie dla mnie.

— A wie pani Kundzia, dlaczego właściwie Grzywa ten bal daje?

Siostra kanonika poruszyła się niespokojnie i, krzesło swoje przysunąwszy, zapytała, oddech w piersi wstrzymując:

— Dlaczego?

— Powiem to pani, lecz pod wielkim sekretem, bo mążby się na mnie gniewał.

— U mnie jak kamień w wodę...

— Dlatego, że wkrótce odbędą się wybory.

— Czyżby Grzywa myślał kandydować? — panna Kunegunda zdziwiona zapytała.

— Ja tam plotek nie lubię, ale mój mąż, który wie wszystko, wspominał mi niedawno pod sekretem, że, według jego przypuszczenia, Grzywa będzie się starał zostać marszałkiem powiatowym; że zaś miasta wybierają czterech członków rady, przeto zaprosił aptekarkę, ta bowiem jest w dobrych stosunkach ze starostą... panna Kundzia mnie rozumié!... a jój mąż zaś jest w wielkiej przyjaźni z burmistrzem, który mu za to wypuszcza w miejskim budynku lokal na aptekę za pół darmo. Zaprasza dalej prezydentowę, gdyż jój mąż ma w ręku wielu szlachciców, a jój powiernik Ochsendorf robi z Żydami co chce; nakoniec kierownictwo balu składa w ręce Darskiej, ponieważ radca jest nietylko jego osobistym przyjacielem, lecz ma on także wpływy między chłopami. Wielkie mi figury: Przymkiewiczowa, Turbanowa i Darska! Mamy ich tu aż nadto na codzień, więc chyba nie potrzebujemy jechać do Strzałkowie, żeby je oglądać.

Panna Kunegunda wysłuchiwała tych szczegółów z uniesieniem. Już dawno nie miała wiadomości tak ważnych i ciekawych. Teraz powstała szykko z fotelu, raz i drugi ucałowała serdecznie inspektorowę i z uśmie-

chem na ustach wyszła z jój salonu. W sieniach jednak coś ważnego sobie przypomniała.

— Jeszcze słóweczko—rzekła, drzwi na nowo otwierając. — Nie wie też przypadkiem kochana pani, jaka uchwała zapadła wczoraj w sądzie w sprawie aptekarszowej o te trzydzieści tysięcy, o które się oddawna procesuje?

— Mąż mi mówił, że wygrała.

— Wygrała? Czy być może! A świat utrzymuje, że ona do tych pieniędzy nie ma najmniejszego prawa.

— Ja tam plotek nie lubię, ale ci, co wszystko wiedzą, mówią, że gdy Turban chce jaką rzecz przeprzeć, choćby nawet niesłuszną, bierze na sesję takich radców, którzy są mu całkiem oddani, i ci głosują jak barany.

— Straszne rzeczy! — westchnęła panna Kunegunda. — Taka aptekarszowa będzie jeszcze wyżej nosa zadziérała, bo mówiono, że jój interesa były już bardzo złe. Ostatniemi czasy za Żydami drzwi się u niej nie zamykały.

— Pytanie, co jeszcze wypadnie... Sprawa pójdzie do apelacyi.

— Pójdzie? To chwała Bogu? Może choć tam sprawiedliwości stanie się zadość... Do miłego widzenia, kochana pani!

— Do widzenia, panno Kundziu. A niech pani o mnie nie zapomina!

Ta, do której te słowa były zwrócone, nad wszelki wyraz uszczęśliwiona, biegła już na drugą wizytę.

To samo powtarzało się tego dnia z małemi odmianami w domach wszystkich matadorów stolicy powiatowej. Panie odwiedzały się gorączkowo, układały toalety, szeptały sobie na ucho; jedne nie posiadały się z radości, acz to tały, że pierwszy raz w życiu będą na balu obywatelskim; drugie gryzły usta do krwi z wielkiej irytacyi, że pan Grzywa, mężów prosząc, o nich zapomniał. Z tych niektóre usiłowały nawet

wmówić w swoich panów, że ponieważ one nie będą, więc i oni powinni dla samej przyzwoitości błyszczyć w Strzałkowicach swoją nieobecnością; mężowie jednak nie brali sobie ich uwag do serca, a jeśli która zbyt natarczywie domagała się tego ustępstwa, małżonek odpowiadał dyplomatycznie, że nie może jej tego przyrzec „ze względów politycznych.”

Pan Grzywa rzadko kogo prosił osobiście. Sam był tylko u prezydenta i u radcy. U innych zjawiał się pan Lisiński i ten grzecznie a słodziutko prosił w jego imieniu na skromniutki wieczorek, który w najbliższą sobotę miał się odbyć w Strzałkowicach. Pan Lisiński, człek przezorny i w rzeczach ludzkich biegły, osądził, że pomieszanie towarzystwa wiejskiego z miejskiem będzie ze względów wielorakich rzeczą arcyprzyteczną. Najpiérw zbyt dobrze znał miejscowe stosunki, by nie wiedzieć, iż bal wyłącznie szlachecki w domu pana Grzywy pewnieby się nie udał; następnie rozsądek mówił mu, że dygnitarzy miejskich żadną miarą nie mógł pominąć, skoro przy najbliższych wyborach ich pomoc miała być nieodzowną; nakoniec liczył i na to, że za takie zbratanie wszystkich stanów dzienniki liberalne zaczną roznosić na wszystkie strony sławę demokratycznego dziedzica Strzałkowic, co niewątpliwie wyjdzie na korzyść jego kandydatury. Dla dopełnienia obrazu zaprosił także księdza Tymoteusza Szczurkiewicza, którego upewnił pod sekretem, że go nie minie parafia w Podlesiu, na co ksiądz odrzekł, iż z największą radością stawi się na rozkazy „dziedzica dobrodzieja.”

Tak więc wszystko szło gładko—i lubo pan Grzywa nie przestawał stękać, wciąż bowiem musiał się trzymać za kieszeń, mimo to w duchu był temu rad, gdyż czuł, że się rzecz uda. Srokaty byczek wyszedł z jego stajni bez piędędzy, a tylko na słowo; tysiąc guldenów dał nie na akt notaryalny, lecz na prosty weksel; trzeci sąsiad, który właśnie się spalił, wziął

z lasów strzałkowickich cały budulec i ledwie trzecią część ceny z góry uiścił, resztę miał dopiero za rok zapłacić; inni przyjęli inne grzeczności, a do miasta zaś odeszły wozy z sianem, owsem i z ziemniakami, jako artykuły dawno zamówione i zapłacone.

Kto jak kto, a pan Trocki był z baliku niezmiernie uradowany. Ten prawie codzień przyjeżdżał do Strzałkowic, udzielał rad zbawiennych, starannie ułożył kolacyą, sam zapisał wina, cukry, rozmaite delikatesy, nawet kwiaty do ubrania stołów; a gdy pan Lisiński napomknął coś o wielkich wydatkach, odrzekł tonem protekcyjnym:

— Ależ, mój panie Lisiński, kto pieniędzy żałuje, ten niech balów nie daje, zwłaszcza dla nas, a mojej siostrzenicy niech nie prosi na jedną z gospodyń. Przecie nie przypuszczam, żeby twój dziedzic, kochany panie Lisiński, chciał się dlatego przed całym światem skompromitować, że ma węża w kieszeni. Niech go na tych kilka dni wyrzuci... Zdaniem mojem, wszystko niezbędne należy zaraz zamówić, a pan Grzywa, czy zechce, czy nie zechce, będzie musiał wkońcu rachunki popłacić. Wołu trudno podoić, więc gdy raz szczęśliwie mléka puści, trzeba umieć z tego korzystać... Zresztą *noblesse oblige*; a skoro twój dziedzic, mój panie Lisiński, chce być koniecznie szlachcicem, niech zatem wie, jak się ten tytuł zdobywa.

Innym razem, dom oglądając, który już jako tako był wyporządkowany, zapytał:

— A gdzie herb waszego dziedzica?

— Herb?—pan Lisiński zdziwiony powtórzył.

— A tak, herb... Nad domem powinniście przybić tarczę, na niej wymalujcie wygarbowaną skórę chłopską, byśmy nie zapomnieli, u kogośmy byli na balu.

Uśmiechnął się pan Lisiński i, wzięwszy tłustą rękę pana Trockiego, który i teraz nie wyszedł z poważnej swojej roli, pieśczośliwie ją pogłaskał, mówiąc:

— U pana dobrodzieja dowcip na każde zawołanie.

Z muzyką było trochę kłopotu. Pan Grzywa wydatków na nią nie żałował, pułkownik chciał dać chętnie wojskową, ale okazało się, że miejsca na muzykę nie będzie. Uradzono tedy poprzestać na fortepianie, tembardziej, że dam tańczących niewiele się spodziewano, i w tym celu zgodzono pana Olskiego z córką, o której mówiono, że doskonale grała do tańca.

Wszyscy już byli zaproszeni i mniej więcej wszystko gotowe. Rozchodziło się jeszcze o to, co zrobić z domem hr. Tęczyńskiego.

Pan Grzywa, w Strzałkowicach stale zamieszkawszy, zdobył się raz na odwagę i był w Lipińcu; hrabia go rewizytował, lecz dopiero w pół roku. Pan Grzywa drugi raz do niego pojechał. Hrabia atoli w Strzałkowicach więcej się nie pokazał. Chociaż nowy dziedzic nie znał się na zwyczajach światowych, tyle przecież rozumiał, że dla jego nóg progi pałacu lipinieckiego były zawysokie. W głębi duszy niezmiernie go to gryzło, jednakowoż starannie to ukrywał i przed nikim się nie skarżył. Z Konradem Palińskim poznał się później w mieście, lecz i ten nie wszedł z nim w bliższe stosunki. Zimna znajomość nie zmieniła się w zażyłszą nawet wtedy, gdy w Strzałkowicach zamieszkał Antoś, którego Konrad dobrze znał i lubił. Musimy tu nadmienić, że owe ziemniaki, o których pan Grzywa wspominał Konradowi na wieczorku u radczyni Darskiej, tenże po wykopaniu natychmiast mu odstawił, dzięki czemu między nimi nie było już żadnych rachunków.

Gdy pan Lisiński wspomniał coś teraz o potrzebie zaproszenia hrabiego wraz z rodziną, pan Grzywa zawołał:

— Ja tam nie pojedę, choćbyś mnie rznął! Bez grosza to przy duszy, a nosa zadziéra, jakby Bóg wie ile mieli majątku.

— Dziedzic dobrodziej pozwoli, że ośmielę się na to zrobić skromniutką uwagę—odrzekł słodko przyjaciel.—Przyjadą, lub nie przyjadą, wszystko jedno, pan dziedzic atoli, zapraszając ich, spełni sąsiedzki obowiązek i już tém samém zjedna sobie hrabiego. Wprawdzie jestem pewny, że Tęczyński, jakkolwiek do rady zawsze należy, nie przyjedzie na posiedzenie najważniejsze, gdyż boi się, żeby go nie chcieli kiedy sąsiedzi marszałkiem wybrać; w każdym jednak razie lepiej go mieć pozyskanego, niż przeciw sobie. Pomódz rzadko kto może, zaszkodzić potrafi każdy. Cóż dopiero taki arystokrata!

— Mów, co chcesz, a ja ci powtarzam, że nie pojedę i prosić nie będę.

— W takim razie chyba ja sam pojedę z panem Antonim.

— A jedźcie sobie do licha, tylko mnie dajcie pokój!

Stało więc na tém, że pan Lisiński pojedzie z Antosiem.

W Lipińcu wiedziano, na co się w Strzałkowicach zanosilo, a lubo ani pan Grzywa, ani jego mentor przed nikim dotąd nie pisnął, jakie na dalszym planie były ich zamiary, mimo to świat prędko wszystkiego się domyślił,—celowali zaś w tém głównie Żydzi-arendarze,—i dnia pewnego Konrad usłyszał w stodole od ekonomy, że dziedzic ze Strzałkowic chce koniecznie marszałkiem zostać. Konrad, mówiąc tego dnia przy herbacie o innych rzeczach, coś i tém wspomniął; na to hrabia brwi zmarszczył i rzekł:

— Tylko tego skandalu brakowało!

Niedługo potem Antoś i pan Lisiński jechali razem do Lipińca. Każdemu z nich serce biło, choć każdemu z innych powodów. Pierwszy pragnął Zosię zobaczyć i doznać przyjęcia uprzejmego, gdyż tylko to mogło go upoważnić do dalszych odwiedzin; drugi na-



tomiast chciał z wyszczególnieniem złożyć egzamin na skończonego dyplomata.

Nadjeżdżających ujrzął pierwszy hrabia przez okno, a poznawszy obydwóch na wózku odkrytym, zasepił czoło, ponieważ się domyślił, z czym przybywali. Niezwłocznie też przez Dyonizego dał znać zięciowi, że do gości nie wyjdzie, bo jest cierpiący. Konrad wiedział, jak to sobie ma tłumaczyć.

Pani Alicya, usłyszawszy, kto przyjechał, zamieniła z mężem spojrzenie wieloznaczące, na co on powiedział krótko:

— Sam ich przyjmę.

W téjże chwili wpadła Zosia zdyszana, czerwona, lecz nim usta otworzyła, siostra rzekła:

— Zmęczyłaś się, Zosieńko! Czemu tak biegasz nieuważnie? Zostań chwilę ze mną i odpocznij... Jacyś panowie przyjechali, z którymi Konrad potrzebuje pomówić, ale wnet do nas wróci.

Konrad wyszedł tymczasem na powitanie gości i przyjął ich bardzo grzecznie, choć może trochę chłodno. Antosiewi uściśnął dłoń nierównie ciepliej, niż jego towarzyszowi, i na słodkie zaproszenie pana Lisińskiego, który nieobecność dziedzica Strzałkowic nagłą niedyspozycją usprawiedliwiał, odpowiedział, że hrabia jest także chory, więc mimo chęci najszczerzej na bal przybyć nie może, a panie jego zaś, acz z serca całego radeby się zabawić, muszą sobie téj przyjemności odmówić: młodsza bowiem nie może odstąpić chorego ojca, starsza drobnych dzieci. Co do niego samego, to jakkolwiek swego współudziału w téj pięknej zabawie jeszcze nie przyrzeka na pewno, sądzi jednak, że to nastąpi, chyba że najlepszym jego chęciom stanęłyby przeszkody nieprzewidziane i takie, którychby nie mógł pokonać.

Pan Lisiński był uszczęśliwiony tą odpowiedzią, zwłaszcza że tu jadąc, nie spodziewał się nawet takich rezultatów.

Podczas rozmowy Antoś spoglądał ukradkiem to na jedne drzwi, to na drugie, ale nikt się nie pokazywał. Gdzieś z góry doleciały go niezbyt wyraźne dźwięki fortepianu. A więc panie nie przyjdą... Miał on już tyle znajomości świata i ludzi, by zrozumieć, co to znaczyło. W całym ciele zrobiło mu się zimno, a lubo Konrad najczęściej do niego się zwracał i ze szczególniejszą uprzejmością z nim rozmawiał, chciał czémprędzej przykrą wizytę zakończyć.

Nie trwało też długo, a pożegnali się i odjechali. Do samych Strzałkowic Antoś słowa nie przemówił, mimo że pan Lisiński byłby chętnie rozmawiał.

Gdy przed pałacem zaturkotały koła wózka odjeżdżającego, Zosia, która dotąd obracała siostrze nuty, nie była w stanie dłużej nad sobą panować i do okna przyskoczyła. Pani Alicya dalej grała, lecz jój wzrok siostrę śledził. Zosia była blada, jój spojrzenie biegło za wózkiem, który właśnie przez bramę wyjeżdżał, w oku szklita się jakby ła... Pani Alicya udawała, że tego nie widzi...

Przy obiedzie była mowa o tój wizycie i zaprosinach. Konrad bowiem chciał się teścia poradzić, ażali miał jechać do Strzałkowic. Na to hrabia powiedział:

— Że ja tam nie pojedę, to rzecz naturalna. Człowieka tego znam nie od dziś i wiem, jakie są jego cnoty, z mojm zaś sumieniem nie umiem wchodzić w kompromisy. Co do ciebie, rzecz się ma inaczej. Tyś niedawno w te strony przybył, właściwie nie wiiesz, jakimi sposobami pan Grzywa powywłaszczał dawniejszych moich sąsiadów, jak robił majątek... Zresztą jadąc do Strzałkowic, wybierzesz się z rewizytą do młodego pana Grzywy, który piérwszy był u ciebie, więc o jego stryjaszka troszczyć się nie potrzebujesz.

Konrad spojrział teraz pytająco na swoją żonę.

— I ja jestem tego zdania, co tatko — odpowiedziała.

Zosia miała główkę pochyloną nad talerzem, a twarzyczkę bardzo czerwoną.

Pani Zielińska, acz jęj dotąd nikt o radę nie pytał, rzekła z naciskiem:

— Zawsze to człowiek zamożny, a kto zamożny, ten i możny, nie powinno go się zatem lekceważyć. Kto wie, czy się kiedyś na co nie przyda... Zresztą nie trzeba być bocianem... na tém często gęsto źle się wychodzi... Jabym była zdania, że Konrad powinien pojechać.

— I mnie się zdaje, że pojedę — Konrad rzekł po krótkim namyśle.— Ten młody człowiek niczém przeciw mnie nie zawinął, dlaczegoż więc miałbym mu ubliżyć. Nie zapomniałem także, że był on przyjacielem Stasia.

Zosia jeszcze bardziej się zmieszała, lecz na jęj szczęście nie dostrzegł tego ani jęj ojciec, ani pani Zielińska.

Nadszedł nareszcie dzień upragniony, a mimo że była już jesień głucha, zwiastująca każdego poranku ostremi przymrozkami zimę nadciągającą, słońce świeciło jeszcze dosyć jasno, acz niewesoło, powietrze było suche, spokojne, nawet ciepłe—widocznie natura na to się wysiliła, by dzień, mający stanowić epokę w życiu wielu ludzi do Strzałkowic zaproszonych, uświetnić i upamiętnić. Ponieważ drogi były wciąż wyborne, przeto najdalsi sąsiedzi mogli przybyć na godzinę oznaczoną i nikt się śpieszyć nie potrzebował. Mimo to na wszystkich traktach ruch był wielki. Fornalki pana Grzywy zwoziły resztę ważnych rzeczy, mianowicie fortepian od pani aptekarzowej, i kilka łózek wraz z materacami i pościelą od lepszych znajomych, w ostatniej bowiem chwili spostrzegł pan Lisiński, że gdyby kto z gości chciał się bądź przespać, bądź tylko spocząć, nie miałby na czém. Bliżsi sąsiedzi, do których w pierwszym rzędzie należeli Goldeifer i Franuś Czapínski, chcąc za poradą pana Trockiego dopomódcz dziedzicowi ze Strzałkowic, wysłali swoje ekwipaże po gości do

miasta, ponieważ prócz kanonika, aptekarzowej i radczyni, z tamtejszych matadorów nikt nie miał własnych koni. Na wszystkich drogach widać tedy było faetony, wolanty, amerykańki, z Wierzejowa wyjechały nawet dwie czwórki—jedna po starostę, druga po prezydenta; a kiedy ruch w powiecie był najbardziej ożywiony, wtedy damom w mieście serca coraz gwałtowniej uderzały, nadchodziła bowiem godzina, w której należało przystąpić do robienia toalety. Każda z nich była także niezmiernie ciekawa, jaki właściwie ekwipaż po nią przyjedzie, gdyż każda lubiła jeździć tylko czwórką i w karecie zamkniętej.

Pan Grzywa ogolony, wyfrakowany, w białym krawacie i paliowych rękawiczkach z długimi końcami u palców, przechadzał się po pokoju środkowym i często w okno spozierał. Niekiedy także przystawał, nadsluchując. Mimo że był z życiem ostrzelany, niepokoił się, jakby młodzik jaki. W każdym razie był to pierwszy bal w jego domu, pierwszy występ publiczny, rzecz więc taka nie mogła dla niego przejść bez wrażenia. Prócz tego w stroju salonowym było mu bardzo niewygodnie. To nowy but go cisnął, to kołnierz w podbródek mu się wżerał, to frak dolegał mu pod pachami. Kręcił się więc często i krzywił pociesznie, ale mimo to trwał w swojej roli. Kość była już rzucona... W głębi serca prawdopodobnie i to go bolało, że pieniędzy wydał nierównie więcej, niż z początku z Lisińskim obliczył. Ale stało się! Kto pragnie żniwa dostatniego, ten na siew nie powinien skąpić. Pan Grzywa, mimo że był skąpy, lepiej niż kto inny rozumiał tę zasadę.

Tem, żeby się bal nie udał, wcale się nie trapił. Tyle osób przyrzekło swój współudział, że dom musiał się zapełnić, a o to głównie szło; że zaś o wszystko się postarał, mianowicie o dobre jadlo i napitek, więc czego więcej mogli od niego żądać? Pocieszało go także i to, że ponieważ Antoś i Lisiński gorliwie się balem

zajmowali i byli jego zastępcami, przeto on sam za przykładem Darskiego, który to u siebie zrobił, mógł później skryć się w jaki kąt i nie troszczyć się więcej o swoich gości. Pan Lisiński, w formie niezmiernie delikatnej, prosił go głównie o dwie rzeczy: aby nic nie pił i żeby w karty nie grał. Pan Grzywa tylko tak długo między ludźmi trzymał się na wodzy, dopóki bądź sobie nie podchmielił, bądź nie przegrał kilku guldenów. Nastąpiło jedno lub drugie, z człowieka napół cywilizowanego wyłaniała się natychmiast natura nawskróś brutalna, taka, jaką ją Konrad oglądał na wieczorku u radczyni Darskiej. Lisiński bał się, żeby coś podobnego nie wydarzyło się we własnym domu pana Grzywy, bo go mogło to zabić w opinii; dziedzic atoli go uspokoił pod tym względem, mówiąc, że kart ani się tknie, wina zaś wypije tylko jeden kieliszek, i to wtedy, gdy wniesie toast na cześć swoich gości.

Pierwszy ekwipaż przywiózł pierwszą gospodynię balu, panią Darską, wspaniale wystrojoną, i jej męża, trochę skrzywionego, że musiał się ubrać. Tuż za nimi nadciągnął Franuś Czapiński, woniejący jak fijołek; w kilka minut później dał się słyszeć trzask z bata, i sławna na całą okolicę czwórka właściciela z Wierzejowa wpadła na dziedziniec, ciągnąc nowusienką karetę, z której wysiedli: panna Julia z prześlicznym bukiem w ręku, jej opiekun z twarzą rozjaśnioną, na końcu pan Goldeifer. W jednej chwili we dworze strzałkowskim zrobiło się gwaro. Franuś z zapalem „emablował” damy, Goldeifer zaś, aby mu dorównać, zaczął pływać po salonie, przyczem mówił tak głośno, że sam pan Czapiński nie mógł mu pod tym względem dorównać.

Odtąd co chwila ktoś nowy przyjeżdżał. Gospodarz, acz pod wieczór zrobiło się na dworze dość chłodno, miał czoło spocone, wciąż bowiem musiał przed dom wybiegać, aby mężczyzn witać okrzykami radości, a damy do salonu wprowadzać. Obowiązki swoje

spełniał gorliwie i dość zręcznie, ku wielkiemu zadowoleniu pana Lisińskiego.

Do godziny ósmej wszyscy się zjechali. Między ostatnimi był Konrad. Tego przyjazd zrobił prawdziwą sensacją, nikt się go bowiem tu nie spodziewał, najmniej zaś sam gospodarz. Pan Lisiński, widząc, z jaką radością pan Grzywa biegł na spotkanie zięcia hr. Tęczyńskiego, z zadowoleniem ręce zacięrał, odtąd bowiem mógł się spodziewać ze strony dziedzica nowych dowodów wdzięczności.

Towarzystwo było przeważnie miejskie, ale dobre. Prócz naszych znajomych, jeszcze kilku innych domów i pułkownika, jakiegoś barona niemieckiego, przyjechał także starosta, człowiek najlepszych form towarzyskich, choć może trochę sztywny, lecz to zdawało się być związane nie tyle z jego osobą, co z piastowanym przezeń urzędem. Z obywatelstwa, krom tych, których bliżej poznaliśmy, przybyło jeszcze pięciu panów, między tymi jeden z żoną, ta jednak zostawiła w domu swoje obie córki dorosłe. Z panien wiejskich nie było tedy ani jednej. Zato z damami miejskimi zjawilo się kilka kandydatek do stanu małżeńskiego, rejentowa wprowadziła pierwszy raz w świat swoje dwa podlotki, a żona prokuratora siostrę najmłodszą, których miała jeszcze sześć na wydaniu. Była także i panna Olska z ojcem, lecz ci właściwie do towarzystwa nie należeli.

Pan Olski stał tuż przy fortepianie w postawie nad wyraz skromnej, jakby się bał, by sama jego obecność w tym domu kogo nie obraziła. Drobna jego figurka, z twarzyczką zasuszoną a słodko uśmiechniętą, z białymi jak mléko włosami, oprawiona w strój czarny, opięty, który zblizka już się dobrze świecił, ale dotąd nie miał ani jednej plamy, figurka pełna dla wszystkich szacunku, choć nieruchoma, boleśnie odbijała od tego tłumu gwarnego, wesołego, który, sobą zajęty, na nią nie raczył dotąd ani spojrzeć. Pan Olski nie

miał do tych ludzi najmniejszej pretensyi; on już od dawna dla siebie niczego od świata nie żądał, a jeżeli teraz o kim myśli, to li o swojej córce, tej biednej Maryni, która siedząc przy nim na krzeselku, napróżno wygląda, by się do niej kto zbliżył i słowo przemówił. Była to osoba nie pierwszej już młodości i nieładna, lecz skromna, dobra, grzeczna. Dla ojca była ostatnim celem życia. Teraz patrzył on na kawalerów, czy z nich który nie przystąpi, a gdy go to zawiodło, westchnął i wszystkie swoje myśli zwrócił w innym kierunku. Za wieczór dzisiejszy razem z córką otrzyma 15 guldenów. Z tych pieniędzy nie weźmie dla siebie ani grosza, tylko wszystkie odda córce, aby sobie mogła kupić piękną sukienkę na karnawał. Tu, niestety, niema dla niej zabawy, zresztą ona tu nie przyjechała bawić się, lecz pracować. Towarzystwo wiejskie całkiem jój nie zna, damy zaś miejskie patrzą z góry na córkę biednego stroiciela. Inaczéj jednak będzie w karnawale! Pan Ludwik, praktykant rachunkowy, już od miesiąca zachodzi do państwa Olskich i całemi godzinami wpatruje się w oczy Maryni. Cóż to dopiéro będzie, gdy ją ujrzy w niebieskiej sukni balowej, w której jój tak do twarzy!

Dla braku miejsca zastawiono herbatę<sup>6</sup> w głównej sali, poczem miano wszystko uprzątnąć, gdyż gdzieindziej nie można było tańczyć. Dla kolacyi wyznaczył pan Trocki godzinę pierwszą po północy, o której powinien się być skończyć wielki mazur. Pan Lisiński, uznający chętnie wyższość swego sąsiada w sztuce urządzania wieczorków, przyrzekł zastosować się ściśle do jego poleceń.

Nim do herbaty poproszono, każda z dam w duchu się zapytywała, której z nich sam gospodarz ramię poda, by ją na pierwszym miejscu posadzić. Radczyni była pewna, że ją ten zaszczyt spotka, jako pierwszą gospodynię balu; prezydentowa liczyła na stanowisko męża, a aptekarzowa zaś na swoje pochodzenie szlache-

ckie, koligacją i wysoką edukacją. Panna Julia, jako niezamężna, nie miała do tego najmniejszej pretensyj; zresztą ta dysputowała teraz z Konradem z takim zapalem, a z taką złośliwością, odcinała się z jednej strony Franusiowi, z drugiej Goldeiferowi, że o herbacie dotąd ani pomyślała. Nim ją podano, gospodarz odbył króciutką konferencyą z panem Lisińskim, poczem krokiem posuwistym zbliżył się do pani S..., jedyniej obywatelki w tém towarzystwie i ją do pierwszego miejsca przyprowadził.

Radczyni usta zesnurowała, a jój oczy, na codzien siwe, nagle pobielaly; prezydentowa, na nią patrząc, acz sama była także trochę obrażona, uśmiechnęła się złośliwie; jedna aptekarzowa okiem tryumfującym zmierzyla obie rywalki i wsparta na ramieniu prezydenta przyszła druga do herbaty. Żona mecenasa Hocheisena, niemająca, dla wieku jeszcze młodego, tych pretensyj, co jój matka, prezydentowa i inne damy, rzekła do swego męża:

— A to im nosa utarł!

— Dobrze zrobił — mąż szepnął; — bo jakby z nich którą wyszczególnił, pewnieby sobie oczy powydrapywały.

Pan Olski z córką zostali na dawném miejscu. Nikt się nimi nie zajmował, nikt ich do stołu nie prosił. Dostrzegł to jednak Konrad, a że sam nie usiadł między matadorami, choć go o to gospodarz prawie błagał, tylko na szarym końcu, gdzie jeszcze było dosyć miejsca, więc, współczuciem wiedziony, szybko teraz powstał, zbliżył się do stroiciela, a przywitawszy się z nim uprzejmie, przedstawił się jęgo córce, podał jęj ramię, ojca wziął za rękę i tak oboje do stołu przyprowadził. Zauważyło to kilka osób. Damy bardzo się tém zgorszyły, Franuś atoli w duchu sobie powiedział, że jak teraz widzi, panna Olska jest osobką bardzo przyjemną i zasługuje nawet na jęgo uwagę.

Obok głównej sali, którą po herbacie w mgnieniu oka uprzątnięto, tak, że prócz krzesel wzdłuż ścian, nic



nie zostało, pan Lisiński urządził z drugiego pokoju wcale piękny salonik, przepelniony kanapami, dywanami, zwierciadłami. Tu, nim się tańce zaczęły, pousiadały damy poważniejsze i, żywą rozmową zajęte, czekały na pierwsze akordy majestatycznego poloneza. Na kanapie pryncypalnej usiadła po prawej ręce prezydentowa, po lewej jej córka, żona mecenasa. Pani Darska także tu weszła w zamiarze wzięcia udziału w ogólnej konwersacyi, wszelako gdy spostrzegła, że pierwsze miejsca były już zajęte, szepnęła: „Achl jak tu ciasno!” i czemprowadziła do sali wróciła.

Nie poszła jednak daleko. Ujrawszy pułkownika obok drzwi wchodowych, nagle się zatrzymała i, lubo wszczęła z nim bardzo wesołą rozmowę, do czego jej wielce dopomagała biegłość w języku niemieckim, mimo to saloniku ani na chwilę z oka nie spuściła. Wypadek zrzucił, że prezydentowa, by córce włosy poprawić i przyczesać, potrzebowała z nią wyjść na kilka minut do pokoju przyległego. Ledwie to się stało, radczyni pożegnała pułkownika i, zajmawszy opróżnione miejsce na kanapie po prawej stronie, tak szeroko swoją suknię rozrzuciła, że wątpliwą było rzeczą, ażeby obok niej druga osoba mogłaby się jeszcze pomieścić. W tej pozycyi czekała na atak.

Weszła prezydentowa, a widząc swoje miejsce zajęte, usta gniewnie zacisnęła. Mimo to zbliżyła się jeszcze do kanapy w nadziei, że radczyni może się jej ustąpi, boć wiekiem była od niej młodsza, a i pan Darski miał niższą rangę niż pan Turban; gdy jednak radczyni, rozmawiając żywo ze swoją sąsiadką, zdawała się tego nawet nie domyślać, prezydentowa wzięła córkę pod ramię i, wychodząc z nią, rzekła głośno:

— Chodźmy, tu niema dla nas miejsca!

Lecz czy przeczuwała radczyni, jaka kara i jak prędko spotka ją za ten figiel złośliwy? Ledwie prezydentowa przestąpiła próg salonu, zabrzmiał polonez i pan Grzywa, nie pomyślawszy nawet o tém, z którą

właściwie damą powinien bal rozpocząć, (niestety! swego mentora nie miał pod ręką), prosto do niej posunął. W ten sposób ona, nie zaś pierwsza gospodyni, znalazła się w pierwszej parze. Tuż za nią szła lekko, jak zefir, eteryczna panna Julia obok pływającego pana Goldeifera, w dalszych parach widać było inne damy, a dopiero w dziesiątej rysowały się okazałe kształty pani Darskiej. Ta tém, co się stało, była tak zirytowana, że w pierwszej chwili sobie powiedziała, iż wcale tańczyć nie będzie; dopiero gdy pułkownik, przypomniawszy sobie jej przyjemną rozmowę, do niej posunął, nie odważyła się obdarzyć barona odkoszem i rękę mu podała. Prezydentowa, znalazłszy się w pierwszej figurze prawie naprzeciw radczyni, rzuciła jej takie spojrzenie i taki uśmiech, które wyraźnie mówiły: „Masz za kanapę!” Pani Darska musiała się tego domyśleć, skoro w tejże chwili głowę odwróciła; zato w głębi serca przyrzekła jej zemstę, gdyż pierwszemu parzy w polonezie nie mogłaby dziś żadnej z nich przebaczyć.

Jak tylko polonez się skończył, zaczął się właściwy bal walcem namiętym, w którym całe młodsze pokolenie czynny udział wzięło. Mamy pousiadały na krzeselkach pod ścianami, starsi panowie wynosili się chyłkiem jeden po drugim do pokoju gospodarza: jedni na preferansika, drudzy na wista, inni na taroczka. Franuś dokazywał cudów waleczności, tak samo pan Goldeifer, ale podczas gdy pierwszy w doborze danseerek nie okazywał się wybrednym, przeciwnie drugi upodobał sobie tylko pannę Julię. Nie odstępował też jej prawie na krok, a ilekroć który z młodszych kawalerów chciał ją zaangażować, bawił się zawsze w odbijanego. Wielkie jeszcze było jego szczęście, że młodzież miejska nie miała animuszu tak wojowniczego jak Franuś Czapiński, inaczey ze Strzałkowic byłby pewnie wywiózł kilkanaście pojedynków. Pan Trocki we drzwiach stojąc, kierował swoje bystre oko na

wszystkie strony. Widział on, jak pan Goldeifer nadskakiwał jego siostrzenicy, lecz wcale się za to nie gniewał, owszem był z tego nawet zadowolony.

Konrad wziął sobie za zadanie z wszystkiemi tańczyć i w tym celu rozpoczął akcją od téj, która pierwsza usiadła. Dość długo trwało, nim doszedł do ostatniej; postawił wszakże na swoim, za co stokroć więcej, niż panny i młode mężatki, ich mamy były mu wdzięczne. Franuś poszedł za jego przykładem.

— Jak to prawdziwego pana zaraz poznać—rzekła prezydentowa do swojej córki. — Paliński nikomu nie ubliży. Tylko ludzie nawskróś szlachetni tak postępują.

Zawczasie go jednak pochwaliła; gdyby była wiedziała, co on teraz uczyni, słowa gorącego uznania byłaby na lepsze czasy zostawiła.

Konrad przystąpił do pana Olskiego, który siedział obok córki, grającej na fortepianie, i uprzejmie przemówił:

— Muszę panu, jako ojcu, szczerze pogratulować... panna Marya gra prześlicznie. Przy muzyce wojskowej lepiejby się nie tańczyło.

— Pan dobrodzieju bardzo łaskaw... nie wiem, jak podziękować—rzekł staruszek, z krzesła szybko się zrywając.—Ona ma talent, wielki talent!

— Niepospolite atoli zasługi i ten położył, kto w niej ten talent wykształcił.

— To ja, panie dobrodzieju, ja sam.

— Istotnie? Więc i pan gra?

— A gram, panie dobrodzieju, gram... przecie ja nietylko stroiciel, ale i artysta.

— Skoro pan gra, więc zechciej teraz pannę Maryę na jakiś czas zastąpić, a ona niech się trochę zabawi. Służę pan!—dodał, ku niej się zwracając.

Zarumieniła się i uśmiechnęła, lecz grać nie przestała. Ojciec, propozycją Konrada nad wszelki wyraz uszczęśliwiony, pochylił się nad jedynaczką.

— Idź, Maryniu, kiedy cię pan prosi, idź zaraz...  
Już ja cię tu dobrze zastąpię.

— Ale ojciec się zmęczy...

— Nie bądź dzieckiem! Przecie mężczyzna ma więcej sił niż kobieta.

To powiedziawszy, usiadł do fortepianu i suche swoje palce puścił po klawiszach. Marynia powstała, Konrad objął ją swoim ramieniem i w tejże chwili znaleźli się na środku sali. Mamy były tym niezmiernie zgorzone, kto bowiem słyszał w „porządnym” towarzystwie, by „pannę od fortepianu” brano do tańca. Wkrótce ich zgorzenie zmieniło się w formalne oburzenie, bo gdy Konrad pannę Olską do ojca odprowadził, wziął ją zaraz Franuś, po nim, na życzenie panny Julii, uczynił to samo pan Goldeifer, później jeszcze kilku wieśniaków. Kawalerowie miejscy, widząc, co czynią obywatele, nie chcieli dać się zawstydzić i jeden po drugim sunął do panny od fortepianu. Dziewczę uradowane tańczyło, jak dotąd nigdy w życiu; wsparte na ramieniu dansera, widziało się w siódmym niebie; serce słodko jej biło—chciałaby tak wirować, marzyć i o smutnej rzeczywistości zapomnieć; a jednak, ilekroć do ojca się zbliżyła, blada jego twarz budziła ją z upojenia. Wtedy zawsze mówiła:

— Tatko się męczy, już dosyć... Teraz ja będę grała.

On atoli uspokajał ją, odpowiadając:

— Baw się, dziecko, baw... ja bez zmęczenia mogę grać do rana.

I grał dalej wybornie, w takt, suche jego palce nakształt grabków kościanych w klawisze uderzały; zdawało mu się, że w rzeczy samej do dnia białego grać potrafi, gdyż z całej duszy pragnął, by Marynia ani na chwilę nie przestała się bawić; wszelako niebawem się przekonał, że miłość dla jedynaczki była w nim stokroć potężniejszą od sił fizycznych. Ręce coraz bardziej mu omdlewały, głowa ciężła jak bryła ołowiu

zaczęło mu się słabo robić. Córka musiała to zauważyć, skoro znów przed nim stanęła.

— Tatku! proszę mnie puścić... Tatko bardzo po-  
bladł.

— Zdaje ci się, Maryniu... to nic, przejdzie... Idź...  
baw się!

Byłaby może na swoim postawiła, gdyby nie to, iż w téjże chwili jeden z najlepszych danserów przyszedł ją do tańca prosić; a że odmówić mu nie miała serca, więc mimowoli dała się unieść w wir szalony. Tymczasem ojciec grał coraz nierówniej, coraz niewyraźniej; napróżno się wysilał, by takt utrzymać—ręce opadły mu bezwładnie, wreszcie przechylił się w tył przez poręcz krzesła i o mało nie upadł. Na szczęście podtrzymali go najbliżej stojący.

Pary stanęły na środku sali, Marynia z krzykiem przeraźliwym wyrwała się swemu danserowi i do fortepianu przyskoczyła, dokoła zrobiło się zamieszanie, graniczące z popłochem. Wypadek chciał, że pan Grzywa właśnie przez salę przechodził. W ślad za nim śpieszył pan Lisiński.

— A to co?—zawołał.—Czy ten gałgan się upił?

— Trochę ciszej, dziedzicu dobrodzieju — szepnął mentor, za rękę go ciągnąc.—Nie mógł się upić, bo jeszcze wina nie dawali.

— Ja będę cicho mówił, a on tymczasem będzie fanaberye wyrabiał... Niech gra, kiedy go za to dobrze płacę.

— Ciszej, dziedzicu dobrodzieju... na litość Boską, ciszej! Musiał omdleć... to starowina.

Pan Olski w rzeczy samej omdlał; lecz gdy córka bryznąła mu w twarz wodą, odzyskał przytomność. Podniósł się nieśmiało i, suche ręce jak do modlitwy złożwszy, powiódł oczyma dokoła, błagając wymownem spojrzeniem wszystkich o przebaczenie. Potem do córki, która go po rękach całowała, szepnął:

— To nic, Maryniu, nic... Pograj jakiś czas, a gdy odetchnę, znów cię zastąpię.

Między paniami dał się słyszeć szmer złowrogi.

— Tylko waryatka mogła zrobić coś podobnego! — jedna szepnęła.

— Jój zależy więcej na tryndaniu się, niż na ojcu! — druga zauważyła.

— Taką córkę kazałabym siec różgami! — trzecia dorzuciła.

Pewne już były, że nareszcie skończył się popis grajczyń, zwłaszcza że i sam gospodarz musiał jój coś niemilego powiedzieć, skoro ona po króciutkiej z nim rozmowie (na szczęście pan Grzywa mówił tym razem na boku i cicho) zarumieniła się i bardzo zmięszała. Mamy odetchnęły tedy swobodnie; jednakowoż ów niepoczciwy Paliński, który już raz serca im zakrwawił, zjawił się ponownie, jak zły duch, by im drugiego figla wypłatać. Poszeptawszy z lepszymi znajomymi, zbliży się następnie do pana Olskiego i rzekł:

— Panu pod żadnym warunkiem nie pozwolimy więcej grać, a panna Marya, czy zechce, czy nie zechce, musi się z nami dalej bawić.

Staruszek wpatrywał się w niego ze zdziwieniem

— Pan dobrodziej bardzo łaskaw... doprawdy, nie wiem, jak dziękować... nie pojmuję jednak...

— Zaraz pan to pojdziesz, a gdy się stanie, jak należy, my dwaj usiądziemy sobie gdzieś w kąci, aby spokojnie i szczegółowo pomówić o pańskim planie zawarcia z Żydami sojuszu, celem obalenia potęgi Bismarka.

— A co? Nie mówiłem, że to plan ważny? Ja inną drogą, panie dobrodzieju, nie widzę! Jedni Żydzi mogliby mu końca dojechać. Bo oni, panie dobrodzieju, mają rozum i pieniądze, a to dziś na świecie grunt!

Podczas gdy pan Olski tak mówił, Franuś, którego czas jakiś w salonie nie było, nagle się pojawił, zasiadł do fortepianu, pannę Maryą prawie przemocą od

niego oderwał i sam zaczął grać doskonałą polkę. Nim panna Olska mogła zrozumieć, co się właściwie działo, już danser ją pochwycił i na salę uniósł.

Ujrzał to ojciec i na widok tańczącej córki odrazu zapomniał o swoim planie wiekopomnym. Całą duszą w nią zapatrzony, przestał mówić do Konrada, który zręcznie z tego skorzystawszy, czémprędzej pomieślał się z innymi osobami.

Spisek Konrada powiódł się wybornie. Po Franusiu grał on sam, po nim inni, a gdy z kolei usiadła pani S... ba! nawet panna Julia, pani aptekarzowa nie mogła przenieść na sobie, żeby się nie popisać wyższą edukacją, zwłaszcza że fortepian Boesendorfera, na którym grano, był jej własny—więc też trzecia z rzędu przy nim usiadła. Z dam starszych żadna nie była muzykalną; miłość własna pani Darskiej była w tej chwili boleśnie zadraśnięta; okazało się atoli, że z młodszych pań mecenasowa grała tańce doskonale z pamięci, siostra zaś prokuratorowej mogła uchodzić prawie za wirtuozkę. Wśród takich okoliczności musiało się obudzić współzawodnictwo, które wyszło głównie na korzyść panny Maryi, bo ta się całkiem bawić nie przestawała. Mamy bardzo na tém cierpiały, a prezydentowa rzekła do męża:

— Aż wstyd, co Paliński z tą stroicielką wyrabia... Doprawdy, wygląda, jakby się miał do niej, choć to taki koczkodon!... Naszym kosztem ją bawi i formalnie z nas sobie żartuje... Fe, fe, nie spodziewałam się tego po nim!

Dalszym uwagom położyła na szczęście kres kolacja.

Dzięki panu Trockiemu, była ona wyśmienita. Potrawy następowały po sobie według wszelkich prawideł wyższej sztuki kulinarniej, wina gospodarz także nie skąpił, a choć go nikomu nie dolęwał, gdyż w tém nie miał wprawy, nikt pod tym względem nie mógł się poskarżyć na brak gościnności. Antos powiem i pan Li-

siński pilnie przestrzegali, żeby wszystkie kieliszki wciąż były pełne. Prezydent, jako mąż przezorny, nie wychylił odrazu swego kieliszka, lecz, trochę go nadpiwszy, dłuższy czas ustami mlaskał. Podczas tego zajęcia wpatrywał się w stół, wielce w sobie skupiony. Próba musiała wypaść ku jego zadowoleniu, skoro od pana Lisińskiego wziął flaszkę, by przeczytać znajdującą się na niej etykietę. Inspektor Tusowicz złożył dowody lepszego znawstwa. Ten, miasto na smak się spuszczać, podniósł kieliszek do wysokości płomienia świecy i bystrym spojrzeniem nawskróś go przeniknął. Patrzył chwilę, uśmiechnął się z zadowoleniem i szepnąwszy: „Wytrawnel” duszkami kieliszek wychylił, poczem podstawił go natychmiast służącemu, który szczęśliwie z butelką pod rękę mu się nawinął.

Mantegazza miał ponoć racya, gdy powiedział, że dobry stół należy do tych rzadkich życia rozkoszy, które cywilizacyi zawdzięczamy. Głęboką prawdę tego spostrzeżenia stwierdzili cywilizowani goście pana Grzywy,—odkąd bowiem przy stole usiedli, tak gorliwie oddali się nowemu zajęciu i taka harmonia między nimi zapanowała, że ci nawet, którzy jeszcze niedawno czuli niechęć do siebie, przynajmniej na czas kolacyi całkiem o niej zapomnieli. Jak śmierć przejednywa wrogów na polu sławy—tak tu antagonistów zbratała pularda w majonezie, podlana węgryzнем. Talérze brzęczały, kieliszki dzwoniły, humory poprawiały się z każdą minutą, śmiechy robiły się coraz swobodniejsze.

Pan Trocki przewidywał, że pod koniec uczyty, gdy się toasty rozpoczną, szampan z wyszukaną przezeń marką będzie najpiękniejszą nutą w téj pieśni równie wielkiej, jak wspaniałej.

Piękna Julia miała po prawej ręce Konrada, po lewej pana Goldeifera. Konrad, przypomniawszy sobie z nią rozmowę, niedokończoną ongi w Wierzejowie, chciał teraz do niej wrócić; ona atoli nie okazywała dziś ku temu chęci najmniejszej i na każde jego zapy-



tanie ledwie półsłówkami mu odpowiadała. Zato bez przerwy zwracała się do swego dansera i widocznie mówiła mu coś bardzo zajmującego, skoro tenże, cały zasłuchany i w nią zapatrzony, na nic uwagi nie zwracał, nikogo nie widział, nawet nie słyszał, że pan Grzywa wzniosł toast na cześć swoich gości. Dopiero gdy dama szepnęła mu, co się dzieje, zerwał się jak oparzony; wszelako ledwie swoim kieliszkiem dotknął się kieliszka uprzejmego gospodarza, usiadł znów na dawnym miejscu. Teraz, patrząc na białą gałkę, którą ona przed nim położyła, myślał, co o niej powiedzieć.

Choć to zabawa jak świat stara i nie bardzo salonowa, musiała jednak obojgu się podobać, skoro podczas kolacyi kilkakrotnie do niej wracali. Młody człowiek tym razem długo się namyślał, w końcu, jak ten, któremu się zdaje, że znalazł kwadraturę koła, rzekł z zapalem:

— Pragnąłbym, żeby była moją!

Piękna Julia lekko się zarumieniła. Pan Goldeifer czas jakiś czekał na odpowiedź, lecz gdy téj nie otrzymał, zapytał:

— Któż to taki, jeśli wolno wiedzieć?

— Domyśl się pan...

— Nie mogę... doprawdy nie mogę—z uśmiechem odpowiedział. — Radbym się przynajmniej dowiedzieć, czy ta śliczna gałka jest mi życzliwą.

— Każdy mężczyzna jest twórcą swojego losu— odrzuciła, jak wyrocznia delficka, i zaczęła mówić z Konradem.

Pan Goldeifer spoglądał teraz na jęj szyję wysmukłą, na jęj gors toczysty, na jęj ramiona okrągłe i czuł, że od wielkiego blasku tego ciała arystokratycznego w oczach mu się ćmiło. Ona, jakby się domyślała, co się w jego duszy działo, choć z Konradem swobodnie rozmawiała, paluszkami lewjej ręki skrzyła nową gałkę i od niechcienia, wcale nań nie patrząc, przed nim ją położyła.

Naprzeciw siedzący pan Trocki skierował ku nim swój nos ostry, domyślny i uśmiechał się sarkastycznie.

Odkąd do Strzałkowic przyjechał, ani na chwilę z oka ich nie spuścił—i, choć oni tego nie uważali, wciąż był przy nich. Raz tylko odstąpił ich może na pół godziny, lecz i wtedy nimi się zajmował.

Łacińska parafia Wierzejowa, Strzałkowic, Lipińca i kilku innych wsi okolicznych znajdowała się w Świetlance. Proboszczem był tam ksiądz Jan, staruszek blisko siedmdziesięcioletni, mąż bardzo zacny, kapłan gorliwy. Ten wraz z kanonikiem przyjechał do pana Grzywy, lecz obadwa zamierzali przed północą do domu wrócić. Kiedy młodzież hulała w najlepsze, pan Trocki zbliżył się do proboszcza, i pod ramię go wzięwszy, na bok odprowadził.

— Uważa ksiądz proboszcz, jak pan Roman mojej Julci nadskakuje?—zapytał.

— Ależ widzę, panie dobrodzieju, widzę... wszyscy to uważają.

— I cóż jegomość na to?

— Bardzo mnie to cieszy... Człowiek młody, bogaty, w świętej wierze utwierdzony...

— A pod tym ostatnim względem niema żadnych wątpliwości?

— Jakżeby mogły być, panie dobrodzieju? Sam go chrzcilem... metryka jest u mnie.

Tu pan Trocki nachylił się do ucha księdza i coś mu szepnął. Staruszek słodko się uśmiechnął i ręce zatarł.

— Ależ daj Boże! Daj Boże! — zawołał i mówiącemu dłoń serdecznie uściskał.

Przy kolacyi Franuś znalazł się przypadkiem obok jednego z owych młodych ludzi, którzy byli świadkami, ongi, w Wierzejowie, jego awantury z panem Goldeiferem. Obydwa tak siedzieli, że pannę Julię i jej dancera mogli widzieć doskonale i śledzić każde ich poruszenie.

— Patrz, patrz, Franusiu, jak on teraz na nią karpawo oczy wytrzeszczył — szepnął młody człowiek. — Dalipan, wygląda, jakby ją myślał pożreć.

— Zakwaśne to winogrona na jego zęby, słowo honoru, zakwaśnel!

— A gdyby się chciał z nią ożenić?

— Słowo honoru, byłby to skandal, o jakim Europa dotąd nie słyszała! Ale niema obawy... Dam gardło, żeby za niego nie poszła. Słowo honoru, jakem Czapiński!

— Mój kochany, pieniądz wiele dziś może. Przecież wiesz, że nawet księżniczki wychodzą w naszych czasach za synów bankierskich. Zresztą, ja wątpię, czy Goldeifer myśli o małżeństwie. To łakomy Żyd! Mimo że pannę Julią rodzi Starżówna, on stawia majątek wyżej, niż urodzenie...

— Więc tybyś sądził?? — Franuś krótko zapytał, w mówiącego ostro się wpatrując.

— Kto wie... tacy panowie lubią mieć czasem niedozwolone apetyty.

— Niechby się puścił na tę drogę, a łebbym mu rozplatał, słowo honoru! Panna jak złoto, ja sam do niej ledwie mogę przystąpić, a onby śmiał!... Fel nie mów mi tego, bo będę zły! Wszak na tém ucierpiałby cały stan szlachecki!... Słowo honoru, jakem Czapiński, z rąk moich żywby nie wyszedł! Właśnie tydzień temu zwróciłem mu pięćset guldenów, które-m mu był winien, więc musiałby przyjąć pojedynek i odwoływaniem się na rachunki nieuregulowane nie mógłby się od niego wykręcić. Aniby się spostrzegł, kiedybym go wysłał na ciepłe piwko do jego pra-pradziadka, Abrahama. Słowo honoru, jakem Czapiński!

— Zobaczmy, co z tego wyniknie—przyjaciel odparł lakonicznie.

Rozmowa między nimi mogła się przeciągnąć, gdyż każdy z nich miał jeszcze coś do powiedzenia, ale niespodzianie przerwał ją nowy toast, wzniesiony

przez radcę Darskiego na cześć gospodarza domu, a zakończony okrzykiem:

— Niech żyje pan Bartłomiej Grzywa, nasz przyszły marszałek!

Reszta towarzystwa zachowywała się całkiem inaczej. Damy, niemające z takimi manifestacjami nic wspólnego, utworzyły kilka kółek, a miasto mówić o wyborach i możliwych kandydatach do godności marszałka, zajęły się raczej kotylionem, którego kierownikiem niezrównanym był zawsze Franuś Czapiński. Ci z sąsiadów, którzy dla dziedzica Strzałkowic mieli pewne zobowiązania, byli wielce zafrasowani, i chociaż z nich każdy dotknął się swoim kieliszkiem jego kieliszka, żaden przecież nie miał odwagi szumnego okrzyku powtórzyć. Goldeifer stał z ustami rozwartemi i wyglądał jak człowiek, niemogący w tém się zorientować, co właśnie usłyszał; Konrad niepostrzeżenie wymknął się do sieni, ztamtąd na dwór i kazał zaprzęgać; Franuś zżymał się, mrużąc pod nosem: „Oszalał Darski!”— starosta, w tył ręce założywszy, wyszedł do drugiego pokoju; pułkownik, acz nic nie zrozumiał, pokilkakroć powtórzył do siebie: „*Ja, ja, ist schon recht!*” — ale ponieważ starosta był w wielu rzeczach jego wyrocznią, przeto niezwłocznie za nim pośpieszył; nakoniec pan Trocki obtarł usta serwetą i z uśmiechem nad wszelki wyraz złośliwym zbliżył się do Franusia, aby mu szepnąć:

— Jeśli rogi dostanie, z pewnością nas pobodzie.

Prokurator, w głębokiém przekonaniu, że nikt lepiej od niego nie zna natury ludzkiej, święcie wierzył, iż po hołdzie, złożonym gospodarzowi domu, zabawa jeszcze bardziej się ożywi. Tłumaczył zaś to tém, że odkąd gości pana Grzywy zbliżyło ku jego osobie gorące pragnienie, by on, a nie kto inny, był w powiecie pierwszą osobą, że teraz powinnyby także większe ciepło między nimi zapanować. Psychologiczne to obliczenie srodze jednak zawiodło pana prokuratora. Mia

sto spodziewanego ciepła, dał się czuć po kolacyi chłód nieznośny. Niejeden błąkał się, nie wiedząc, co z sobą począć, wielu unikało spojrzeń swoich najlepszych znajomych, sam nawet radca Darski po rozmowie z Franusiem powiedział sobie w duchu:

— Być może, żem głupstwo palnął! Na co mi było do dyabła mięsząć się do téj historii!

Pan Trocki, wzięwszy Franusia pod ramię, zaprowadził go pod okno i podczas gdy służba salę uprzątała, coś mu cicho opowiadał. Franuś słuchał, przestępował z nogi na nogę, wąsiki podkręcał, niekiedy także głową potrząsał, ale ust nie otwierał. Z wyrazu jego twarzy nie sposób téż było jasno wyrozumić, ażali to, co słyszał, przyjemność mu sprawiało, choć z niektórych oznak można było wywnioskować, że nie był zadowolony.

Przed wielkim kotylionem, jak przed stoczeniem walnej bitwy, danserowie postanowili poświęcić jeszcze jakiś czas tańcom wirowym. Franuś nie wziął w nich jednak udziału, gdyż wiedząc, co go czeka, chciał dobrze odpocząć. Przechadzał się tedy dalej z panem Trockim.

Goldeifer, na żądanie pięknej Julii, którą dłuższy taniec trochę utrudził, zaprowadził ją do saloniku i tu obok niej usiadł. Na jego szczęście nikogo tam nie było. Siedzieli więc obok siebie, przez wszystkich zapomniani, on wciąż coś jój gruchał, a ona musiała go słuchać, skoro twarz zapłonioną nieraz w inną stronę odwracała. Ale mimo to nie gniewała się na niego. Ku jego stronie opadło z wachlarzem jój ramię toczyście, alabastrowe... On wpatrywał się w cudne jój kształty z dziką pożądlivością, namiętność atoli trzymał jeszcze na wodzy. Nadeszła jednak chwila, w której, szalem porwany, przestał być panem siebie. Wtedy zrobił się czerwieńszym, oczy krwią mu nabiegły, począł się trząść na całym cielem, a gdy ona podrażniła go jakimś słówkiem niebaczném, schylił się nad jój ramieniem, ujął je w obie dłonie i głośno pocałował

— Ach!—krzyknęła i, zerwawszy się z kozetki, zaczęła biedz do sali.

Jój wielbiciel skoczył za nią, lecz, jakby gromem rażony, stanął, nie mogąc kroku postąpić.

Przed sobą, we drzwiach, ujrzał ironicznie uśmiechniętego pana Trockiego; przy nim Franusia i jeszcze kilku młodych ludzi.

Pan Goldeifer z purpurowego zrobił się nagle biały jak chusta i mimowoli zaczął coś bełkotać, czego nikt nie rozumiał.

— Ależ mój Romanie kochany, w tém nic niema nadzwyczajnego — rzekł spokojnie pan Trocki, cedząc przez nos słowo po słowie.—Mogę cię upewnić, że się wcale nie gniewam; a co do damy, twoja już w tém rzecz, żeby i ona jaknajprędzej ci przebaczyła... Służę ci, moje dziecko — dodał, do bratanicy się zwracając.

Ona rękę mu podała i, jakby się nic nie stało, weszli razem do sali balowej. Młodzież za nimi.

Pan Goldeifer został sam w saloniku. Z początku był przerażony. Gdy myślał, co uczynił i co z tego mogło wyniknąć, podnosiły mu się włosy na głowie. Wszakże powoli strach go zaczął opuszczać, bo skoro osoby, w tém zajściu najbardziej interesowane, gniewu nie okazały, więc czemu właściwie miały się niepokoić? Stał więc chwilę, gdy zaś w końcu rozum mu powiedział, że człowiek bogaty może sobie wiele pozwolić, zwłaszcza z ludźmi, którzy pod pewnym względem są od niego zawiśli, odzyskał resztę odwagi i, głośno pochrząkując, wpłynął do sali. Tu znalazł się znów przy boku pięknej Julii, która, acz była zażenowana i w oczy mu nie patrzyła, powitała go jednak lubym uśmiechem...

Podczas gdy kotylion damy zachwycał, pan Trocki, poprosiwszy Antosia o papier i pióro, usiadł w jego pokoju i tak pisał:

„Wielebny księżu proboszczu dobrodzieju!

„A więc nastąpiło, czegośmy się obadwa spodzielali, mnie zaś nie buntować się przeciw wyrokowi Opatrzności. Skoro pan Roman Goldeifer złożył tego jawne i dostateczne dowody, że pragnie poślubić moją bratanicę, więc choć mi to bynajmniej nie pochlebia, nie mogę mu odmówić mego zezwolenia. Jak dla nas, jest to bardzo przykry mezalians; lecz gdy z drugiej strony widoczną jest rzeczą, iż młodzi kochają się do szaleństwa, przeto stawianie z méj strony ich szczęściu przeszkód jakichkolwiek poczytywałbym sam za największą tyranią, do której, jako człowiek z sercem, nie jestem zdolny. Prócz tego mam nadzieję, że pan Gold-eifer, połączywszy się ściślejszemi węzłami z taką rodziną, jak nasza, będzie w przyszłości starał się krajowi to wynagrodzić, co Troccy przez związek z nim stracili, a wtedy powiemy sobie, że uczyniliśmy ofiarę *pro publico bono*. Załączona metryka przekona księdza proboszcza, że moja bratanica, jako pełnoletnia, nie potrzebuje do zawarcia małżeństwa zezwolenia swoich rodziców; ale ponieważ ten szczegół tylko najbliższą rodzinę obchodzi, przeto mam nadzieję, że narzeczony nigdy się o niéj nie dowie... Kończąc, usilnie proszę wielebnego księdza dobrodzieja, aby jutro były ogłoszone pierwsze zapowiedzi, wszyscy bowiem pragniemy słyszeć, jak narzeczeni spadną z ambony. W nadziei, że to niewątpliwie nastąpi, polecam się łaskawej mi pamięci wielebnego księdza proboszcza i kręślę się jego służą powolnym

Erazm Trocki.”

Po napisaniu tego listu wyjął metrykę chrztu panny Julii, którą szczęśliwie znalazł w pugilaresie, wraz z listem włożył ją do koperty, zapieczętował, a odszukawszy pana Lisińskiego, poprosił go, by tę korespondencją, jako nader ważną, wysłał zaraz przez konnego posłańca do łaćńskiego proboszcza w Świe

tlance. Pan Lisiński przyrzekł niezwłocznie uczynić zadość jego życzeniu.

Resztę téj nocy pamiętnéj każdy spędził stosownie do swego upodobania.

Młodzież tańczyła dalej do upadłego; urzędnicy, zwłaszcza starsi, wynosili się bez pożegnania, rano bowiem musieli być w swoich biurach; księża wyjechali przed północą, starosta i pułkownik niedługo po kolacyi; ze starszych obywateli jeden pan Trocki wytrwał w roli opiekuna pięknej bratanicy—i podczas gdy ona się bawiła, a pan Goldeifer swobodnie dalej jéj nadskakiwał, jakby między nimi nic nigdy nie zaszło, jéj stryj szeptał coś na ucho to Franusiowi, to jego przyjaciółom i miał przy tém minę wielce tajemniczą.

Im bliżej było rana, tém chmurniejszym robił się sam gospodarz. I nie można mu się dziwić, Należał on już do ludzi starszych, na swój sposób wygodnych, a że nie lubił towarzystwa, więc ciągłe myślenie o gościach, zwłaszcza po północy, nastrajało mu duszę nieprzechylnie dla świata. Do pogorszenia jego humoru w wysokim stopniu i to się przyczyniło, że, jak wódz, prowadzący na wojnę zbrojne zastępy, z początku niczego więcej nie pragnie, jeno zwycięstwa nad nieprzyjacielem, a dopiero po bitwie straty oblicza i w duchu się pyta, ażali poniesione przezeń ofiary dorównują osiągniętym korzyściom, tak i pan Grzywa, codzień przez pana Lisińskiego do działania zachęcany, miał z początku jedynie bał na myśli; lecz gdy bał się już odbył, a nawet jego kandydatura na marszałka, acz nie w formie urzędowej, została na nim postawiona i życzliwie przez zgromadzonych przyjęta, dopiero wtedy, po obliczeniu, ile go ta historia dotąd pieniędzy kosztowała, pytał się w duchu: „Stanie-ż skórka za wyprawę?” I musiał jego umysł praktyczny nie całkiem zadawalniającą dać mu na to odpowiedź, skoro robił się coraz chmurniejszym, nawet zgryźliwym. Pan Lisiński, widząc to, na krok go nie odstępował, bo nużby



dziedzic, samemu sobie zostawiony, strzelił jakiego bąka, który odrazu mógłby to wszystko zburzyć, co on od tak dawna i z takim mozołem budował!

Nad ranem rozjechała się reszta gości.

Ponieważ była to niedziela, więc, jak zwykle, o godzinie 11-jej przed południem zebrało się na sumę w kościele świetlańskim całe sąsiedztwo. Piękna Julia, mimo iż oka nie zmrzyła, przyjechała razem z wujem, lecz w tak gęstej woalce, że pod nią niesposób było dostrzedz rysów jej twarzy. Tuż za nimi zjawił się pan Goldeifer, ten bowiem w niedziele i święta nabożeństwa nigdy nie opuścił, a przed samém rozpoczęciem sumy wszedł do kościoła Franuś Czapiński w towarzystwie kilku młodych przyjaciół. Ci tak usiedli, że pan Goldeifer znalazł się w środku między nimi. Pan Trocki każde ich poruszenie śledził z wielką uwagą, a jeszcze z większém zadowoleniem...

Kazania w tym dniu nie było, ponieważ wikary nagle zachorował, a sam proboszcz nie miał już czasu z nauką się przygotować. Po sumie proboszcz od ołtarza zaczął czytać zapowiedzi.

Jak długo „zabierali się do stanu małżeńskiego” sami chłopci i małomieszczanie, inteligencya w kościele zgromadzona słuchała dość obojętnie; zato gdy proboszcz doszedł do „wielmożnych,” wszyscy ciekawie głowy podnieśli. I oto dowiadują się rzeczy, która dotąd nikomu z nich nawet przez myśl nie przeszła. Jaśnie wielmożny pan Roman Goldeifer, właściciel dóbr ziemskich, poślubia jaśnie wielmożną pannę Julię Trocką, córkę właściciela dóbr ziemskich, urodzoną z hrabianki Starżówniej. Jeszcze proboszcz nie skończył mówić: „Ktoby wiedział o jakich przeszkodach, niech da znać do urzędu parafialnego,” a już w kościele powstał szmer niewyraźny, wśród którego czujne ucho pana Trockiego chwytalo niejedną uwagę złośliwą...

Panna Julia siedziała w ławce kolatorskiej, nad książką do modlenia tak pochylona, że jej twarz prawie

cała w niej się skryła. Jój stryj spoglądał na proboszcza ze stoickim spokojem i ani jeden muskuł w twarzy mu nie drgnął. Pan Goldeifer oczy wytrzeszczył i toczył niemi błędnie dokoła, jakby tych, co w tej chwili na niego patrzyli, pytał, co się właściwie z nim dzieje. Kilku młodych ludzi, uśmiechając się złośliwie, szeptało coś między sobą, Franuś zaś rzekł półgłosem:

— Gratuluję ci, Romciu! Z całego serca ci gratuluję!

— Co... to... jest?...—pan Goldeifer ledwie z siebie wykrztusił.

— Cicho, Romanie! Cały kościół na ciebie patrzy! — rzekł Franuś z naciskiem i silnie za rękaw go pociągnął.

— Puść mnie, Franusiu, puść!... Tak mi tu gorąco, że boję się, by mnie szlag nie zabił!

Franuś wyszedł z ławki, a pan Goldeifer ujrawszy przed sobą wolne miejsce, zamiast pójść do narzeczonej, która gdzieindziej siedziała, popłynął środkiem nawy kościelnej prosto ku drzwiom wchodowym.

Franuś i jego towarzysz za nim pośpieszyli.

Na dworze było zimno. Mimo to narzeczony był czerwienśzy, niż zwykle, i czoło miał spocone. Wybiegłszy przed kościół, stanął, ramiona rozwarł szeroko i zawołał rozpaczliwie:

— Co to jest?!... Co to jest?!...

— I ty się nas o to pytasz, ty, który się żenisz?—zapytał jeden z młodych ludzi.—Gratulujemy ci z całego serca, Romciu! Panna jak złoto, a jak urodzona!...

— Na co te brzydkie żarty?... Ja się przecież nie żenię... jam się nie oświadczał... Kto uknuł tę intrygę?

— Co ty pleciesz, Romciu!—Franuś odparł poważnie, wężki podkręcając. — Alboż to nie widzieliśmy wczoraj wszyscy, jakieś swoje narzeczoną pocałował? Nie to nas dziwi, że ty się żenisz, lecz, że ona zdecydowała się wyjść za ciebie! Słowo honoru, Romanie, tyś się chyba w czepku urodził!

— Dlatego, żem ją troszkę pocałował, ma już być aż tak?—pan Goldeifer przeciągle zawołał i zaraz dodał:—Nie! ja o tém nic nie wiem!

— Nie wiesz? Więc tobie się zdaje, że pannę z naszej sfery pozwolilibyśmy ci skompromitować? A tyś nie słyszał, że Troccy są nawet z Czapińskimi skoligaceni? Za sam taki zamiar jabym się z tobą przez chustkę strzelał i wpakowałbym ci kulę w sam środek brzucha! Słowo honoru na to ci daję!

— Z nami wszystkimi miałbyś do czynienia!—inni dorzucili, robiąc miny groźne.

Pan Goldeifer pobladł. Dopiero teraz zrozumiał, w jakim się znalazł położeniu. Wiedział, że mu ktoś złośliwego figla wyplatał, lecz ani się domyślał, ktoby był jego sprawcą.

Dłużej nad tém się zastanawiać nie miał czasu, z kościoła bowiem zaczęli tłumnie wierni wychodzić.

We drzwiach ukazała się panna Julia, wsparta na ramieniu swego stryja.

Franuś szepnął do narzeczonego:

— Wypij piwo, skoroś go sam nawarzył, bo, słowo honoru, będzie źle!

Pan Goldeifer spojrział na swoich towarzyszków, jakoby od nich pomocy żebrał, wszelako gdy na ich twarzach miasto współczucia, którego się spodziewał, znalazł zimną obojętność, zrobił całym ciałem ruch rozpaczliwy, zupełnie jak skazaniec, decydujący się wstąpić na rusztowanie, i z uśmiechem, bardziej gorzkim niż piółun, poszedł naprzeciw swojej narzeczonej.

Franuś widział zdaleka, że chwilę z nią rozmawiał, potem, schyliwszy się, w rękę ją pocałował. Gdy z kolei do pana Trockiego przystąpił, ten wziął w swoje ręce jego głowę jak zorza płomienistą i na nią z rzewnym spojrzeniem złożył ojcowski pocałunek.

# T R E Ś Ć.

	<i>Str.</i>
Rozdział I. Pani radczyni Emilia z Birmanów Darska dom poświęca . . . . .	1
" II. Nowi ludzie . . . . .	34
" III. Stara szlachta . . . . .	65
" IV. Nowa szlachta ". . . . .	98
" V. Jeszcze nowa szlachta . . . . .	140
" VI. Pośrednicy . . . . .	174
" VII. Tego się nikt nie spodziewał . . . . .	220









2887

1-2